Lam, Jan

DZIEŁA

JANA LAMA.

GŁOWY DO POZŁOTY.

TOM II.

LWÓW,
W KOMISIE KSIĘGARNI
Gubrynowicza i Schmidta.
1885.

KRAKÓW.
Druk Wł. L. Anczyca i Sp., pod zarządem Jana Gadowskiego.
1885.

GŁOWY DO POZŁOTY.

Tom II.

ROZDZIAŁ I.

Zabawiłem dłużej niż moi koledzy w towarzystwie Gucia i jego świadków, a gdy wyszedłem na ulicę, miałem namacalną sposobność przekonania się o tem, co twierdzą w całej Polsce: tj. że Lwów jest plotkarskiem miastem. Nim uszedłem taką przestrzeń, jaka dzieli gmach teatralny od placu Maryackiego, spotkałem kilku znajomych, a wszyscy wiedzieli już, że miałem pojedynek z porucznikiem Klonowskim. Co więcej, gdy przyszedłem do domu, Józio już także wiedział o wszystkiem, a nadomiar mojego zdziwienia opowiadał mi, że doniosły mu o tem najpierwej: ciocia Elżbieta i Elsia, które przyszły go były odwiedzić. Słyszały one za rzecz pewną, że biłem się z Klonowskim o panią Mamułowiczowę (!) i zgorszone były okropnie tym skandalem. Dopiero Józio wyprowadził je z błędu, opowiadając im, że właściwie on wyzwał Gucia, a ja zapewne bez jego wiedzy i woli zastąpiłem go, gdy zwichnął rękę. Józio rozżalony był mocno i niemile dotknięty moim postępkiem, ale poczciwy chłopak udobruchał się prędko, tembardziej gdy w ciągu dnia odwiedził go jeden z sekundantów przeciwnej strony i doręczył mu list przyjacielski, w którym Gucio żałował, że będąc rannym nie może go przeprosić osobiście, jeżeli mimo swej woli uchybił mu w czemkolwiek.

Po południu, gdy wróciłem z kolegiów, Józiowi było znacznie lepiej, ale o wdzianiu fraka jeszcze nie było mowy,

a tymczasem cochwila wpadał do pokoju któryś z kolegów, zrekrutowanych na wieczorek do pani Leszczyckiej — każdy mocno zaaferowany i z taką miną, jak gdyby nader ważne interesa spoczywały na jego barkach. Byli i tacy, których wcale nie proszono, ale którzy mimo to pojawiali się w cukierniach i innych miejscach publicznych ozdobieni białemi krawatkami i przystrojeni w paliowe rękawiczki, aby dać do myślenia, że idą na bal do „hrabiny Leszczyckiej", która, jak już powszechnie wiedziano, urządziła była właśnie dom na wielką skalę i na której salonach zbierać się miała śmietanka „towarzystwa", a przynajmniej, jego najtłuściejsze „podśmietanie".

— A ty się czemu nie zbierasz? — zagadnął mię Józio.

— Nie mogę cię przecież zostawić samego, nudziłbyś się okropnie...

— Ale nie, nie, idź koniecznie. Ciocia i Elsia nakazywały mi parę razy, abym cię wyprawił!

— Żartujesz!

— Nie, owszem, mówię zupełnie seryo. Ciocia potrzebuje cię, bo skoro ja wstać nie mogę, będziesz mię zastępował w obowiązkach zastępcy gospodarza domu: rozumiesz mię? Będziesz uważał, aby starszym panom dawano starsze wina, itp. Co się zaś tyczy Elsi, zaangażowałeś ją do mazura i do kotyliona, i kazała ci to przypomnieć; czy ci to nie wystarcza? Idź, idź, jesteś dzisiaj *le lion du jour*, korzystaj z tego!

— Tak... ale...

— Niema żadnego ale; jak nie pójdziesz, to obrócę się do ściany i przez cały wieczór ani słowa nie przemówię do ciebie! — Uściskałem Józia za tę groźbę, o której wiedziałem, że pochodzi z przyjacielskiej życzliwości, i począłem się ubierać. Nim jeszcze skończyłem, nadbiegł lokaj p. Leszczyckiej z oznajmieniem, że „jaśnie pani" prosi, aby pan baron (to miało oznaczać mnie) przyszedł wcześnie, przynajmniej o siódmej, bo „jaśnie pani" bardzo prosi o to pana barona. Powodem tej nobilitacyi mojej z przeskoczeniem niższych stopni szlachectwa był niezawodnie gulden, którego

dałem raz lokajowi za podanie mi paletota, nie mając drobnych pieniędzy przy sobie. W skutek tak natarczywych zaproszeń wybrałem się tedy w istocie bardzo wcześnie do p. Leszczyckiej. Elsia ubierała się jeszcze i była niewidzialną — ciocia zaś miała do zwalczenia niesłychane trudności z powodu nieporozumień, jakie powstały przy zamawianiu tortów i lodów w cukierni. Musiałem biegać i załatwiać te trudności, następnie zaś kosztować rozmaite wina i wydawać o nich moją opinię. Byłem bardzo złym znawcą, nie o tyle jednak, bym nie poznał, że wszystkie te płyny były okropnie liche. Ale Elsia ubrała się już była tymczasem, i z obawy, że mię ciocia wyszle znowu odmieniać wino, popełniłem tę nieuczciwość, że pochwaliłem nad miarę wszystkie te czerwone i białe gatunki trucizny, które mi kosztować kazano.

Elsia była czarującą w białej sukni z tuniką metaliczno-zielonego koloru i w fryzurze lekko posypanej pudrem. Ciocia poszła pozrzędzić na służbę w innych pokojach; w salonie, oprócz nas obojga, znajdował się tylko biały murzyn w czarnym fraku, najęty na całą noc do zbijania sobie palców na fortepianie. Murzyn ten rozumiał tylko po niemiecku, i jak wszyscy inni murzyni tego rodzaju, po czesku. Byliśmy więc sami.

Była to chwila nader stosowna do wykonania moich postanowień, powziętych w skutek listu Herminy, a odroczonych dla dość błahych powodów. Wszak chociaż piękny p. Dominik z takim zachwytem wspominał o Elsi, ona natomiast nigdy o nim nie wspominała — a chociaż ciocia Elżbieta, zapowiadając swój wieczorek, z bardzo znaczącem spojrzeniem zwróciła się była ku swojej siostrzenicy i z pewnym naciskiem wyrzekła: — Wiesz Elsiu, będzie i pan Dominik! — to Elsia nader obojętnie przyjęła tę wiadomość i nic moich obaw nie usprawiedliwiało. Zresztą, jeżeli mię dręczyła niepewność, to właśnie dla położenia jej końca należało mi pomówić z Elsią otwarcie — czułem to doskonale i usiłowałem wmówić w siebie potrzebną do tego stanowczego kroku odwagę. Ale kiedy spojrzałem na nią, tak uroczą, tak pełną

dziewiczego wdzięku i owej arystokratycznej wytworności, broniącej na pierwszy rzut oka wszelkiego przystępu do serca każdemu zbyt śmiałemu śmiertelnikowi — kiedy pomyślałem, że mam zuchwale wyciągnąć rękę po klejnot tak nieoceniony — struchlałem jak złoczyńca, co w chwili wykonania zbrodni cofa się, spostrzegłszy jej ogrom. Gdybym był miał do wyboru, bić się z całym pułkiem huzarów lub wyrzec tych kilka słów, o które chodziło, byłbym bez namysłu wybrał pierwsze — ma się tedy rozumieć, że stałem pomięszany i milczący, zdobywszy się zaledwie na wynurzenie żalu, że nie byłem w domu, kiedy Elsia z panią Leszczycką odwiedzały Józia.

— A gdzie to pan byłeś — odparła — czy może u pani Mamułowiczowej?

— Wszak pora była zbyt wczesną do robienia wizyty...

— Zapewne, ale jesteście państwo tak nierozłącznymi, że nie mogę sobie wyobrazić pana bez pani Mamułowiczowej, ani jej bez pana. Na wieczorku u pani Marszewskiej widziałam, że bawiliście się państwo wybornie, sami dla siebie.

— Co do mnie, bawiłem się bardzo źle na tym wieczorku.

Musiałem mieć minę bardzo desperacką, gdy to mówiłem, bo Elsi widocznie żal się zrobiło, że żartowała ze mnie. Zmieniła nagle ton i poczęła ubolewać na seryo nad szkaradnym zwyczajem, jakim są pojedynki w ogóle, i nad drugim zwyczajem, więcej lokalnym, tj. nad plotkami.

— Musisz pan wiedzieć, że dziś rano wpadła do nas pani Marszewska i opowiedziała cioci, że pan biłeś się z porucznikiem Klonowskim o panią Mamułowicz. Całe miasto mówi tylko o tem, i my także uwierzyłyśmy, póki Józio nie opowiedział nam, jak się rzecz miała w istocie. Bardzo to przyjacielski i rycerski postępek z pańskiej strony, że pan wyręczyłeś mego brata, ale we wszystkich takich awanturach niema za grosz sensu. Fe, już drugi raz pojedynkujesz się pan bez potrzeby, to bardzo brzydko, ja nie chcę

tego! Niech mi pan Edmund obieca, że więcej pojedynkować się nie będzie.

Teraz, albo nigdy — pomyślałem sobie — i już miałem na ustach zapytanie, dlaczego żąda odemnie tej obietnicy, kiedy nagle szmer zrobił się w salonie, a weszli pierwsi goście, pani Marszewska z córkami, Pomulski, książę Kantymirski, i kilku szeregowych danserów. Przerwano nam rozmowę w chwili, kiedy mogła wziąć dla mnie obrót stanowczy. Byłem tak roztargniony, że zaledwie wiedziałem, z kim się witam, podczas gdy coraz więcej osób zapełniało salon. Odpowiadałem od rzeczy na zapytania, które mi czyniono, deptałem damom po sukniach, wywróciłem kandelaber z zapalonemi świecami i omal nie oddałem firanek pani Leszczyckiej na pastwę pożaru. Słyszałem jak przez sen, że różne grupy obecnych szeptały niestworzone rzeczy o moim pojedynku z Guciem — ale cała uwaga moja skoncentrowaną była na ostatnich słowach, które mi powiedziała Elsia. Śledziłem i pożerałem ją wzrokiem, wśród grona panien mocno zajętych szeptaniem — domyśliłem się, że o moim pojedynku. Zelektryzowało mię dopiero i powróciło mi przytomność wejście pana Borodeckiego, który pojawił się w całym swoim blasku i po dość sztywnem przywitaniu się na prawo i na lewo, przysiadł się do starszych dam i rozpoczął z niemi jakąś bardzo obszerną i bardzo poważną rozmowę. Uważałem, że wkrótce potem niektóre córki zbliżyły się do swoich matek, i że nakoniec cała scena przybrała taki zakrój, jak gdyby p. Dominik był jedyną istotą rodzaju męskiego, obecną w salonie. Nareszcie zaczęto tańczyć — p. Dominik posunął prosto do Elsi i począł z nią trамblować: widok ten był zbyt srogim dla mnie i nie mogąc go znieść, wyszedłem do przyległego pokoju, rzuciłem się na kozetkę i pogrążyłem się w moich czarnych myślach. Po chwili zdobyłem się na odwagę i zajrzałem do salonu: p. Dominik tramblował jeszcze ciągle z Elsią. Wróciłem na kozetkę. Polka skończyła się — zaczęto walca. Zaglądnąłem znowu do salonu — p. Dominik walcował z Elsią. Ha, gdybym był mógł schwytać tego złoczyńcę, który wynalazł tramblantkę,

i walca, i taniec w ogóle, byłbym go zadusił! Przez pół kwadransa pastwiłem się nad nim w myśli, i wynajdowałem dla niego tortury, ile możności sroższe od moich — a kiedy nakoniec znowu zbliżyłem się do drzwi salonu, p. Dominik i Elsia puszczali się właśnie na jednę jeszcze tour walca. A jak ona rozkosznie wspierała się na jego ramieniu, jak mu się dawała unosić w powietrzu, jaka była rozpromieniona! Jeżeli nie chciałem, aby mi serce pękło, musiałem wrócić na kozetkę, i wróciłem. Muzyka Straussa łechtała mi duszę nieznośnie, opędzałem się od jej wrażenia, jak się człowiek opędza od muchy. Szkaradna to, rozkołysana, zniewieściała poezya tonów, godna swojej kolebki — dość usłyszeć wiedeńskiego walca, aby pojąć, dlaczego z Wiednia nie wyszło nigdy w świat nic wielkiego, wzniosłego. Co mogą stworzyć ludzie, których duszy wyrazem jest — walec! Przysięgałem sobie, że nigdy, nigdy, nie będę tańczył walca, że zostawię go jako pole otwarte p. Dominikowi. Jakieś nieokreślone, rycerskie instynkta podnosiły się we mnie — chciałbym był, aby choć na chwilę zagrano jakiegoś ponurego, wojowniczego marsza, i chciałbym był przypatrzeć się wrażeniu, jakieby on zrobił na fizyognomiach, przed chwilą tak ożywionych — czułem, że fizyognomie te byłyby bardzo kwaśne, i że możnaby na ich widok zawołać, jak Byron na widok podupadłych Greków:

In vain, in vain: strike other chords!

Wygłosiłem też grobowym głosem ten piękny wiersz, i ponuro wlepiłem oczy w ziemię, kiedy tuż koło mnie zaszeleściała suknia i znany, luby, srebrny głos zawołał mię po imieniu.

— Panie Edmundzie, czemu pan nie tańczy? Co panu jest?

Spojrzałem na nią ze łzami w oczach, zamiast wszelkiej odpowiedzi.

— Fe, dziecko z pana! Dąsasz się pan tu w kącie, a ja musiałam walcować z tym nudnym panem Dominikiem, który jest w dodatku za długi i podnosił mię od ziemi w tańcu. No, chodź pan, chodź!

Nie wiem jak się to stało, ale muzyka walca łechtała mi w tej chwili duszę nierównie przyjemniej, niż przedtem. Mówić mogłem zaledwie, ale pocałowałem ją w rękę i wyjęknąłem:

— Pani... pani jesteś bardzo dobrą!

— Przeciwnie, jestem złą, i gniewam się na pana!

— Na mnie! Za co?

— Bo się pan dąsasz na tych, którzy pana kochają.

— Mnie... nikt nie kocha!

Jak każda nieprawda, tak i ta wyrzeczoną była tonem niezmiernie patetycznym, tragicznym. Niewdzięczny! W tej chwili nie myślałem o nikim, oprócz Elsi, i zdawało mi się, że w istocie nikt, nikt mię nie kocha.

— Jeżeli pan chcesz, aby pana kochano, to porzuć pan tę grobową minę! I — szepnęła, ciągnąc mię za rękę do salonu, i wieszając się na mojem ramieniu, jak przedtem na ramieniu p. Dominika — i nie bądź pan tak zazdrośnym!

Ach, jaka to rozkoszna muzyka, te walce Straussa! Jak miło kołysze do snu rozum, a budzi serce i ciągnie je w swój wir szalony! Czemuż nie można tak przewalcować całego życia, czemu ten biały murzyn przy fortepianie ustaje ze znużenia, czemu go nie zastąpią jakim drewnianym automatem?

Pan Dominik nie tańczył więcej z Elsią. Rozmawiał jeszcze trochę ze swoją starszą kuzynką, która mu wykładała z wielkim ferworem konieczność ożenienia się — a zmęczony zapewne tem kazaniem, przypomniał sobie, że p. Artabanowicz wyjeżdżał tej samej nocy na wieś, i wyniósł się cichaczem, przed kolacyą. Ledwie spostrzeżono jego zniknięcie, gdy areopag matek i ciotek, zgromadzony około pani Leszczyckiej, począł brać pod rozwagę jego zalety i wady. Zgodzono się jednomyślnie, że jest to bardzo przystojny i bardzo miły człowiek — tylko p. Mamułowiczowa zarzuciła mu, iż trochę zawiele wie o tem, że jest przystojny. Oprócz tego, ponieważ żywioł „ziemiański“ przeważał w salonie p. Leszczyckiej, wyrażono kilkakrotnie ubolewanie z powodu, że p. Borodecki jest adwokatem.

Zajęcie to było w istocie bardzo niewłaściwem, z tego wszystkiego bowiem, co mówiła ciocia Pomulskiego i pani Marszewska, wynikało jasno jak na dłoni, że człowiek powinien być albo właścicielem tabularnym, albo wojskowym, albo niczem. Ten trzeci stan jest jedynie godnym człowieka, który nie należy ani do pierwszego, ani do drugiego — i kto nie ma majątku, ten nie powinien mieć przynajmniej żadnego trywialnego zajęcia lub zarobku. Dziś może się już trochę zmieniły zapatrywania w tej mierze, przynajmniej u większości „ziemian“ i „ziemianek“ — przekonany jestem atoli, że została się jeszcze bardzo znakomita mniejszość, przejęta na wskróś ówczesnemi wyobrażeniami cioci Pomulskiego i pani Marszewskiej.

Ale co mnie obchodziły te wyobrażenia! Co mnie obchodził pan Dominik! Świat był tak piękny wokoło, że nie defigurował go nawet le chevalier de Pomulski swoją obecnością, ani książę Kantymirski swoją martwą twarzą. Świat był niezmiernie piękny tej nocy, a nawet wina pani Leszczyckiej były niezłe, i p. Mamułowiczowa mimo kilkakrotnych usiłowań nie zdołała mię wciągnąć w rozmowę, ani dać się przezemnie odprowadzić do domu. A kotylion! A mazur! Jedna tylko rzecz psuła tę piękną całość — ta mianowicie, że nocy w styczniu są bardzo krótkie!

W istocie, pragnąłbym był tego dnia, nocy nieskończenie długiej, takiej, jaka bywa u biegunów ziemi — byleby ją ożywiała naprzemian muzyka walca i mazura, kadryla i polki, byleby nie gasły światła, i twarze bawiących się nie objawiały znużenia. Ale niestety! była to zwykła, krótka noc styczniowa, pod pięćdziesiątym stopniem północnej szerokości — o w pół do ósmej promienie słońca zaczęły przedzierać się przez spuszczone firanki i story i przedrzeźniać się lampom w salonie — większa część gości wyniosła się była do domu — prozaiczne, bezduszne istoty! Szukało to wszystko swoich pierzyn i poduszek, układało do spoczynku znużone członki! Jeszcze kilka niezmordowanych młodych panienek i kilku niezmordowanych kommilitonów moich z techniki hasało po posadzce wśród strzęp-

ków podeptanych sukni, wśród porzuconych bukietów i tym podobnych ruin balowych — jeszcze Elsia była tak świeżą i ożywioną, jak gdyby bal się dopiero zaczynał — ale nakoniec umilkł fortepian, dręczyciel jego, biały murzyn z Mladeho Bolesławia poszedł śnić o ojcu Palackim i o matce Libusie, zaspana służba pomogła ostatnim gościom zebrać bagaże, tj. futra, szale, kalosze itp. i uskutecznić odwrót w porządku — a nareszcie przyszła kolej i na mnie. Jako prowizoryczny zastępca gospodarza, wyprawiłem był właśnie do domu ostatni transport tych spóźnionych hołdowników i hołdowniczek Terpsichory — ciocia Elżbieta stała się już była niewidzialną, i nie zostawało mi nic, jak tylko wdziać paletot i pójść na śniadanie, a ztamtąd na kolegia, gdy niespodzianie Elsia wybiegła za mną do przedpokoju.

— Panie Edmundzie, niechaj pan powie Józiowi, że Wandzia wypytywała się bardzo troskliwie o jego zdrowie i że żałowała, iż utraciła w nim na dzisiaj dansera; ale spodziewa się ona powetować sobie to w środę, u p. Mamułowiczowej. Czy porucznik Klonowski wyzdrowieje do tego czasu?

— Nie wiem, lekarz nadmienił, że do tygodnia nie będzie mógł wdziać munduru.

— Szkaradni jesteście, kaleczycie nam naszych wielbicicli! Pan mianowicie, pan jesteś szkaradny!

— Nie wiedziałem, że Klonowski ma zaszczyt liczyć się do wielbicieli pani, byłbym go oszczędzał.

— Czy doprawdy? A dlaczegoż chciałeś pan raz zastrzelić Pomulskiego?

— To było dawno, bardzo dawno; dziś nie strzelałbym już do takich, jak Pomulski.

— Czy to ma znaczyć, że pan zachowujesz sobie nabój na grubszego zwierza? Na kogo też, naprzykład? Kogo pan zamierzasz zamordować temi dniami, panie ludożerco?

— Chciałbym w istocie zamordować kogoś, ale nie kulą, ani flosetem.

— A czemże? Może sinkiem potasu, strychniną? Brr, boję się pana!

— .Chciałbym zamordować go... sercem! To broń, którą Manfred zabił swoją żonę, czy kochankę: wszak pamiętasz pani, czytaliśmy to razem w Starej Woli: „Wpatrywała się ona w jego serce, a było tak zimne, tak harde i nieugięte, że jej własne serce zwiędło od tego widoku i umarła.“

— A, pan chcesz zabijać kobiety!

— Nie rozumiesz mię pani. Chciałem powiedzieć, że jeśli można zabić kobietę sercem, które jest bryłą lodu, to może uda się wprost przeciwnemi przymiotami zamordować niebezpiecznego człowieka, gdy nam wchodzi w drogę. Można mieć w sercu żar, i pioruny, i taką siłę ciepła i uczucia, która zgruchoce przeciwnika, lub odepchnie go precz...

Zdawało mi się, że ja mówię — a to... wino mówiło. Wspomniałem już, że ciocia Elżbieta kupiła była bardzo złe wino, zapomniałem dodać, że przywołany do życia i do walca przez Elsię, i proszony później, abym panów zachęcał do picia, w niebiańskim zachwycie mojej duszy nie uważałem prawie, jak wiele sam połknąłem tego szkodliwego płynu. Nic też dziwnego, że prawiłem cokolwiek od rzeczy, to dziwniejsza, że Elsia słuchała mię z zajęciem, zamiast mię odprawić.

— Chciałabym dowiedzieć się koniecznie, kogo pan chcesz tak zgruchotać, lub odepchnąć precz? Niech mi pan powie!

— Pani... pani to wiesz najlepiej. Jesteś pani równie domyślną, jak dobrą.

— A! rozumiem! Chachacha, panie Edmundzje litości, litości! Nie morduj pan pana Dominika; połamałbyś mu pan jego angielskie kołnierzyki! Chachacha! To byłoby okropne morderstwo! Doktor obojga praw i adwokat krajowy, zastrzelony piorunem serca, przetopiony na szkło żarem uczucia! Zbrodnia, nieprzewidziana w żadnym paragrafie kodeksu, a w dodatku, tak zbyteczna!

— O, gdyby była zbyteczną! Wiem ja niestety, że niełatwo mierzyć się z p. Dominikiem!

— Fe, panie Edmundzie; jak mię pan nie przestaniesz prześladować panem Borodeckim, to się rozgniewam na seryo. Uwzięliście się wszyscy na mnie, jak widzę: z jednej strony ciocia śpiewa mi od rana do wieczora hymny pochwalne na niego, z drugiej strony pan mię posądzasz wprost, żem się w nim zakochała. Za kogo wy mnie macie moi państwo? Dalej posądzicie mię, żem się zajęła rysunkiem w żurnalu, albo figurką na wystawie perukarskiej! Jeżeli się panu wydaje, że pan Borodecki jest skończonym ideałem mężczyzny, to niech pan wstąpi do krawca, a za pół godziny zrobią tam z pana taki sam ideał!

Elsia krzywdziła p. Dominika, czułem to dobrze: ale mówiła z tak nieudanem i szczerem rozdrażnieniem, że każde jej słowo jak krople balsamu padało na moją duszę, i budziło w niej wiarę i otuchę. Uczyniłem zadość mojemu sumieniu i ośmieliłem się stanąć w obronie mojego rywala, wyliczając te jego zalety, które nie były dziełem krawca, i których, jak powiedziałem, miał bardzo wiele. Ale im bardziej go chwaliłem, z tem większem lekceważeniem wyrażała się o nim Elsia i tem bardziej irytowała ją moja obrona, tak, że doznałem stanowczej porażki w tej walce, porażki, która w gruncie była tryumfem. Musiałem przyrzec, że nie będę więcej wspominał o p. Dominiku, w ten sposób w jaki właśnie o nim wspomniałem — a to pod karą najsroższego gniewu Elsi.

— Tak, teraz zgoda między nami — rzekła. — Ale są jeszcze dwa warunki, których pan musisz dopełnić.

— Jestem gotów na wszystko.

— Otóż najpierw: niech pan nie idzie do p. Mamułowiczowej w środę.

— Dlaczego? — zapytałem zdziwiony, i z miną mocno zdekomponowaną.

— Bo ja nie chcę!

Była to racya wystarczająca, ale niezrozumiała. Wyznać

muszę, że dotychczas nie rozumiem jej dobrze. Ośmieliłem się zrobić małe przedstawienie.

— Obiecywałem sobie wiele przyjemności z tego wieczoru: przyrzekłaś pani tańczyć ze mną.

— Tak, ale ja nie pójdę, i ciocia nie pójdzie także, bo ja cierpię na migrenę. Cóż, czy pójdziesz pan?

— Nie, nie pójdę.

— A teraz drugi warunek zgody: Niech się pan więcej nie pojedynkuje. Znienawidzę pana za te pojedynki. Gdybyś pan wiedział, jakem struchlała, gdy wczoraj rano pani Marszewska wpadła do nas z tą nowiną! Czy dajesz mi pan słowo, że na przyszłość unikać będziesz podobnych awantur?

— Daję. Lecz...

— Lecz co?

— Nie jestem prawnikiem, ale zdaje mi się, że każdy kontrakt polega na zobowiązaniu obopólnem. Tymczasem, ja obiecałem aż trzy różne rzeczy, a...

Podawała mi właśnie rękę do pożegnania i patrzyła mi w oczy. Była zawsze bardzo piękną, ale w tej chwili była piękniejszą niż zawsze.

— A gdzie bezinteresowność, a gdzie to „serce z żarem i piorunami“, o którem pan mówiłeś przed chwilą? Jak widzę, masz pan przeciwnie takie zimne, kupieckie, angielskie serce, na którego widok można umrzeć. Nie spodziewałam się tego!

— Pani! — rzekłem, chyląc głowę pod tym wyrzutem.

— No, tak, to kocham pana! — rzekła cicho, dotknęła ustami mojego pochylonego czoła i wybiegła z pokoju — a ja odurzony, znalazłem się po chwili na ulicy. To „kocham pana“ powiedziane było takim dziecinnym tonem, tak mi przypomniało te czasy, kiedy jeszcze prowadziliśmy wojnę z agrestami i malinami, a Elsia była naszym doboszem, i miała wąsy namalowane węglem! To „kocham“ i pocałunek, który mu towarzyszył, były rzeczami tak mało obowiązującemi, powiedziane i dane były w tonie małego dziewczęcia, w tonie zabawki między rówieśnikami, a jednak...

Dlaczegoż strawiłem pół godziny na ogólnikowej rozmowie, dlaczego nie pomówiłem z nią na seryo, dlaczego upłynęła zima i wiosna, a stosunek między nami pozostał zawsze tak niewyjaśniony, niepewny? Zawsze te same półsłówka, te same uściśnienia ręki, te same spojrzenia, dąsania się i przeprosiny, nigdy jednego otwartego, stanowczego słowa. Dlaczego?

Dlaczego? znałem raz literata z wielkim talentem, z większym talentem niż go potrzeba, aby rywalizować z wielkościami pióra w tej części świata, w której go znałem, i aby pobić te wielkości. Robił przecudne wierszyki i pisywał udatne artykuliki, a w głowie swej pieścił pomysł kolosalnego i objętością i polotem utworu. I tak go pieścił, tak nań chuchał, z takim zapałem rozmawiał o nim, gdyśmy byli sami, że bodaj czy nie obawiał się dać mu ciało i kształty, tj. wziąć papier i pióro i napisać to, o czem marzył. Znałem także artystę rzeźbiarza. Ten miał jeszcze więcej talentu: jego medaliony i popiersia zwracały na siebie uwagę znawców, i stawiały go w jednym rzędzie z największymi mistrzami. Zaklinano, proszono go, nalegano na niego ze wszystkich stron, aby wykończył coś większego: daremnie. Czasem atoli, w noc gwieździstą, letnią, usposabiającą do wynurzeń, gdyśmy siedzieli lub przechadzali się razem, zwierzał mi się z pomysłu olbrzymiego, który tkwił w głębi jego duszy. Miała to być grupa wielkich rozmiarów, wymagająca mistrzowskiego dłuta i wielkich studyów poprzednich. I jedno i drugie posiadał mój znajomy, a nadto, przyznał mi się, że ma już szkic swojego dzieła, ale nie chciał mi nigdy pokazać tego szkicu. Minęły lata: mój artysta wykończył wiele innych prac, niezmiernie znakomitych, ale jego wielki pomysł dotychczas pozostał szkicem i dotychczas pieści on się nim rad, gdy jest sam z sobą lub z dobrym przyjacielem, tylko ręki do wykonania nie przykłada.

My, nie-literaci i nie-artyści, miewamy także takie projekta i plany, do których wykonania ręki przyłożyć nie możemy, dlatego może, że w myśli wykonaliśmy je już tak

pięknie, tak doskonale, iż boimy się rzeczywistości, bo kto wie, czy nie zostałaby daleko poza ideałem. Wszyscy zaś, literaci, artyści, i prości śmiertelnicy, mamy takich, którzy z nas żartują, albo którzy nam dokuczają zapytaniami, kiedy też wykonamy nakoniec zamierzone dzieło. Jedni wierzą w nas, i nalegają, byśmy się brali do tego dzieła — drudzy nie wierzą, i żartują z nas okrutnie. A kto nie był w tem położeniu, kto nie miał nigdy wielkiego pomysłu, ani ulubionego projektu, w powyżej opisany sposób wypieszczonego, kto się nie spotkał nigdy w życiu z takiemi szyderstwami lub przykrzejszemi jeszcze od nich, życzliwemi radami i zachętami, ten może wiedzieć, jak jedno i drugie boli.

Doświadczyłem jednego i drugiego. Z jednej strony męczyła mię Hermina swojemi poczciwemi, serdecznemi radami, swoją wiarą w moje powodzenie, z drugiej strony dręczył mię Józio swoim sceptycyzmem. Nie była to wcale sceptyczna natura — owszem, dziesięć razy na dzień gotów był uwierzyć ślepo tam, gdzie ja byłbym miał najmniej pół tuzina wątpliwości — ale pod względem siostry okazywał się zawsze niepoprawnym sceptykiem. Nie zapomnę nigdy, jak mię rozgniewał owego poranku, kiedy wróciłem rozpromieniony, rozmarzony z balu od jego ciotki i zastałem go prozaicznie pijącego kawę i kręcącego papierowe cygaro. Wysłuchał spokojnie mojego nader szczegółowego opowiadania, tchnącego jak największym zachwytem, kazał sobie powtórzyć drugi raz niektóre szczegóły, zapalił papierosa, puścił kilka kłębów dymu i kołysząc się na krześle, wydął usta i wygłosił sarkastycznym tonem:

— Tak, tak! Ona struchlała, gdy pani Marszewska przybiegła z nowiną, że miałeś pojedynek. Byłaby zemdlała, gdyby jej powiedziano, że jesteś ranny. Tak, tak!

— No, tak, tak! Niezawodnie tak, ale zkąd się tobie zebrało na taki ton satyryczny?

— Nic, ja tylko powtarzam, że ona struchlała. Już czy struchlała, to nie wiem, ale wiem, że była dyabelnie zła na ciebie, gdy tu wpadły obydwie z ciotką Leszczycką.

Ale zła, powiadam ci, i oburzona, i obydwie rozsypały tu pół korca morałów i wykrzykników, i zawracały oczami, jak jezuita, gdy się dowie, że jego klientka zostawiła legat bernardynom, a o jezuitach zapomniała.

— Ot, bredzisz, Józiu.

— Ależ do kata, przypomnij sobie tylko, co właściwie opowiedziała Marszewska. Wszak choć podobno nie wiesz dokładnie, co się z tobą dzieje, pamiętasz może, że byłeś parę razy u Mamułowiczowej?

— No, i cóż z tego?

— I uważałeś może, że pani Mamułowiczowa okazuje bardzo wiele względów na ciebie, tak, że to już wszyscy spostrzegli, i że zrobiono pół kopy plotek z tego powodu. Kiedy więc Marszewska wpadła do ciotki ze swoją historyą, wywołała tam zgorszenie i oburzenie nie do opisania. Szkoda że cię nie było tutaj, byłbyś słyszał więcej nauk moralnych, niż w Ławrowie od księdza Prokopiusza.

— Czegoż to ma dowodzić? Wszak w istocie, gdyby się tak rzecz miała, jak opowiadano, Elsia miałaby wszelki powód być oburzoną!

— Tak, tak! — powtórzył znowu Józio, puszczając kłąb dymu z papierosa, nadymając usta i kołysząc się wraz z krzesłem. — Podobasz mi się, młodzieńcze, pełen wiary, miłości i nadziei! Święty Stanisław Kostka, gdyby nie był twoim pierwowzorem, byłby niezawodnie twoim naśladowcą, i mimo to zaliczonoby go w poczet świętych. Radzę ci jednak po przyjacielsku: nie bądź zbyt maluczkim, bo nigdy nie będziesz wywyższony, przynajmniej nie na tej ziemi!

— Mój Józieczku, ten przebrzydły doktor postawił ci oczywiście za wiele pijawek; zamiast krwi, masz w sobie jakieś nieznośne, kaustyczne kwasy!

— A ty zamiast złego zieleniaku, musiałeś łyknąć jakiegoś czarodziejskiego płynu, dzięki któremu wszystko wydaje ci się pięknem i różowem. Powtarzam ci, słuchaj dobrego przyjaciela, który wyspał się w łóżku, i nie przetańczył ostatnich dziesięciu godzin, ani też truł się złem winem; słuchaj mię i nie wierz Elsi tak ślepo. Tyś taki

poczciwy, taki naiwny; dalipan, szkoda mi ciebie. Ach, jakbyś ty był szczęśliwym, gdyby Elsia podobną była do twojej przybranej siostry, do Herminy. O, czemu ty się w tamtej nie zakochałeś!

Józio skrzywił się, bo poprawiał bandaż na zwichniętej ręce, a ja odparłem mu opryskliwie:

— Mój kochany, ty kochasz się codzień w kim innym, i nie zasięgasz mojej rady!

— Piękniebym się wybrał, gdybym się ciebie radził! Kocham się, bo się kocham, ale biorę rzeczy tak jak są, nie idealizuję ich sobie. Widzisz Mundziu, Elsia sprzyja ci niezawodnie, o ile taki modny trzpiot jak ona może sprzyjać komukolwiek. Ale jeżeli podnosisz do wielkiego znaczenia dzisiejsze jej zachowanie się, to jesteś w błędzie. Elsia nauczyła się uważać ciebie jako niewolnika, *quand même* przywiązanego do jej rydwanu. Jesteś jej pierwszą trofeą zwycięstwa, nic więcej. Na chwilę uwierzyła paplaniu różnych starszych i młodszych przyjaciółek, że ta trofea wymknęła jej się i przeszła do obozu p. Mamułowiczowej. Pokazało się, że to nieprawda, że niewolnik pozostał wiernym swojemu jarzmu; należała mu się maleńka nagroda za jego wierną i nienaganną służbę, to też otrzymałeś ją, i wraz z Elsią jestem przekonany, że będzie ci ona zachętą do wytrwania przy sztandarze. No, no, nie fukaj się, wiem ja dobrze, że nie potrzebujesz zachęty; masz uczucia długotrwałe i niezmienne, i zasługujesz, aby cię wszyscy tak kochali, jak ja cię kocham. Chodź-że tu Mundeczku, niech cię ucałuję! No, widzisz, nie gniewasz się! Posłuchaj-że dalej, bo znudziłem się dyabelnie, podczas gdy ty szalałeś, i wziąłem na gderanie. Otóż miałem ci jeszcze powiedzieć, że Elsia nie lekceważy p. Borodeckiego tak mocno, jak ci się zdaje. Co ty myślisz? Człowiek bardzo przystojny, wcale niegłupi, niezmiernie honorowy, posiadający pewną pozycyę, wcale, mojem zdaniem, odpowiednią temu, czego wymagać może panna z niewielkim posagiem: toż-to w istocie klejnot między *epuzerami*, jakich widzimy wkoło! Jestem przekonany, że na pierwszy rzut oka podoba się

wszystkim pannom, i że Elsia nie stanowiła wyjątku. Ale p. Borodecki ma dwie wady, jednę rzeczywistą, a drugą urojoną. Najpierw, jest pretensyonalnym nad miarę, tak pretensyonalnym, że posądzam go, iż czeka, by mu się która sama na szyję rzuciła. Ma przytem prawo być wybrednym, i jest nim w wysokim stopniu. Nie zwracał uwagi na Elsię...

— Zwracał, zwracał, zaręczam ci!

— Nie przerywaj mi, kiedy jestem w toku: nie zwracał tyle uwagi na Elsię, by jej ambicya pozwalała wyznać sobie samej, że zrobił na niej wrażenie. Elsia wie, że p. Borodecki w niejednym już domu odegrał rolę kwaśnych winogron, i ma ona za wiele sprytu, by się *blamować* jak ów lis w bajce.

— A więc sądzisz, że gdyby p. Borodecki raczy najmiłościwiej skinąć...

— Poczekaj, poczekaj, nic nie sądzę. Mówiłem, że p. Borodecki ma jeszcze drugą, urojoną już tylko wadę, oto, nieszczęśliwym trafem jest to człowiek pracy. Pamiętasz, jak się raz Elsia śmiała okropnie, gdy się dowiedziała, że chcesz być profesorem? P. Borodecki jest adwokatem, to cokolwiek mniej *mauvais genere* niż profesor, ale przypomnij sobie, iluby to rycerskich i rolnych antenatów obróciło się w grobie, gdyby Elsia została panią mecenasową! A zresztą gdyby cienie dziadów i pradziadów miały w tej mierze tak redykalne i rewolucyjne wyobrażenia, jak ich potomkowie tj. ja i mój ojciec, to natomiast kości babek i prababek narobiłyby tyle hałasu na tamtym świecie, że sam najodważniejszy archanioł Michał uciekłby z nieba i przystałby do austryackiej landwery. A żywe ciotki! Gwałtu! Oprócz jednej p. Leszczyckiej, która proteguje p. Borodeckiego jako dalekiego kuzyna swojego śp. męża — i to proteguje go niewątpliwie jako wabika na innych ptaszków — wszystkie inne ciotki pomdlałyby ze zmartwienia, a wiesz, że jest ich siedm, i że jedna ciocia Gertruda jak zemdleje, to potrzeba czterech pokojówek, dwóch lokajów i małej machiny parowej, aby ją podnieść!

— Jestem pewny, że Elsia nie uległaby żadnej ciotce, gdyby chciała iść za p. Dominika. Ma ona charakter...

— O, uporu ma dosyć, to prawda, ależ ona przesiąkła nawskróś temi samemi wyobrażeniami co ciotki. Nie zapominaj, że nie wychowała się w domu, ale w jednej z tych fabryk kokieteryi i próżności, zwanych pensyonatami: między księżniczkami ze wschodu, córkami geldhabów z Zachodu, i szlachciankami z Podola, a w takiem otoczeniu nawet... nawet z samej Minerwy zrobionoby Junonę, albo pawia Junony.

— A w otoczeniu dwunastu pijawek z ciebie zrobiono gderę, cynika, nieznośnika! Ja wiem przecież dobrze, jakie Elsia ma wyobrażenia o świecie i o ludziach, tyle razy z nią o tem rozmawiałem!

— Tak, w Starej Woli, na wsi, w samotności, kiedy razem czytywaliśmy romanse! Zresztą nic dziwnego, że odzywać się w niej muszą szlachetne instynkta, wszak jest córką mojego ojca! Ja wierzę nawet, że te szlachetne instynkta wezmą kiedyś górę, ale kiedy to będzie! Pierwej ten świat błyszczący a spróchniały musi ją znudzić, pierwej to szczęście złożone z ekwipażów i ukłonów, z mebli, strojów i hołdów, musi ją zranić do krwi... chybaby ci się udało wpłynąć na nią, ochronić ją od tej próby. Lecz ty jesteś tylko jej niewolnikiem! Żal mi ciebie, Mundziu; wiem ja, że niewczesne to kazanie, radbym, abyś osiągnął czego pragniesz, i pomogę ci z całej duszy, ale raz jeszcze, żal mi ciebie! O, czemu ty nie pokochałeś tak twojej Herminy! Przy Elsi stajesz się mazgajem, ona będzie się tobą bawiła, jak lalką; Hermina zrobiłaby z ciebie mężczyznę i byłaby jeszcze dumną z tego, że ci ulega i że lgnie do ciebie, jak powój do drzewa...

— Panna Wanda Marszewska ma także niewiele podobieństwa do powoju! — odciąłem się, urażony, bo zdawało mi się, że Józio drwi ze mnie.

— Panna Wanda, hm, jest to roślina, wykreślona z mojej botaniki. Rozważyłem tę rzecz na zimno, w chwili, gdy mi chirurg naciągał rękę. Ale bądź tylko tak szalonym,

jak ja nim byłem przez parę tygodni, a bodajbym był złym prorokiem, jeżeli nie będziesz jeszcze zazdrośnym o jakiego Klonowskiego.

— Ja? Zazdrośnym o Klonowskiego! — Omal mi łzy nie stanęły w oczach na takie bluźnierstwo. Spostrzegł się Józio, że mię dotknął boleśnie, i odwrócił rozmowę na inny przedmiot, żartując, że jakkolwiek biegły w gramatyce, przecież raz w życiu skaleczyłem jedno *gerundium*. Uśmiechnąłem się, ale z wielkim żalem w sercu poszedłem na kolegia i zamiast uważać na prelekcye, zbijałem w duchu wszystkie sceptyczne rozumowania Józia. Muszę sobie oddać tę sprawiedliwość, że udało mi się to wybornie. Wprawdzie nie mogłem odmówić słuszności porównaniu, które Józio zrobił między Elsią a Herminą — ale cóż z tego? Elsia mogła zrobić ze mnie mazgaja, bawić się mną jak lalką, ale to jej nie przeszkadzało być aniołem, to mnie nie przeszkadzało wierzyć jej spojrzeniom, uściskom jej dłoni, i temu pierwszemu pocałunkowi, tak lekkiemu i słodkiemu, że wspomnienie jego było przeczuciem rajskiej, owładającej, z niczem nieporównanej rozkoszy, talizmanem na całe życie...

Tak upłynęły zima i wiosna, jak sen uroczy. Elsia miała zawsze dla mnie uśmiech, spojrzenie i uścisk dłoni — czasem kaprysiła i tyranizowała mię okropnie, ale tem milej umiała to później powetować. Czasem też czarniejsze i gęstsze chmury zasłaniały mój widnokrąg — przypominała mi się, mimo wszelkiego rozumowania, powyższa rozmowa z Józiem. Truchlałem z trwogi, gdym spostrzegał, że Elsia lubi życie pełne przepychu i świetności — że imponują jej marne błyskotki. Ale wówczas z zapałem brałem się do pracy — pozdawałem egzamina z wielkiem powodzeniem i gotowałem się do zrobienia karyery i majątku w moim zawodzie. Widziałem parę przykładów, że udawało się to różnym ludziom, i że ten rodzaj zajęcia cokolwiek mniej raził szlacheckie uczucia, niż adwokatura albo profesura. Nabierałem otuchy, a jeszcze więcej dodawała mi jej Hermina, choć nie mogła mię nakłonić do żadnego stanowczego kroku. Droga, nieoceniona siostra! Ona czuła wszystko, co ja czułem, i ona

miała za mnie siłę, której ja nie miałem, gdy się zbliżała chwila rozstania z Elsią. Pani Leszczycka wyjeżdżała z siostrzenicą do wód, ja miałem udać się do mojego nowego zatrudnienia, a Józio wracał do Starej Woli, bo rotmistrz zaniemógł był od pewnego czasu w skutek dawnych swoich ran i potrzebował jego pomocy w gospodarstwie. Ogólny ten wyjazd nastąpić miał za kilka dni, i na domiar mojego smutku, zszedłem się w cukierni z p. Dominikiem, i w rozmowie trudno było nie potrącić o dom p. Leszczyckiej. Pan Dominik żywił pewną sympatyę ku mnie i wynurzał się przedemną otwarciej, niż przed innymi śmiertelnikami. Otóż w toku rozmowy dał mi do zrozumienia, że oświadczyłby się o Elsię, gdyby miał — dwadzieścia do trzydziestu tysięcy dochodu rocznie. Wzmianka ta tak żywo przedstawiła mi przepaść, jaka mię dzieliła od panny Starowolskiej, że nietylko dalekim byłem od posłuchania rad Herminy, ale nawet postanowiłem nieodwołalnie, nie iść za niemi, póki nie będę posiadał warunku, o którym tak trafnie wspomniał p. Dominik. Półromans z panną Elsią sprawiał nieraz, że rozmarzonemu, niemożliwe rzeczy wydawały mi się możebnemi — w tej chwili uczułem żywo praktyczną, rzeczywistą stronę całego tego stosunku, i pod tym wrażeniem napisałem list do Herminy. Po czterech dniach poszliśmy obadwaj z Józiem pożegnać się z paniami, które nazajutrz odjeżdżały.

Pani Leszczycka miała jakieś interesa do załatwienia w sądzie i w banku, dokąd Józio musiał jej towarzyszyć — co uczynił krzywiąc się niepospolicie, bo ciocia miała szczególny dar nudzenia i przewlekania każdej sprawy, a wstąpić z nią do sklepu, do marszandki, albo do banku, równało się śmierci przez upieczenie na wolnym ogniu. Talent ten posiada płeć piękna w ogóle, ale u cioci Elżbiety był on rozwiniętym do bajecznych rozmiarów: nim zmieniała kupony, nabyła kapelusz lub zamówiła fryzurę, upływało zwykle tyle czasu, że kurs papierów spadał, i moda zmieniała się, a transakcya jeszcze nie była ukończoną. Zazwyczaj ja padałem ofiarą takich wypraw, i całemi godzinami bywałem

przymusowym słuchaczem nieskończonych targów, wątpliwości i narzekań. Tym razem atoli okazya była bardziej uroczystą, i na moje szczęście ciocia uchwaliła, że „wypada“, aby jej w oficyalnej wizycie u prezydenta sądu towarzyszył siostrzeniec, mnie zaś zostawiono w salonie z Elsią i dano nam polecenie, abyśmy zatrzymali panią Marszewską, gdy nadejdzie.

Elsia, zwykle wesoła aż do pustoty, była tego dnia melancholicznie usposobioną, że odrazu znaleźliśmy się w zupełnej harmonii, bo nie potrzebuję wspominać, jak mocno ściskało mi się serce na myśl o bliskiem rozłączeniu.

— Dawno już nie wspomniałeś mi pan nic o swojej siostrze, Edmundzie — zagadnęła mię, gdyśmy się znaleźli sami na balkonie, wśród olbrzymich oleandrów. — Czy nie zapomniałeś pan już o niej?

— Nie umiem zapominać! — odparłem z westchnieniem, i popatrzyłem na nią w sposób, objaśniający znaczenie słów moich. Tak przynajmniej pochlebiałem sobie.

— Nie godziłoby się też zapomnieć o tak dobrej, tak anielskiej istocie — rzekła, nie zrozumiawszy mię. — Nie uwierzysz pan, jak pragnęłabym poznać pannę Herminę. W Starej Woli obiecywałeś mi pan zawsze, że będziesz pośredniczył, abyśmy mogły obiedwie korespondować z sobą. Dotychczas nie uiściłeś się pan z tej obietnicy.

— Nie brałem życzenia pani za coś więcej, jak za poryw chwilowy, wywołany wrażeniem tego, co mówiłem o Herminie, i co mówiły jej listy, które pani pokazywałem.

— Ja nie mam chwilowych porywów; jeżeli czego chcę i pragnę, to chcę i pragnę stale. Nauczyłeś się pan już, jak widzę, od Józia, uważać mię za kapryśną dziewczynkę, której odchciewa się wszystkiego po chwili. Tacy to wy jesteście wszyscy. Hermina lepszą jest od pana.

— O niewątpliwie jest lepszą: wszak sam to zawsze powtarzałem, ile razy mi pani pozwoliłaś mówić z sobą o niej, lub ile razy pokazywałem pani jej listy.

— Czemu mi pan teraz już nigdy nie pokazujesz jej listów? Czytałabym je tak chętnie.

— Lwów to nie Stara Wola: nastręcza on pani zbyt wiele przedmiotów bardziej zajmujących dla pani, niż moja korespondencya z Herminą. Nie śmiałbym nudzić pani nawet rozmową o tem, co mnie wyłącznie dotyczy, gdybyś pani w dobroci swojej sama nie poruszyła tego przedmiotu!

— Ślicznie! coraz lepiej! Przed chwilą posądzałeś mię pan o kaprysy, teraz już powiadasz pan, że Lwów, to wielkie miasto, tak pełne zabaw i uciech, absorbuje mię ze wszystkiem! Jota w jotę to samo, co mi prawi Józio, gdy mi chce dokuczyć. Sprzysięgliście się na to obadwaj, jak widzę.

— Bynajmniej, co do mnie, nie chciałem tylko być zarozumiałym i przypuszczać, że pani możesz interesować się tem, co mnie interesuje tak osobiście i wyłącznie.

— Wolałeś pan przypuszczać, że wielki świat nadpełtwiański odurza mię swoim wirem, że mię porywa i zachwyca. A, to bardzo pochlebne przypuszczenie! Dziękuję panu: zaraz na pierwszym wstępie, w wyobrażeniu pańskiem padłam ofiarą kołnierzyków i szkiełek pana Borodeckiego, ale ten na szczęście znikł jak kamfora, i ocalił tym sposobem spokój mojej duszy, nieprawdaż? Gdy nie stało p. Dominika, dałam się porwać i unieść wszystkim innym świetnościom Lwowa, tego małego Paryża dla takich parafianek z Podola, jak ja naprzykład! Czy tak?

— Zlituj-że się pani, prokurator państwa nie ścigałby najgorszego winowajcę tak srodze, jak pani mię oskarżasz. Wszak chciałem tylko powiedzieć, że pobyt w mieście, czy przyjemny, czy nudny, zostawia zawsze mniej chwil wolnych, niż pobyt na wsi. W Starej Woli byłem tak szczęśliwym, że codziennie mogłem rozmawiać z panią; tu w mieście, udaje mi się to raz na tydzień, i to, zaledwie na chwilę, a wkrótce, niestety, nie ujrzę pani wcale!

— Proszę nie odchodzić od przedmiotu; ja chcę, abyś mi pan dał przeczytać listy panny Herminy.

Dać jej przeczytać listy Herminy! ależ to było niepodobnem — listy te mówiły zbyt wyraźnie o tem, o czem postanowiłem nie mówić pod żadnym warunkiem! Po rozmowie

z p. Borodeckim, najmniejsza alluzya do stanu mojego serca, której dopuszczałem się w jej obecności, wydawała mi się zbrodnią: pokazać jej listy Herminy znaczyło tyle, co oświadczyć się o jej rękę, postawić na ostrzu noża kwestyę życia lub śmierci, i to śmierci przez śmieszność! Wymówiłem się tedy od pokazania listów, wskazując, że braknie na to nawet i czasu.

— Wszak możesz pan pójść teraz, i przynieść je tutaj!

— Józio ma przy sobie klucz od wspólnego mieszkania.

— Wiem przypadkiem, że macie dwa klucze. Powiedz pan lepiej otwarcie, że mi pan nie chcesz pokazać tych listów, że... jestem niedyskretną, i że nie mam prawa ich widzieć!

— Panno Elwiro! — rzekłem, błagając ją spojrzeniem o litość, bo przeczuwałem znowu cały szereg nieuzasadnionych oskarżeń.

— Dobrze więc, dobrze, kiedy mi pan nie chcesz pokazać swojej korespondencyi, to ja panu mojej nie pokażę, a dawniej, pamiętasz pan, że dawałam panu do czytania listy od moich koleżanek ze Lwowa! *Trève de confiance!* Lecz oto nadchodzi pani Marszewska, a ja mam jeszcze prośbę do pana. Zaczekaj pan na mnie chwilkę w salonie.

Wybiegła do swego pokoju, i wróciwszy, wręczyła mi list w różowej, wonnej kopercie.

— Bądź pan łaskaw oddać to na pocztę, uzupełniwszy adres! — rzekła od niechcenia.

Mimowoli rzuciłem okiem na ten adres, i zdziwiony, spoglądałem to na list, to znowu na Elsię. Na kopercie, drobniutkiem, eleganckiem pismem były te słowa: „*Mademoiselle Hermine Wielogrodzka, à Żarnow*". Im bardziej przypatrywałem się temu adresowi, i im bardziej przekonywałem się o jego rzeczywistości, tem większem było moje osłupienie.

— A widzisz pan, że obeszło się bez pana! Dobrze panu tak, teraz niech pana trawi ciekawość, kiedy pan

mojej zaspokoić nie chciałeś. Jest pieczęć, jest! — dodała z uśmiechem, widząc, że obracam list na wszystkie strony, nie mogąc przyjść do siebie od zdziwienia. — Oczywista rzecz, iż wierzę, że pan nie naruszysz tej pieczęci!

— Nie śmiałbym otworzyć listu, choćby jej nie było, chybabyś mi pani to kazała.

— Skoro pan masz takie uszanowanie dla tajemnicy listowej, to powierzę panu jeszcze jedną przesyłkę. Pani Marszewska była już na wschodach, gdy Elsia wróciła z drugą kopertą w ręku.

— Proszę to doręczyć adresatowi dopiero jutro, po moim wyjeździe, a aż do tego czasu zakazuję panu otwierać kopertę, a nawet czytać adres. Proszę mi dać na to słowo honoru.

— Daję słowo!

— I proszę postarać się o wypełnienie polecenia, zawartego w tym drugim liście, polecenia, o którem dowiesz się pan swojego czasu.

Skłoniłem się na znak posłuszeństwa — tymczasem zaś weszła pani Marszewska z córkami, a wkrótce wróciła ciocia z Józiem, i wszystko przybrało znowu obrót konwencyonalny, powszedni. Po herbacie, przy pożegnaniu, ciocia dała mi jeszcze, jak zwykle, kilka poleceń niewykonalnych, a Elsia podała mi rękę, jak gdybyśmy się nie rozłączali na czas nieoznaczony, może na zawsze! Serce mi pękało, gdy obadwaj z Józiem znaleźliśmy się sami w przedpokoju. Ale Elsia wybiegła jeszcze raz za nami, wołając Józia.

— Czegóż chcesz jeszcze, ty wietrznico — rzekł mój przyjaciel żartem, i pokazując jej mnie, dodał: — Patrz, coś z niego zrobiła!

— Ja chcę go właśnie prosić, aby nie ulegał wpływowi takiego nawskróś zepsutego cynika, jak ty, co nie wierzysz ani w Boga, ani w ludzi, a ciebie chciałam się spytać, dlaczego tak zimno pożegnałeś się z panną Wandą? Fe, widocznie jej było przykro!

— Nie bój się, w każdym pułku lekkiej jazdy jest

sześć szwadronów, a w każdym szwadronie oprócz rotmistrza, porucznik i dwóch podporuczników. Wszyscy mają błyszczące guziki, to ją pocieszy!

— Panie Edmundzie, słyszysz pan, jak on bluźni? Prawda, że pan jesteś lepszym od niego?

— Czemu ty się jego nie pytasz wyraźnie o to, co chcesz, aby ci powiedział? Mundziu powiedz-że jej, że jest lepszą od panny Wandy! Powiedz jej to i powtórz, bo ona potrzebuje koniecznie, aby to w nią kto wmówił, zważywszy, że sama w to niebardzo wierzy.

— Nie słuchaj pan tego bezbożnika — zawołała Elsia, zatykając mi uszy swojemi drobnemi rączkami. — Idź sobie, idź, ty brzydki braciszku — dodała, odwracając się od Józia, który ją chciał pocałować w czoło.

— No, kiedy ja brzydki, to niech on ciebie pocałuje — powiedział Józio, i tak nas jakoś figlarz uchwycił i trącił oboje, że stało się, jak powiedział. Elsia odskoczyła zarumieniona, pogroziła Józiowi palcem, podała mi jeszcze raz rękę i znikła.

Wypełniłem święcie jej rozkazy. List do Herminy wyprawiłem pocztą za recepisem, aby nie przepadł, drugiej zaś koperty nie otworzyłem, aż nazajutrz dostrzegłszy na niej już przedtem mimowoli, pospiesznie skreślony adres: „P. Edmund Moulard“.

Koperta nie zawierała nic, oprócz kilku niezabudek wyrwanych z bukietu i obwiniętych naprędce białą atłasową wstążką, na której haftowane były złotemi nićmi słowa: *Forget me not* (nie zapominaj mnie). Przypomniałem sobie, że Elsia pytała mię przed tygodniem, jak się to pisze po angielsku, i że musiałem jej to nawet napisać, dla pamięci.

Wyszyła więc sama, złotem na atłasowej białej wstążce to słodkie polecenie. A przy pożegnaniu polecała mi, abym się postarał o jego wypełnienie! O, jakże byłem szczęśliwym! Wszak nadto, pisała do Herminy, wszak stało się widocznie coś, o czem ja jeszcze nie wiedziałem, skoro przyszło między niemi do korespondencyi! Łamałem sobie

głowę nad tem, coby to być mogło, i z radością wybierałem się w podróż, która prowadziła mię w znajome strony, i zbliżała mię do Żarnowa, choć oddalała mię jeszcze bardziej od Elsi. Pałałem niecierpliwością widzenia się z Herminą, podczas gdy jako inżynier kolei Ławrowsko-Żarnowskiej, przystępowałem do czynności, połączonych z ostatecznem wytyczeniem trasy. Mógłbym był wstąpić do Starej Woli i zwiedzić miejsca, które mi tyle przypominały chwil szczęśliwych i rozkosznych, ale nie uczyniłem tego: Stara Wola była dziś dla mnie martwą, bo jej tam nie było. Czułem, że dostanę napadu melancholii, gdy tam zajrzę. Odwiedziłem więc tylko O. Makarego w Ławrowie, a ten nie posiadał się z uciechy, dowiedziawszy się o mojej „karyerze" — zdawało mu się, że wygrałem wielki los na loteryi, albo coś podobnego. Burglera nie było już, znikł oddawna z Ławrowa, wśród okoliczności, które kazały ludziom silniejszej wiary przypuszczać, iż go czarci porwali, za karę opilstwa. Widziano go przynajmniej pewnego skwarnego popołudnia wracającego z szynkowni do domu — później w nocy była niesłychana burza z piorunami i gradem, a rano Burgler przepadł gdzieś był bez śladu. Kraj stracił w nim łacinnika, filozofa i muzykanta, a propinacya ławrowska najwierniejszy, choć najchwiejniejszy ze swoich filarów.

ROZDZIAŁ II.

Powieść moja wyszłaby z ram, które jej nakreśliłem, gdybym chciał opisywać szczegółowo to wszystko, co spostrzegłem nowego i uwagi godnego w przedsiębiorstwie, do którego należałem. Był to ciekawy stek ludzi różnych narodowości, różnego stopnia wykształcenia, a jeszcze różniejszego stopnia uczciwości. Jeżeli Thackeray znakomitemu dziełu swojemu dał tytuł „Jarmarku próżności" a mimo to nie wyczerpał w niem wszystkiego, co nie jest

dobrym towarem, a co ludzie co dzień sprzedają i kupują za dobry towar na targowicy, zwanej światem — to gdyby kto chciał opisać dzieje założenia i budowy kolei żelaznej ławrowsko-żarnowskiej, musiałby niemi zapełnić trzy grube tomy i dać takowym tytuł: *„Robbery-fair“* (Jarmark rozboju), a jeszcze zawsze musiałby pominąć niejeden szczegół ważny dla akcyonaryuszów i dla sędziego śledczego. Ponieważ nie piszę ani dla sądu, ani dla posiadaczy papierów kolejowych, więc opowiem to tylko, co mnie osobiście dotyczyło, zostawiając każdemu swobodę domyślania się, że opisuję zdarzenia zupełnie wyjątkowe, i na których podstawie jeszcze wcale ogólnego sądu na korzyść lub niekorzyść pp. przedsiębiorców wydać nie można.

Otóż co do mnie, dość fatalnemi były warunki, które utworzył był dziwny zbieg okoliczności, towarzyszący powstaniu tego przedsiębiorstwa. Kolej ławrowsko-żarnowska miała być własnością akcyonaryuszów, którzy złożywszy pieniądze, mieli wybudować drogę i ciągnąć z niej zyski. Stało się atoli tak, że pewien bardzo bogaty pan zagraniczny, imieniem książę Blaga, utworzył wraz z kilkoma innymi panami konsorcyum, które miało najpierw znaleść akcyonaryuszów, następnie zwołać ich, aby wybrali zarząd, czuwający nad ich interesami, a dopiero ten zarząd czuwający nad interesami akcyonaryuszów miał wyszukać przedsiębiorcę budowy i doglądać go, aby wybudował kolej dobrze i tanio. Tymczasem książę Blaga i jego konsorcyum, mając na swoje zawołanie różne potężne banki, rozebrali akcye między siebie, zgromadzili się, wybrali sami siebie członkami zarządu, a następnie, sami sobie oddali budowę w przedsiębiorstwo po cenach wcale nieumiarkowanych. Nikt zapewne nie ujrzy w tem nic niewłaściwego, chociaż bowiem prawdą jest, że mila kolei żelaznej kosztuje tylko 400.000, chociaż dalej prawdą jest, że książę Blaga zapłacił księciu Bladze za budowę tej mili 600.000 — chociaż więc książę Blaga niewątpliwie oszukał księcia Blagę na każdej mili o 200.000 — jednakowoż ten sam, który brał pieniądze, dawał je ze swojej kieszeni, w zamian za akcye,

a jeżeli później znaleźli się amatorowie i kupili od niego te akcye, aby się stać właścicielami kolei trochę za drogo wybudowanej, to wina amatorów, a nie księcia Blagi. Gdyby jednak mimo tak jasnego przedstawienia rzeczy z mojej strony znalazł się rygorysta, potępiający postępowanie JO. księcia, to powtarzam raz jeszcze, że książę Blaga był cudzoziemcem, jak to już samo jego nazwisko wskazuje, że żaden pan polski nie należał do konsorcyum, które na 30 milach zyskało 6 milionów, sprzedawszy zatrzymane pierwotnie papiery.

Były więc przy kolei ławrowsko-żarnowskiej dwie kategorye urzędników, dozorców i inżynierów: jedni w imieniu księcia Blagi budowali kolej żelazną, wykupowali grunta itd., drudzy zaś, także z ramienia księcia Blagi, mieli obowiązek doglądania, aby tamci budowali jak należało i aby przy sporządzaniu rachunków liczyli tylko to, co w istocie na budowę wydano. Do tych ostatnich ja należałem. Dano mi na piśmie obszerną instrukcyę, w której zalecano mi jak najsurowszą baczność na interes publiczny i na kieszenie pp. akcyonaryuszów. Nauczyłem się jej na pamięć i wziąłem ją sobie do serca w tem przekonaniu, że gdzie chodzi o cudzą kieszeń, tam nigdy nie można być dość skrupulatnym i że im sumienniej będę pełnił powierzone mi obowiązki, tem pewniej zrobię „karyerę“ w nowym zawodzie. Zaraz też na pierwszym wstępie miałem sposobność do rozwinięcia chwalebnej mojej gorliwości. Znałem dobrze drogę z Ławrowa do Żarnowa, i przekonany byłem, że kolej żelazna od stacyi w Bednarówce wytyczona jest równiną wprost do odległego o dwie mile miasteczka Czartopola, zkąd niezawodnie tą samą równiną idzie dalej do Janówki, majętności Wgo Klonowskiego. Jakież było moje zdziwienie, gdy spostrzegłem, że trasa w Bednarówce opuszcza teren, z natury jej wskazany, że przedziera się przez wzgórza nader trudne do przekopania ku trzęsawiskom, stanowiącym dolinę gnuśnego potoku, płynącego ztąd do Hajworowa, i że zamiast jednej stacyi w Czartopolu, preliminowano ich aż dwie, jedną w Milowcach,

a drugą w Hajworowie, prowadząc kolej bagnami aż do samej Janówki, gdzie znowu potrzeba było znacznego przekopu przez wzgórza. Tym sposobem droga tworzyła łuk o dwie mile dłuższy, niż gdyby ją poprowadzono prosto, a oprócz przekopów, potrzeba było kilku mostów i nadto, w dwóch miejscach, należało sypać długie groble z dość niepewnym skutkiem, w dodatku zaś, miasteczko Czartopol, stanowiące ognisko handlu dla całej okolicy, pozbawiono stacyi, podczas gdy Wny Klonowski miał ich mieć trzy w swoich majątkach. Zaledwie komisya, do której ja należałem, stanęła w Bednarówce, wyłożyłem członkom jej moje zapatrywanie się na szczegóły powyżej przytoczone, i zapowiedziałem, iż w relacyi do przełożonej nademną władzy wytknę to wszystko i zaproponuję zmianę trasy. Zdziwiło mię mocno, gdy koledzy moi zamiast przyłączyć się do mojego zdania, usiłowali odwieść mię od tego zamiaru, wynajdując różne nader bezpodstawne powody, dla których kolej powinna była przerzynać Milowce i Hajworów. Wziął mię nakoniec na stronę najstarszy z tych panów, i objawił mi, że jest życzeniem zarządu, aby się utrzymała pierwotna trasa, która zresztą dla przyczyn „strategicznych“ nie może być zmienioną, ja zaś najlepiej zrobię, i najwłaściwiej postąpię we własnym moim interesie, jeżeli się nie będę sprzeciwiał, jeżeli przeciw życzeniom, przeważającym u „góry“, nie będę wnosił przedstawień, które muszą pozostać bezskutecznemi. — Wszystko to nie zachwiało mię ani trochę w mojem postanowieniu, i w istocie później, po przybyciu do Żarnowa, palnąłem tak siarczystą relacyę, że mimo potężnych sprężyn działających w przeciwnym kierunku, musiano zarządzić rektyfikacyę trasy w myśl moich przedstawień. Nim to atoli nastąpiło, zajechał nam jeszcze w Bednarówce drogę Wny Klonowski, którego od czterech lat nie widziałem, i który raczył był wypuścić mię zupełnie ze swojej opieki od czasu owego krótkiego a węzłowatego listu mojego, napisanego mu ze Starej Woli. Dowiedziałem się, że obywatel ten, nie wiem jakim sposobem, ma wiele wpływu w naszym Zarządzie —

nie wiedział on atoli jeszcze o tem, że byłem mianowany inżynierem kolei, i w pierwszej chwili, gdy mię poznał, skrzywił się niepospolicie. Trwało to jednak tylko moment — a zaraz potem p. Klonowski, jak gdyby w mojej osobie odszukał jedynego syna, którego miał za straconego, porwał mię w swoje objęcia i omal mię nie udusił wśród pieszczot, uścisków i całusów. Był on także niezmiernie grzecznym dla całej naszej komisyi, ubolewał, że tak źle jesteśmy ulokowani w karczmie bednarowieckiej, doniósł nam, że wydał swojemu rządcy w Milowcach rozkazy tyczące się naszego przyjęcia w tem miejscu, i zaprosił nas na objad i na nocleg do Hajworowa, poczem odjechał. Natychmiast po jego odjeździe pojawiła się deputacya z Czartopola, która przybyła przedstawić komisyi, jak mocno pokrzywdzono to miasteczko przy wytyczeniu kolei żelaznej. Głównie przemawiał ksiądz ruski, który przypisywał wpływowi p. Klonowskiego dziwaczną trasę, powyżej opisaną. Był to wielki weredyk, i wielki przytem, jak się pokazało, nieprzyjaciel mojego opiekuna. Rozgadałem się z nim szeroko o stosunkach całej okolicy, i wkrótce dowiedziałem się, jak słusznym był jego żal do p. Klonowskiego. Ksiądz miał w Czartopolu Pana Jezusa, słynącego oddawna cudami, a tem samem, miał liczne odpusty, bardzo uczęszczane. Tymczasem, przed czterma laty, p. Klonowski, nabywszy Milowce za 16.000 złr. od Pomulskiego, dał prezentę na probostwo tamtejsze nie ks. Sarafanowiczowi, zięciowi ks. proboszcza z Czartopola, ale jakiemuś ks. Horpyniukowi, który, według gołosłownych twierdzeń strapionego teścia, szeptanych mi na ucho w Bednarówce, zapłacił p. Klonowskiemu o 300 złr. więcej za tę prezentę, niż ofiarował ksiądz Sarafanowicz. Nadto ks. Horpyniuk miał być człowiekiem złej konduity, żył źle z obywatelami i buntował włościan, co w jeszcze gorszem świetle stawiało jego kolatora. Najgorszą zaś i najbardziej opłakaną była ta okoliczność, iż ks. Horpyniuk porozumiawszy się z p. Klonowskim i z arendarzem milowieckim, Herszkiem, wykonał zamach już nie na zięcia ks. Knuryka (tak zwał się ks. proboszcz

z Czartopola) ale co ważniejsza, na jego obraz cudowny. Puścili bowiem — to są słowa ks. Knuryka — puścili jakieś l i c h o z a p t e k i w studnię, znajdującą się koło cerkwi, i niebawem w studni tej kobiety czerpiące wodę spostrzegły siedm gwiazd niezwykłego blasku, a Herszko, snać biegły w teologii, objaśnił ludowi, że to są gwiazdy, składające koronę Matki Boskiej. Lud począł zbiegać się z całej okolicy, i ktokolwiek żył, ten mógł oglądać owe gwiazdy własnemi swojemi niegodnemi oczyma. Sama p. Klonowska z Hajworowa, przybywszy na miejsce cudu tak sparaliżowana, że ją służba musiała wynosić z karety, zaledwie zmówiła pięć razy Zdrowaś Marya i umyła się wodą ze studni, wstała zupełnie zdrowa, a kiedy raz w pobliżu zajęła się stodoła chłopska i pożar groził całej wsi zniszczeniem, ksiądz Horpyniuk umaczał kropidło w wodzie studziennej i pokropił nią ogień, w skutek czego z pogodnego nieba puścił się deszcz ulewny i stłumił buchające płomienie. Ks. Knuryk powtarzał to, co ludzie opowiadali, ale ze swojej strony zapewniał, że p. Klonowska nigdy nie była sparaliżowaną, i że deszcz w chwili powstania owego pożaru lał już od godziny, i to nie z pogodnego nieba, ale z chmur, których może chłopi nie widzieli, bo byli pijani, gdy wybiegli z karczmy do ognia. Bądź co bądź, p. Klonowska, doświadczywszy cudu, kazała wymurować kaplicę tak, aby studnia znajdowała się w jej obrębie — kaplicę tę zamykają na klucz i otwierają przystęp do cudownej wody tylko w czasie czterech odpustów, które p. Klonowski wyprosił u konsystorza; propinacya zaś w Milowcach z 500 złr. podniosła się na 3000 złr. rocznie, dochód z plebanii podniósł się w tym samym stosunku; a teraz jeszcze, dla tem większego podniesienia wartości majątku i dla sprzedania kilku morgów nieużytku pod dworzec kolei, p. Klonowski postarał się o to, aby Milowce przeznaczono na stacyę drogi żelaznej. Ks. Knuryk zakończył swój wywód, ofiarując mi ze strony gminy Czartopolskiej 500 złr. pod warunkiem, abym przemawiał przeciw temu planowi, i abym bronił cudownego Pana Jezusa przed wzrastającą co roku

przewagą cudownej Matki Boskiej. Odepchnąłem tę propozycyę z oburzeniem, zapewniając szanownego proboszcza, że obowiązek mój dostatecznym jest powodem, bym się sprzeciwił prowadzeniu drogi na Milowce — pieniędzy zaś nie przyjmę. Ks. Knuryk po długiem a bezskutecznem naleganiu zmuszony był kontentować się tem mojem oświadczeniem, ale widocznem było, że mi nie dowierza, a deputacya czartopolska wróciła do domu z tem przekonaniem wewnętrznem, iż Klonowski przekupił już całą komisyę.

Nazajutrz stanęliśmy w Hajworowie, gdzie, mimo nalegań moich towarzyszy, zajechałem do karczmy, wymawiając się bolem głowy od wizyty w dworze. Pan Klonowski rozgorzał atoli taką ku mnie miłością, iż przysyłał jednego posłańca po drugim, abym przybył koniecznie, a gdy to nie pomogło, p. Klonowska przysłała mi do karczmy obiad, którego nie tknąłem. Mogłem pojednać się z Guciem i polubić go nawet, ale krzywdy wyrządzone przez jego ojca mnie i tym, których kochałem, zbyt żywo stały mi w pamięci, bym dobrowolnie mógł spocząć pod ich dachem lub przyjąć kawałek chleba z ich ręki. Posiliłem się tedy kilkoma jajami na twardo, a nie mogąc wysiedzieć w izbie karczemnej, wyszedłem ku niewielkiej sośninie, znajdującej się opodal, i położyłem się tam w cieniu, aby podumać trochę o Elsi, przycisnąć do serca jej niezabudki i łamać sobie głowę nad tem, co mogła pisać do Herminy, i jakim sposobem w ogóle wdała się z nią w korespondencyę. Wśród tego zajęcia, usłyszałem kroki, zbliżające się ku mnie od strony karczmy, a oglądnąwszy się, ujrzałem przed sobą p. Klonowskiego.

Opiekun mój szukał mię snać w lesie, jak zbłąkanej owieczki, i przywdział był *ad hoc* swoją najdobroduszniejszą fizyognomię, oprócz wielkiego płóciennego szarafana i większego jeszcze kapelusza słomianego, pod którym miał minę niezmiernie patryarchalną. Nie potrzebowałem wprawdzie już teraz ukrywać mojej niechęci ku niemu, jak dawniej, kiedy byłem małym chłopcem; mimo to jednak rozbroiła mię, choć nie przejednała, ani nie oszukała ta maska

poczciwości i serdeczności. Jest coś w naturze ludzkiej, na czem oszusty parzą sobie palce: nieraz rozmawiamy z intrygantem, którego znamy nawskróś, tak, jak gdybyśmy brali za dobrą monetę wszystko, co nam prawi. Niekażdy z nas rodzi się weredykiem i niekażdy przy pierwszej lepszej sposobności potrafi wypalić takie kazanie, jak ów kapucyn w *Wallensteina Obozie*; słucha się i milczy, albo i potakuje, chociaż się wie doskonale, z kim się ma do czynienia. To też nieraz intrygant wpadnie w łapkę i oszukuje się grubo, licząc na to, że nas oszukał; a później, gdy się przekona o swojej pomyłce, wściekłość jego nie zna granic. Przypisuje on naszej chytrości to, co było tylko wynikiem indolencyi lub dobrego wychowania. Klonowski zawiódł się był na mnie w owej sprawie z Burglerem w podobny sposób, i z pewnością nie zapomniał mi tego, ani nie przebaczył; mógł on wiedzieć najlepiej, że go znam na wylot, i że mu się oszukać nie dam. Mimo to maskował się, może z nawyczki, lub dla ćwiczenia się w swojem rzemiośle; ja zaś nie zdzierałem mu odrazu z twarzy tej maski, bo mię bawiła. Kiedy więc począł mię wypytywać z jak największem zajęciem, czy jestem bardzo cierpiącym, i kiedy nalegał, abym się przeniósł do dworu, gdzie będę miał wszelkie wygody, nie powiedziałem mu otwarcie, że nie chcę przestąpić jego progu, ale szukałem różnych wymówek.

— Ależ-toś uparty! Zhardziałeś widzę, odkąd zostałeś inżynierem. Ale, ale, zapomniałem ci powinszować, musisz stać wcale nieźle na twojej posadzie?

— O tak! Mam przeszło trzysta złr. miesięcznie — rzekłem od niechcenia.

— To bardzo pięknie, a jednak, gdybyś się był zgłosił do mnie, byłbyś otrzymał jeszcze świetniejsze stanowisko. Nie wiedziałem wcale, że jesteś urzędnikiem tej kolei, której ja jestem radcą nadzorczym. Szkoda, wielka szkoda! Ale co się odwlecze, to nie uciecze: przy pierwszej sposobności możesz być pewnym awansu.

— Dziękuję panu, nie zasłużyłem na to wcale.

— No, no, mój kochany, możesz zasłużyć, wszak wiesz, że niema „karesu bez interesu". Otóż jeżeli ci ofiaruję moją protekcyę, to po części dlatego, że mam interes do ciebie.

— Interes... do mnie?

— Czegóż się dziwisz? Wszak wiesz tak dobrze jak ja, że trasę kolei wytyczono przez Milowce i Hajworów do Janówki, i że mi może zależeć na tem, aby stacye były w moich majątkach. Czyniłem też swojego czasu zabiegi, aby w ten sposób poprowadzono drogę, i jeżeli mi się to udało, to masz tem samem najoczywistszy dowód, że mój głos coś znaczy. Wszystko jednak zawisło od tego, by już więcej nikt nie poruszał tej sprawy, a ty, jakkolwiek podwładny urzędnik, możesz mi pomódz milczeniem. Nie wiedzieć poco wygadałeś się przed komisarzem rządowym z jakiemiś zarzutami przeciw mojej trasie: w ten sposób, mój kochany, nigdy nie zrobisz karyery. Masz przecież rozum, i nie potrzebuję tłómaczyć ci wszystkiego obszernie. Rzecz ma się tak: nie będziesz tykał pierwotnej trasy, a natomiast przy oczekiwanej lada chwila stałej organizacyi służby, otrzymasz posadę starszego inżyniera. Cóż, hę?

— Zapowiedziałem relacyę przeciw projektowi, który pan nazywasz swoim, bo projekt ten przyczyni przeszło pół miliona kosztów towarzystwu i jest w ogóle niemożliwym do wykonania.

— Niemożliwym! niemożliwym! Mój kochany, tu nie tacy jak ty, młodzi ludzie, ale doświadczeni inżynierowie badali teren i uznali, że droga na Milowce i Hajworów jest wprawdzie cokolwiek dłuższą, ale nierównie dogodniejszą, bo budulec jest wszędzie pod ręką! Co ty mi mówisz o niemożliwości! Wszystko jest możliwem! Jednem słowem, czy przystajesz na moją propozycyę?

— Nie!

— No, rozumiem. Powiedz-że mi otwarcie, ile ci dali Czartopolscy za to, abyś bronił ich sprawy?

— Panie Klonowski! — zawołałem z oburzeniem, zrywając się z ziemi.

— Mój kochany, nie unoś się; przecież my się znamy na takich rzeczach! Wiem, że złożyli 500 złr. na ten cel; otóż ja ci daję tysiąc i posadę starszego inżyniera. Czy zgoda?

Zamiast odpowiedzi, spojrzałem na „jednego z najzacniejszych obywateli kraju“ tak, jak na to zasługiwał, i odszedłem szybko ku karczmie. Klonowski pospieszył za mną i prawił dalej poza mojemi plecami:

— Chcesz gwarancyi, jak widzę, to rzecz bardzo słuszna. No, ja wiem, że mogę polegać na twoim honorze, dam ci tych tysiąc złotych zgóry, i zobowiążę się pisemnie wypłacić ci dwa tysiące, gdybyś do trzech miesięcy nie był mianowany starszym inżynierem. Odemnie, jako od opiekuna, możesz bez obawy przyjąć taki cerograf. Poczekaj-że trochę, bo cię nie mogę dopędzić. Edmundzie, czy żądasz może czego więcej?

Tego mi już było zawiele. Obróciłem się na miejscu i zaczerwieniony od gniewu krzyknąłem:

— Panie Klonowski, czy ja kiedy może z panem do spółki oszukiwałem pańskich pupilów, albo układałem plany na obdarcie sierót z ich mienia, że pan mię uważasz za równego sobie?

Opiekun mój zbladł jak jego płótnianka: obadwaj trzęśliśmy się ze złości i nie mogliśmy wymówić ani słowa. Klonowski pierwszy przyszedł do siebie o tyle, że potrząsając laską i pieniąc się, jak ongi w Żarnowie, zasyczał:

— Chłopcze, nie zrywaj zemną, bo nim się obaczysz, wylecisz z posady!

— A ty nim się obaczysz, będziesz w kryminale krzywoprzysięzco!

— Ja... krzywoprzysięzca? Kto mi to może udowodnić? — Klonowski był jeszcze ciągle w pasyi, ale ton jego znacznie był zmieniony.

— Kto? Ja! Wszak przysiągłeś w procesie przeciw komornikowi Wielogrodzkiemu, że nie pożyczałeś nigdy pieniędzy od mojego ojca: twój skrypt i twoje listy, które mam w ręku, będą teraz świadczyły przeciw tobie!

— Kłamiesz, nie masz tych papierów, ja sam je zniszczyłem.

— Powiedz, że chciałeś je zniszczyć; powiedz, że przeszukałeś cały dom Buschmüllerowej, aby je znaleźć, a nie znalazłeś!

— No, nie znalazłem — przyznał mój opiekun mocno skruszony — ale i ty ich nie masz, byłbyś je dał Wielogrodzkiemu podczas procesu. Nie masz ich, nie masz! — dodał z tryumfem spostrzegłszy, że straciłem cokolwiek kontenans. Lecz szybko jak błyskawica przeszła mi przez głowę myśl, że potrzeba utrzymać Klonowskiego w mniemaniu, iż posiadam owe straszne papiery; ponieważ zaś już poprzednio myślałem nieraz, że do tego przyjdzie, i układałem sobie co powiedzieć w takim razie, więc odrzekłem z wielką pewnością siebie:

— Papiery znalazły się niestety dopiero po procesie, a komornikowi ich nie dawałem, aby się nie maltretował wznawianiem sprawy. Zrobię z nich sam użytek, swojego czasu. Mam je tutaj.

To mówiąc, wydobyłem z kieszeni plik rozmaitych szpargałów urzędowych, które miałem przy sobie, pokazałem je Klonowskiemu i schowałem napowrót. Szpargały moje musiały chyba być bardzo podobne do starych skryptów i listów, bo kochanemu opiekunowi aż oczy krwią nabiegły.

— Pokaż, pokaż! — zawołał, rzucając się na mnie z taką siłą, że omal mię nie obalił. Czułem, że chce mi wydrzeć papiery, i przytrzymując jedną ręką moją kieszeń, drugą odepchnąłem go od siebie.

— Powoli — dodałem z szyderczym uśmiechem — pokaże się to wszystko w sądzie, jeżeli pan Klonowski nie będzie grzeczny. Ja bardzo proszę pana Klonowskiego, bardzo uniżenie proszę, aby pan Klonowski był łaskaw nie odpędzać mię od służby kolejowej, bo w takim razie pan Klonowski pójdzie do kryminału! Upadam do nóg pana Klonowskiego!

— Zkąd on mógł wziąć te papiery! — To były osta-

tnie słowa, jakie zasłyszałem z ust mojego opiekuna, zostawiwszy go pod laskiem niepospolicie złamanego i odurzonego tą sceną. Wróciłem do karczmy, aby się wydychać po tak gwałtownem wzruszeniu i aby się dziwić samemu sobie, że mi się udało tak dobrze zaimponować Klonowskiemu.

Zajście nasze nie było bez świadków. Sośnina, o której wspominałem, znajdowała się na wzgórzu, a miejsce naszego spotkania widzialnem było z folwarku, na którym mieszkała owa sentymentalna pani ekonomowa, znana czytelnikowi z pierwszych rozdziałów mojej powieści. Dama ta miała, jak wiadomo, wiele sympatyi dla mnie, gdy byłem małym chłopcem, i częstowała mię nieraz kawą wzamian za wiersze, które jej odpisywałem do jej albumu. Pana Klonowskiego nie cierpiała od czasu, gdy kazał wyciąć ulubione jej drzewa na kępie — a i ona także nie była w łaskach we dworze. Widziała ona z ganku swojego, że miałem cokolwiek niegrzeczną rozmowę z chlebodawcą jej męża. Wieczór, wyszedłszy na przechadzkę koło stawu, spotkałem ją przypadkiem. Powiadam „przypadkiem", bo nie mam innej pewności, są atoli poszlaki, że czatowała na mnie umyślnie, z ciekawości, aby się przekonać, czy bardzo wyrosłem i zmężniałem, i co też spowodowało moje zajście z p. Klonowskim. Zaprosiła mię oczywiście znowu raz na kawę, a ponieważ p. Kwaskowski, mąż mojej przyjaciółki, wyjechał był na jarmark do Czartopola, więc w nieobecności tego wiernego sługi dworskiego, pani Kwaskowska szeroko i długo opowiedziała mi rozmaite żale, które miała w sercu do rodziny Klonowskich. Starała się przytem dowiedzieć, jakiego rodzaju nieporozumienie zaszło między mną a moim opiekunem, i jakie to papiery on mi chciał wydrzeć. Nie uważałem za stosowne zaspokoić jej ciekawość, co ją trochę rozżaliło, mimo to jednak przy pożegnaniu dała mi przyjacielską radę, abym się wystrzegał rudego Szlomy, szynkarza, który jest prawą ręką Klonowskiego i pomaga mu obdzierać ludzi, szpieguje i t. p. Nie mogłem zrozumieć, co mogło być do szpiegowania w Haj-

worowie, i kogo tam można było obdzierać; mimo to przestroga pani Kwaskowskiej nie okazała się zbyteczną i w nocy, którą przepędziłem na stole w izbie szynkowej, schwytałem pana Szlomę na gorącym uczynku, w chwili gdy próbował wyciągnąć mi z pod głowy paczkę papierów, wskazaną mu snać przez kogoś, co ją widział przedtem. Ponieważ najbliższy posterunek żandarmeryi był o dwie mile, a ukarania winowajcy przez sąd niełatwo się można było spodziewać, więc kontentowałem się sumaryczną egzekucyą, którą sam natychmiast wykonałem na rudej osobie pana Szlomy, i której on poddał się z wzorową cierpliwością, jakkolwiek była bolesną. Fakt ten przekonał mię, że Szloma jest w istocie „urzędnikiem do tajemnych zleceń“ p. Klonowskiego i postanowiłem uważać na niego i mieć się na baczności, gdy będę znowu w tych stronach.

Być może, że p. Szloma przypuszczał, iż mam wiele pieniędzy przy sobie, i że przedsięwziął tę wyprawę nocną na własną rękę; na wszelki wypadek atoli było to rzeczą dziwną, że zamiast wziąć mój pugilares, który leżał na wierzchu, sięgał z narażeniem swojej skóry po papiery, które pokazywałem Klonowskiemu, i które były dla niego pustym wprawdzie, ale skutecznym postrachem. Wiadomo czytelnikowi, że nie posiadałem ani skryptu, ani listów, których istnienia obawiał się były mój opiekun; wiedziałem o nich jedynie z rozmowy jego z żoną, podsłuchanej przed laty w Hajworowie. Od czasu do czasu rozmyślałem, gdzie też mogły były znajdować się te dokumenta, ale nie mogąc wpaść na żaden, chociażby cokolwiek prawdopodobny domysł, porzucałem wkrótce ten temat, jakkolwiek czułem, że w danym razie posiadanie takich papierów byłoby dla mnie rzeczą pożądaną. Kompromitowały one Klonowskiego w wysokim stopniu, dzięki jego zawziętości. Gdy kroki sądowe, przedsięwzięte przez p. Wielogrodzkiego, spełzły na niczem, Klonowski wiedziony chęcią zemsty, wytoczył był komornikowi proces o obrazę honoru, ponieważ obwinił go niesłusznie o zatajenie i przywłaszczenie sobie cudzych pieniędzy. Przy tej sposobności, ponieważ prawo austryackie

pozwala przesłuchiwać oskarżyciela w charakterze świadka, Klonowski zeznał pod przysięgą, że nigdy nie pożyczał pieniędzy od mego ojca. Skrypt i listy jego, gdyby się znalazły, wystarczyłyby były, jak mię zapewniał jeden z przyjaciół moich prawników, aby go przekonać aż z dwóch paragrafów kodeksu o zbrodnię oszustwa, a z trzeciego paragrafu o zbrodnię sprzeniewierzenia — ale skrypt i listy przepadły bez śladu.

Nie myślałem więcej o tej sprawie, gdy po długiej, powolnej i niewygodnej wędrówce wzdłuż wytyczonej linii drogi żelaznej dotarłem nareszcie do Żarnowa i zawitałem u państwa Wielogrodzkich. Przyjęto mię tam, jak ojciec biblijny przyjął marnotrawnego syna, gdy wrócił w jego objęcia: wszyscy moi drodzy mieli łzy radości w oczach, nadbiegł dr Goldman i ksiądz Olszycki, oglądano mię, podziwiano i cieszono się mną, jakby Benjaminkiem rodziny. Komornikowstwo, którzy mocno już byli się pochylili ku starości, odżyli formalnie na mój widok, on zapomniał ze wszystkiem o coraz dokuczliwszej swojej podagrze, ona dryptała ciągle z kluczykami, aby mię odkarmić po uciążliwej podróży, a od czasu do czasu całowała w czoło naprzemian mnie i Herminę, która była jeszcze piękniejszą i serdeczniejszą, niż kiedy ją ostatni raz widziałem, ale niestety, wydała mi się zmienioną pod pewnym innym względem. Mianowicie, choć nie mogę powiedzieć, by utraciła cokolwiek ze zwykłej swojej wesołości i swobody umysłu; mimo to jednak, krył się w niej jakiś smutek, który dostrzegłem odrazu, znając tak dobrze każdy wyraz jej twarzy i spojrzenia. Czekałem niecierpliwie chwili, w której będę mógł pomówić z nią sam na sam — miałem do tego tyle powodów — ale chwili tej niełatwo się było doczekać wobec życzliwości tylu osób, które chciały mnie mieć ciągle w swojem gronie. Musiałem każdemu z osobna szczegółowo zdać sprawę z czterech lat, w ciągu których nie byłem w Żarnowie, a nadomiar, jako człowiek zajmujący już teraz pozycyę publiczną, musiałem rozgadywać się szeroko o nowo powstającej kolei żelaznej, która utrzymywała cały Żarnów

w nieustannej emocyi od chwili, gdy zakiełkował pierwszy jej projekt. Tak upłynął prawie cały pierwszy dzień mojego pobytu „w domu“ — w domu! jak słodkim jest ten wyraz, tego nie rozumieją ci, którzy go najczęściej używać mogą.

Przed herbatą wybiegła raz jeszcze pani Wielogrodzka, raz jeszcze ucałowała nas, swoje dzieci, a potem zwracając się do mnie, zawołała:

— Ale wiesz, Mundziu, jest tu jeszcze ktoś, co cię bardzo dawno nie widział i co pragnie cię powitać! Ciekawam, czy poznasz?

Po tych słowach otworzyła drzwi i wpuściła do bawialnego pokoju kobietę w bawełnianej chustce, zawiązanej na wzór szala i w drugiej takiej samej chustce na głowie. Kobieta ta spojrzawszy na mnie z płaczem rzuciła mi się do nóg i wśród łkania, które jej nie dało mówić, całowała mię w ręce i kolana. Chciałaby mię była podobnoś wziąć na ręce i tulić i hołubić, jak dawniej, kiedy byłem mały, i kiedy mię piastowała. Była to Kasia, jedyna służąca mojej matki, której nie widziałem, odkąd p. arendarz Mortko wywiózł mię z Żarnowa do Hajworowa, ale którą poznałem odrazu po tym wylewie niekłamanego uczucia. Płakała i śmiała się naprzemian, a gdy odzyskała głos, nie mogła znaleźć innych wyrazów, oprócz luźnych okrzyków podziwienia, żem taki piękny, a taki słuszny, a taki podobny do nieboszczki pani — i znowu zalewała się łzami... Pan inżynier Edmund Moulard rozpłakał się także jak bóbr, i całował Kasię w jej rumiane policzki, jak to zwykł był czynić Mundzio, gdy się jeszcze uczył trudnej sztuki chodzenia na dwóch nogach i najchętniej przebywał na rękach u Kasi. Cały świat drogich wspomnień rysował się w tej chwili na dnie mojej duszy i przybierał żywe kształty; długo, długo nie mogłem opanować silnych wrażeń, których doznałem, i dziś jeszcze pisząc, muszę odłożyć pióro i otrzeć wilgotne oczy, bo mi smętna i miła zarazem pomroka przeszłości nie dozwala patrzeć w teraźniejszość. Opieram głowę o piękną kibić drogiej istoty, która patrzy przez moje ramię i słodkiem

swojem spojrzeniem śledzi słowa, skreślone dla świata martwemi głoskami, a dla mnie i dla Niej, pismem serca, którego świat nie rozumie. Opieram głowę i marzę — nie, nie marzę: jestem szczęśliwy i marzyć nie potrzebuję, bo mam moje marzenia na jawie!

Po długiej scenie rozrzewnienia, w której brały żywy udział p. Wielogrodzka i Hermina, rozgadaliśmy się cokolwiek z Kasią i dowiedziałem się od niej, że wyszła zamąż, i że małżonek jej w bujnym polocie swojej ambicyi sięga po posadę dozorcy robót przy kolei żelaznej, do czego posiada zupełną kwalifikacyę. Byłem uszczęśliwiony, że mogę mu dopomódz w zdobyciu tego złotego runa, a Kasia uszczęśliwioną była z tej nowej sposobności wycałowania mi rąk i nóg mimo wszelkiej opozycyi z mojej strony.

Myślałem, że chce już odejść, pokazało się jednak, że ma jeszcze coś do powiedzenia, tylko nie wie, jak zacząć, aby swego kochanego panicza znowu nie zasmucić. Gdy mi się udało uspokoić jej obawę, przyznała się, że ma mi coś oddać, co jej ktoś dał dla mnie.

— Któż taki, Kasiu?

— Nieboszczka pani.

— Moja matka!

— To tak było, proszę panicza. Kiedy nieboszczka pani tak bardzo zachorowała nad ranem, a panicz mały jeszcze spał, pani zawołała mię i powiedziała mi, że umrze. Tak ja zaraz poznała, że pani ma gorączkę, i pani sama mówiła, że jej się robi ciemno w oczach i że traci przytomność. Wtenczas pani wyjęła z szuflady papiery i powiedziała mi: Kasiu, oddasz to Mundziowi, ale dopiero, jak wyrośnie i będzie słuszny. Przysięgnij mi, że mu oddasz, a nikomu więcej. Tak ja się zaklęłam na moją duszę i na Przenajświętszy Sakrament, że nie oddam nikomu, tylko paniczowi, jak wyrośnie, i schowałam te papiery. A potem jak ten pan ze wsi przyjechał i z nim przyszedł kancelista z magistratu i szukali wszędzie, w pokojach i na strychu, to ja się zaraz domyśliłam, że szukają tych papierów, alem nic nie mówiła nikomu, nawet potem memu mężowi. Ale teraz

dzięki Bogu, kiedy nasz panicz tak wyrósł i taki piękny i taki słuszny, że się aż dusza raduje, to ja przyniosła te papiery.

Zrozumiałem powody polecenia, które biedna matka moja dała Kasi. Mogła jej była polecić, aby oddała papiery komornikowi Wielogrodzkiemu, ale szybko postępujące zapalenie mózgu złamało jej umysł: pamiętała już tylko o mnie, i o tem, że jestem mały, i że mogą mi odebrać bezkarnie, cokolwiekbym miał w ręku; Kasia od kilkunastu lat służyła u niej i czuła, że może jej zaufać. Podczas tego mojego melancholicznego rozumowania, Kasia wydobyła spore zawiniątko, troskliwie obwiązane chustkami, rozpakowała i wręczyła mi papiery.

Skonstatowaliśmy, że papier zawierał:

1. Trzydzieści listów zastawnych Towarzystwa kredytowego po 100 złr. z kuponami.

2. Skrypt Wgo Klonowskiego, ostęplowany i zaopatrzony podpisami żyjących jeszcze świadków, a zeznający, iż Wny Klonowski pożyczył od mego ojca dwadzieścia siedm tysięcy sztuk srebrnych austryackich *cwancygierów* pełnej wagi, które to *cwancygiery* w równej jakości co do srebra każdego czasu oddać się obowiązuje po wypowiedzeniu półrocznem; przez czas zaś trwania pożyczki płacić będzie procent 4% od tej sumy w ratach półrocznych zdołu, srebrem lub banknotami podług każdorazowego kursu srebra na targu lwowskim, jak tenże wykazany będzie w *Gazecie Lwowskiej* w ostatnim dniu półrocza.

3. List Wgo Klonowskiego do śp. mojego ojca, poświadczający, iż Wny Klonowski za pieniądze dane mu przez pana Alfreda Moulard kupił dożywocie na Krasnopolu, że skrypt powyższy dany był *pro forma*, że p. Klonowski otrzymał pismo p. Moularda uwalniające go od płacenia procentu od pożyczonej sumy, i że po śmierci pani Wilskiej, pan Alfred Moulard w dwóch trzecich, a Wny Klonowski w jednej trzeciej części będą właścicielami Krasnopola, w ten sposób, że gdyby wobec ustaw austryackich p. Moulard nie mógł nabyć posiadłości tabularnej, Krasnopol ma

być otaksowany przez wskazanych zgóry mężów zaufania i p. Klonowski albo natychmiast wypłaci p. Moulardowi $^2/_3$ oszacowanej sumy, albo też pozwoli mu się zahipotekować z tą sumą w stanie biernym dóbr Krasnopola.

4. Różne inne listy Wgo Klonowskiego, stwierdzające szczegółowo układ powyższy.

5. Małą karteczkę, a na niej skreślonych ołówkiem pięć słów, na których widok stracić musiała w moich oczach wszelką wartość reszta pakietu. Były to wyrazy „*God bles my dear child*“ (Niech Bóg błogosławi moje drogie dziecię), napisane drżącą ręką mojej kochającej matki, jej pożegnanie, którego już ustnie powtórzyć nie mogła, i które po ośmiu latach rozdarło mi serce takim bolem, jak wówczas nieme jej spojrzenia. Kasia opowiedziała mi z płaczem, że tę karteczkę napisała pani w chwili, gdy jej wręczała papiery. Mnie łez brakło... przycisnąłem tę świętą relikwię do ust i byłem wdzięczny obecnym, że nikt nie przemówił ani słowa w tej chwili.....

Kasia odeszła obiecawszy, że przyjdzie oglądać mię codzień, póki będę w Żarnowie. Komornik zgadzał się w zdaniu ze mną, że za pomocą odszukanych teraz dokumentów najlepiej jest trzymać Klonowskiego w szachu, a użyć ich należy dopiero w ostatecznym razie. Dałem je do przechowania Herminie, bo na moich wędrówkach wzdłuż trasy kolejowej skarb ten łatwo mógł się dostać w ręce jakiego p. Szlomy. Wziąłem z sobą tylko karteczkę mojej matki, z którą rozstać się nie mogłem, i listy zastawne, owoc długoletnich oszczędności tej świętej kobiety, której raz Klonowski wyrzucał rozrzutność! Miałem nadzieję, że uda mi się włożyć ten kapitalik w jakie korzystne przedsiębiorstwo.

Po herbacie, nakoniec, wist komornika zwrócił na siebie i skoncentrował uwagę łaskawych moich przyjaciół, chociaż i przy tej sposobności nie odrazu udało mi się uwolnić, dr. Goldman nie mógł bowiem pojąć, jak można być inżynierem kolei żelaznej, a nie grać wista. Wykładał mi więc obszernie zalety tej gry, jako niewinnego nałogu ludzi

znużonych całodzienną, jednostajną pracą, i potrzebujących koniecznie, aby ich pod wieczór czekało coś, o czem już naprzód myślą z przyjemnością wśród zajęć, nieraz tak przykrych. Pojmuję też doskonale, że lekarz, ksiądz, albo adwokat — ludzie stykający się od rana do wieczora z wszystkiemi fizycznemi i moralnemi dolegliwościami, z wszystkiemi mizeryami i brzydotami życia ludzkiego, potrzebują takiej rozrywki i chętnie poświęcają jej swoje wieczory. Jużci kładąc się do łóżka, lepiej mieć głowę napełnioną wspomnieniem *impasu*, który się udał, albo też choćby żalem z powodu nie w porę wydanego *atuta*, niż wspomnieniem choroby, śmierci lub nędzy, którą się widziało w dzień i którą widzieć się będzie nazajutrz. Wszystko to prawda; ale skoro się ma rok dwudziesty pierwszy życia, i takie ważne sprawy, o którychby się chciało pomówić z Herminą, wist jest jedną z najokropniejszych tortur, a na samą myśl o nim, możnaby wyskoczyć przez okno. Pojął to doskonale kochany komornik, i zrobił uwagę, że „młodzież“ znajdzie sobie zapewne jakieś zabawniejsze zajęcie, i że sam, gdy był młody, i pani Wielogrodzka była jeszcze panną **, to byłby go nikt nie zwabił za nic w świecie do zielonego stolika. Uwaga ta tak mocno trafiła do przekonania komornikowej, że *ex officio* wyprowadziła się ze mną i Herminą do altanki w ogródku, a potem nagle przypomniała sobie ważny szczegół, tyczący się kolacyi, to mianowicie, że pan inżynier Mundzio jest przyjacielem pewnej pieczeni na pewnym sosie, i że potrzeba mu ją kazać przyprawić w ten sposób.

— A gdybyś ty wiedział, jak Hermina doskonale przyrządza tę pieczeń! No, kiedyś ona ci ją przyprawi, ale dziś, nie chciałabym was rozłączać, moje kochane dziatki; wygadajcie się tutaj za wszystkie czasy; wszak mieliście zawsze tyle do powiedzenia jedno drugiemu, że dziwiłam się nieraz, zkąd takim malcom przybywa tyle przedmiotów do rozmowy. Mój Boże, mój Boże, a jak mi się to oboje ślicznie wychowało!

I nieoceniona staruszka, wypieściwszy nas i wycałowawszy

ze łzami w oczach, wróciła do pokoju, zostawiając nas samych. Rozrzewniony temi drobnemi objawami prawdziwie macierzyńskiej czułości, a przejęty upokarzającem uczuciem, jak mało na nią zasługiwałem, pozostałem jakiś czas w milczeniu, zastanawiając się nad różnicą położenia mojego i Herminy, która nie wiedziała przynajmniej, że nie jest córką państwa Wielogrodzkich. Spostrzegłem nagle, że Hermina płakała, i mimowoli spytałem ją o przyczynę. Wbrew swojemu zwyczajowi, nie dała mi odpowiedzi. Zdziwiony i zaniepokojony, począłem nalegać, nie tając mego zdziwienia, pochodzącego ztąd, że nie przypuszczałem, by Hermina mogła mieć powód do tak widocznie głębokiego smutku.

— Nie pytaj mię nigdy o to — odpowiedziała nakoniec. — Wszak pamiętasz, że przed czterma laty miałeś także jakąś tajemnicę, i że nie nalegałam, abyś mi ją powiedział. Teraz, ja mam moją.

— Ty... masz tajemnicę! — zawołałem w sposób, który nie musiał być wolny od pewnej przymieszki powszedniej bardzo domyślności, obok zdumienia, bo Hermina uśmiechnęła się i rzekła:

— O, nie myśl... Nie jest to wcale moja wyłącznie tajemnica, i jeżeli cię proszę, byś nie nalegał na mnie, to tylko dlatego, że postanowiłam, iż nikt, nikt nie dowie się, iż przypadkiem wiem o tej tajemnicy!

Wtajemniczonemu nietrudno było odgadnąć, o co chodzi. Mimowoli żachnąłem się i biorąc Herminę za rękę, powtórzyłem głośno szybki bieg mojej myśli.

— Więc ty wiesz... więc znalazł się ktoś dosyć zły, albo dosyć głupi, co ci to powiedział?... Powiedz mi, powiedz, kto był tak podłym!

Kolej zdziwienia przyszła teraz na Herminę, zrozumiawszy mię jednak i przeniknąwszy odrazu, że mówimy oboje o jednym i tym samym przedmiocie, przestała mówić w zagadkach.

— Kto był tak podłym? Nie wiem, ale mam wszelkie powody sądzić, że to kobieta. W istocie, tylko kobieta zła i mściwa mogła odgadnąć instynktem, ile wyrządzi boleści

i mnie i drugim, wyjawiając mi to, o czem chciano, ażebym nie wiedziała, przynajmniej tak długo, jak długo o n i żyją. Oni?...

— Twoi rodzice! Czy wiedzą także, że ci wszystko wyjawiono?

— Nie, zapobiegłam temu. Opowiem ci to wszystko w krótkości. W pół roku po twoim odjeździe, wkręcił się tu do domu, pod pozorem różnych interesów, jakiś żyd rudy, i tak długo nie można go się było pozbyć, póki nie znalazł sposobności wręczenia mi w sekrecie jakiegoś listu. Później, zniknął bez śladu. List pisany był ręką kobiecą, był bez podpisu i donosił mi, że jestem córką Burglerów, że wprawdzie państwo Wielogrodzcy tają to przedemną, ale że potrzeba, abym o tem wiedziała, bo „komu Pan Bóg za karę odmówił swego błogosławieństwa i nie dał mu dzieci, ten niechaj nie oszukuje Jego sprawiedliwości i niechaj nie ma pociechy z dzieci przybranych.“ Nie potrzebuję ci opisywać, jakim gromem spadła na mnie ta wiadomość. W pierwszej chwili nie wierzyłam jej, jakże mogłam uwierzyć, że oni nie są mojemi rodzicami! Przyszło mi na myśl, pokazać im list i przekonać się, że jest on złośliwą mistyfikacyą. Zaczęłam jednak rozważać i powiedziałem sobie, że jeżeli list zawierał prawdę i napisany był w celu wyrządzenia mnie i *im* przykrości, to niechaj *oni* przynajmniej nie wiedzą o nim. Oni tak potrzebują kochać kogoś, zajmować się kimś, myśleć o nim, tak potrzebują, aby ich nawzajem kochano! Zrozumiałam, dlaczego chcą, abym się uważała za własne ich dziecko, abym się nie dowiedziała o tajemnicy mojego pochodzenia! Dla nich byłoby to większym ciosem niż dla mnie: ja traciłam tylko coś, co było względnie mniejszej wagi, a zostawała mi istota rzeczy, zostawała mi ich miłość zawsze ta sama, zawsze rodzicielska! wzrastająca, jeżeli można, z dniem każdym, miłość, o której wątpić nie mogę, bo wzrosłam wśród jej dowodów! Ale oni... oni, co w zamian za to wszystko pragną tylko mojego przywiązania, oni nie wierzyliby może, że wychowanica ich może ich tak kochać, jak mniemana

córka. Czułam, że to rzuciłoby cień na ich szczęście, że to zatrułoby im ostatnie dnie żywota. Czułam także, że ta sama złośliwa ręka, która mnie udzieliła tej wiadomości, nie omieszka ich także obznajomić z tym wypadkiem, i przedsięwzięłam sobie, zapobiedz skutkom tego, ile to będzie w mojej mocy, i utwierdzić ich w przekonaniu, że nie wiem o niczem. W tym celu zdobyłam się na małe fałszerstwo. Napisałam lewą ręką — aby zmienić pismo i uczynić go podobnem do pisma starszej kobiety — napisałam tedy list tak ogólnikowy i tak bałamutny, że sam Edyp nie byłby odgadł, o co chodzi. List ten pokazałam matce... to jest, pani Wielogrodzkiej, domyślając się, że zapewne wkrótce dowiedzą się, iż doręczono mi coś podobnego. Falsyfikat mój chodził w domu z rąk do rąk, dziwiono się, kto i w jakim celu mógł pisać do mnie takie nonsensa; musiałam przyrzec, że na przyszłość żadnego pisma podobnego sama nie otworzę, i zapomniano wkrótce o tym wypadku. Ale za parę dni listonosz przyniósł list do pani Wielogrodzkiej; z porzuconej koperty przekonałam się, iż pochodził on z tego samego źródła co mój. Było to niezawodnie zawiadomienie o wypłatanym figlu, poznałam to po niepokoju mojej matki, po jej łzach, po troskliwości, z jaką mnie się wypytywała, czy nie otrzymałam znowu jakiego anonimu. Na szczęście, udało mi się tak dobrze odegrać rolę, jaka mi przypadła, że matka dotychczas nie wątpi, iż owa kompozycya moja była jedynem pismem tego rodzaju, jakie mi doręczono. Ojcu zaś nie mówiła ona o niczem, byłby się zmartwił okropnie! Od tego czasu ucichło wszystko, nikt już nie zadawał sobie pracy zatruwania nam chwil naszych, i dla nich, dla rodziców moich, nic się nie zmieniło. Cóż z tego, że ich kocham, kocham ile sił moich, że wielbię ich jeszcze więcej niż wówczas, kiedy sądziłam, że jestem ich córką; cóż z tego, skoro wyrzucam sobie ciągle, że nie jestem ich córką, że obsypują mię dobrodziejstwami, i otaczają mię miłością, do której nie mam prawa...

— Przeklęta furya, która winna temu! — przerwałem

Herminie. — Czy nie masz już owej koperty? Chciałbym przekonać się, czyją jest ta myśl szatańska.

— Nie mam tej koperty, ale przypominam sobie, że był na niej znak pocztowy: Czartopol, a na pieczątce wizerunek konia z rogiem na czole, i obok niego podkowa z krzyżami.

— To Bończa, herb, który sobie nadał sam Klonowski, i Dąbrowa, herb, który nadał swojej żonie. Domyśliłem się odrazu, że to zemsta Klonowskiej.

— Zemsta? Cóż jej kto wyrządził złego?

— Klonowscy nie potrzebują, aby im wyrządzono co złego; mszczą się za to, że sami nie mogli wyrządzić tego złego, które wyrządzić chcieli.

Opowiedziałem Herminie rozmowę tych szanownych państwa, podsłuchaną w Hajworowie, ich zamiary co do niej, i co do spadku po p. Wielogrodzkim, wywiezienie Burglera z Czartopola i wszystkie inne szczegóły, znane czytelnikowi. Zakończyłem pogróżką, że odpłacę to wszystko sowicie Klonowskim.

— Nie, nie, nie odpłacisz — zawołała Hermina — zbędziesz ich pogardą, nieprawdaż? Tybyś miał mścić się, jak oni? O nie, ja ciebie znam z lepszej strony, ty tego nie zrobisz!

— Nie zrobiłbym może w własnej sprawie, ale...

— Nie róbże tego i w mojej, ja cię o to proszę, błagam, ty niedobry braciszku. O, niedobry!

— Dlaczego niedobry, Hermino?

— Pewnie, że niedobry. Miałam ciebie jednego, którego kochałam, pochlebiając sobie, że jestem bezinteresowną w mojej miłości, ciebie jednego, któremu spodziewałam się nie być nigdy nic winną, a być mu dobrą i przywiązaną siostrą, dbającą o jego dobro. Teraz, jak się dowiaduję, i tobie także winnam wdzięczność, i to jaką wdzięczność! Jesteś niedobry!

— Nie dziwacz, Hermińciu, nie mogłem przecież zostawić Burglera w Czartopolu, aby go Klonowski użył do swoich planów, i nie dokonałem też przy tej sposobności

żadnego nader wielkiego dzieła, nie poniosłem najmniejszego trudu...

— O, mniejszaby o to, choć i to rzecz nielada, pokrzyżować plany takiemu p. Klonowskiemu. Ale ty spieszyłeś się wtenczas do Starej Woli, ty miałeś widzieć Elsię, a zamiast tego, zajmowałeś się moimi interesami! Widzisz, widzisz, żeś... żeś poczciwy, kochany Mundziu, że masz w sercu kącik dla twojej siostry, która kiedyś, wkrótce może, tak samotną będzie na świecie!

Płakała znowu, i ściskała moją rękę w swoich dłoniach, a mnie na jej słowa przejmował ból niewysłowiony — ból, na widok tej pięknej, młodej, anielskiej dziewczyny, która w kilku wyrazach, bez narzekań i deklamacyi, skreśliła cały smutek swojego położenia w świecie — ból, na wspomnienie, że ci, którzy ją kochali, liczyli na mnie, iż kiedyś jej zastąpię ich miejsce, podczas gdy ja... Ale czyliż jestem w stanie wyspowiadać się z uczuć i z myśli, które wówczas rozdzierały głąb mojej duszy i przedstawiały mi tę duszę, jako coś potwornego, jako otchłań czarnej niewdzięczności i zimnego sobkowstwa. Ja tu pędziłem, nie myśląc właściwie o niczem, jak tylko o Elsi, a jak z wyrzutem sumienia, spotkałem się z całym światem innej miłości i innego bolu, z światem, któryby powinien był mieć prawo pierwszeństwa, a odstępował je dobrowolnie na rzecz moich samolubnych zachcianek. Nie czułem się nigdy tak małym i niegodziwym, jak w tej chwili.

Przypomniało mi się nadto, że to, co powiedział komornik, uwalniając mię od wista, nie było bez pewnego znaczenia, równie jak nie była bez znaczenia serdeczna uciecha komornikowej, gdy się nam przypatrywała, usadowiwszy nas w altance. Spostrzegłem był także dobroduszny uśmiech na poczciwych twarzach dra Goldmana i ks. Olszyckiego, którzy trącili się nawzajem ramionami i pokazywali nas sobie oczyma, gdyśmy wychodzili z pokoju. Dr. Goldman miał taką minę, jak gdyby chciał powiedzieć, że jesteśmy „piękną parą", a ks. Olszycki potwierdzał to swojem spojrzeniem i wyrażał szczerą radość z powodu, iż

nas widzi razem. Nie wiem, czy para ta mogła się wydać dobraną mniej uprzedzonemu widzowi, co do Herminy atoli, uwielbienie naszych przyjaciół było raczej może niedostatecznem, niż przesadzonem: była ona bardzo piękną, tak piękną, że nawet w chwilach, w których najbardziej zachwycałem się Elsią, zaklęty na sumienie byłbym zmuszony wyznać, że Hermina była piękniejszą od niej — a to jest z pewnością najwymowniejsze świadectwo, jakie mogę oddać jej urodzie. Bądź co bądź, nie mogłem wątpić, że nietylko w domu państwa Wielogrodzkich, ale w całym Żarnowie uważano mię za narzeczonego Herminy, a co gorsza, trudno mi było odmówić słusznych podstaw temu przypuszczeniu powszechnemu. Po raz pierwszy w tej chwili, sny moje o Elsi wydały mi się mniej złotemi i różowemi, przybrały one charakter jakiegoś cierpienia, któremu ulegałem mimo mej woli; gdybym był nie potrzebował nic więcej, jak tylko wyciągnąć rękę, aby dostąpić największego szczęścia, o jakiem marzyłem, byłbym niezawodnie sięgnął po nie, ale byłoby ono zatrute wyrzutem sumienia. Mamże wyznać, co było głównym powodem tego uczucia? Nie to, że dobroczyńcy moi ułożyli byli i w sercach swoich wypieścili skrycie projekt, według którego ja i Hermina mieliśmy się pobrać, nie to, iż wszyscy wokoło wiedzieli o tym projekcie, i że ja, niwecząc go, zawodziłem tyle pokładanych we mnie nadziei — ale to, że uderzyła mię nagle myśl, którą zrodziły ostatnie słowa Herminy, i wyraz głosu, z jakim były powiedziane. Myśl ta nigdy przedtem nie przyszła mi do głowy, a gdyby była przyszła, byłbym ją ztamtąd wypędził, jako wynik śmiesznej zarozumiałości. Teraz atoli nie było czasu na takie rozumowanie, i bez wszelkiej tedy przeszkody owładnęło mię mniemanie, że Hermina wolałaby, abym nie kochał nikogo, prócz niej, i aby zajmowała w sercu mojem coś więcej, oprócz jednego kącika. Oto, co mię przygnębiało. Przypadek zrządził, że w tej właśnie chwili kilku młodych ludzi szło ulicą, wracając z przechadzki, a jeden z nich wcale przyjemnym głosem śpiewał dumkę Wincentego Pola o Wacławie Rze-

wuskim: jak kozacy żalą się Emirowi, że czeka ich tam w Ukrainie opuszczona rodzinna strzecha, że tam dziewczę stoi u wrót, wygląda lubych, i płacze i ręce łamie.

„A nas światem gonią mary
Poza obce rzeki,
A my wieziem drogie dary
Do pogańskiej Mekki!“

Tak jakoś dziwnie przypadła ta zwrotka do nastroju mojej duszy, że zamiast odpowiedzieć Herminie wprost na serdeczne jej słowa, zwiesiłem głowę na piersi, i gdy się żaliła, że kiedyś tak samotną będzie na świecie, z ciężkiem westchnieniem powtórzyłem:

— A nas... mnie, mnie, światem gonią mary!

Hermina zrobiła ruch, jak gdyby się ocknęła, puściła moją rękę i przychylając się ku mnie na ławeczce, uważnie wpatrzyła mi się w oczy.

— Mary? jakie mary? — zapytała.

— Ty wiesz najlepiej — odpowiedziałem półgłosem.

— Nie wiem nic o marach — rzekła, zmuszając się do wesołości — wiem, że wieziesz drogie dary, bo serce niewątpliwie jest najdroższym darem, ale twoja Mekka nie jest wcale pogańską. Znajduję przeciwnie, że jest to bardzo dobra, bardzo chrześciańska Mekka! Gdybyś wiedział! Ale nie wiem, jak ci to powiedzieć... mam relikwię z twojej Mekki, mam ją tu przy sobie! Nie uwierzysz, jak niecierpliwie czekałam twojego przybycia, aby ci ją pokazać, a tymczasem, cieszyłam się nią sama jedna. Musisz zresztą wiedzieć coś o niej, bo adres uzupełniony był twojem pismem, i to na szczęście, bo inaczej stosownie do przyrzeczenia danego rodzicom, musiałabym była dać im list do odpieczętowania, czy znowu nie jaki anonim.

— Wiem tylko tyle, że Elsia pisała do ciebie, i że dała mi list, abym go oddał na pocztę. Było to w chwili rozstania, i nie mogłem dowiedzieć się nic więcej; zresztą, gdybym był nawet miał czas, nie byłbym tego dokazał, ja... nie umiem nigdy rozmówić się z nią tak, jakbym chciał.

— Właśnie dlatego potrzeba, aby kto inny mówił za ciebie.

— Ty... mówiłaś za mnie? Nałamałem sobie niemało głowy nad tem, zkąd przyszło do korespondencyi między wami. Powiedz-że mi, droga Hermińciu, co się stało?

— Opowiem ci zaraz, ale wprzód musisz mi opisać wasze pożegnanie i wszystko, co z tem ma związek; wszak zostałeś jeszcze cały tydzień we Lwowie po ostatnim liście, który pisałeś do mnie, i winieneś mi sprawozdanie z tego czasu.

Opowiedziałem wszystko to, czem udręczyłem szanownego czytelnika w poprzednim rozdziale, a wspomnienia, które tym sposobem sam wywołałem w mojej duszy, zatarły w znacznej części przykrą senzacyę, jakiej doznawałem przed chwilą. Ani się spostrzegłem, kiedy stałem się na nowo tym samym zakochanym inżynierem, który jechał ze Lwowa tutaj, wśród pomiarów i kosztorysów, myśląc tylko o Elsi, i o tem, co mogła pisać do Herminy — tym samym szczęśliwcem, co miał parę niezabudek obwiązanych białą atłasową wstążką, na której najbardziej ubóstwiana rączka wyszyła mu złotemi nićmi przykazanie: N i e z a p o m i n a j o m n i e. Nie, to nie była mara, goniąca mię światem, to był bardzo namacalny atłas i rozkaz przytem wcale niedwuznaczny. To też ukołysany na nowo błogiemi uczuciami, z lekceważeniem prawie powtórzyłem Herminie rozmowę, którą miałem z Józiem o ostatniem mojem widzeniu się z Elsią. Wyobraźcie sobie państwo, że ten nieznośny chłopiec twierdzi, iż to cisza letnia w mieście, i pewna melancholia rozlana nad każdym wyjazdem i każdem pożegnaniem usposobiły jego siostrę tak sentymentalnie, a w gruncie, gotowa była śmiać się i bawić w Krynicy, w Karlsbadzie albo w Ems tak wesoło i swobodnie, jak gdyby miała z sobą wszystko, co jej było miłem lub drogiem.

— Ależ to okropny sceptyk, twój Józio — powiedziała Hermina. — Na szczęście, posiadamy dokumenta, które zupełnie inaczej świadczą o mojej przyjaciółce, Elsi. Jest wesołą

i swobodną, bo młoda, bo życie jej się uśmiecha, ale nie wątpię, że ma dobre serce i głębokie uczucie.

— Lecz powiedz mi już raz, jakim sposobem nabyłaś tego przekonania?

— Widzisz braciszku, twój ostatni list był taki rozpaczliwy, taki smutny, tak rozdarł serce twojej siostrze, że naprzemiany płakałam nad tobą i gniewałam się na ciebie, iż sam skazujesz się na takie męczarnie, i nie położysz im końca. Bardzo to szlachetne i piękne postanowienie, że nie chciałbyś zawdzięczać stanowiska w świecie twojej żonie, ani też skazywać ją na stanowisko mniej świetne od tego, do któregoby miała prawo, jest to zasada prawdziwie męska; lecz w tym wypadku nie rozumiem, jak ją można stosować, bo różnica położenia nie jest między wami tak wielką, a właściwie niema żadnej. Czy to dla waszych ambitnych przywidzeń, panny mają być tak nieszczęśliwemi, że skoro mają posag, to wolno im już kochać tylko samych milionerów? Widzisz, jaką niesprawiedliwość wyrządzasz Elsi! Otóż, wśród płaczu nad twoim smutkiem i gniewu na twoją bezsercową dumę, postanowiłam wdać się w tę sprawę i tak zrobiłam. Pisałeś mi nieraz, dawniejszemi czasy, że Elsia pragnęłaby korespondować ze mną. Napisałam tedy do niej, donosząc jej, że ją znam, że ją kocham, i że mam brata, który mi zmarnieje, z powodu, że nie ma śmiałości powiedzieć jej to samo — co zresztą ma być wadą wszystkich prawdziwie zakochanych młodych ludzi. Dodałam, że jestem twoją powiernicą i doradczynią, ale że rad moich nie słuchasz, i że widzę się spowodowaną bez twojej wiedzy stać się twoją orędowniczką. W końcu dałam jej do zrozumienia, że gdybym nie otrzymała odpowiedzi, uważałabym to za znak, że nie możesz mieć żadnej nadziei, i że czas pomyśleć o tobie i wyrwać cię jakimkolwiek sposobem z pod potęgi uroku, który cię owładnął do tego stopnia, iż wpłynął nawet na wybór drogi, jaką obrałeś w życiu. Wszystko to napisane było oczywiście, jak ty mówisz, po kobiecemu, szeroko i długo; list mój obejmował trzy ćwiartki, a wiesz, jak

drobno piszę. Jakże byłam szczęśliwą, gdy za kilka dni otrzymałam odpowiedź równie długą, a przeczytaj, jak poczciwą i szczerą! Weź, daruję ci ją, albo raczej, pożyczę na tak długo, póki nie będziesz miał Elsi samej. Wtenczas oddasz mi ten list, abym...

— Abyś miała pamiątkę tego, że jesteś najlepszą, najdroższą siostrą na świecie!... Hermińciu, obowiązuję się oddać ci ten list, gdy... ale nie śmiem marzyć o tem, mimo wszystkiego...

— Ty nie śmiesz marzyć, ty, który to umiesz tak doskonale? Marzmy, Mundziu, marzmy znowu raz tak, jak za dawnych czasów. No, powiedz mi, cóż będzie, gdy już będziesz miał Elsię?

— Co będzie? Ty będziesz z nami, nieprawdaż? Ale co ja mówię: wszak ty... ty wyjdziesz przecież za mąż?

— O, ja? Ja nie wyjdę za mąż...

— Dlaczego?

— Jakże chcesz: póki rodzice żyją, nie opuściłabym ich za nic w świecie, a ponieważ mam w Bogu nadzieję, że gdy mię zostawią samą, to będę już starą panną, więc oczywiście zostanę nią na zawsze. Daj-że pokój, nie psuj oczu, już jest zupełnie ciemno, przeczytasz sobie list Elsi później, przy świetle.

W tej chwili odwołano nas do kolacyi, bo szczęście ludzkie nigdy nie jest kompletnem i kiedy się je ma na piśmie, to braknie światła do czytania, a kiedy jest światło, to dają jeść i debatują nad tem, gdzie najwłaściwiej znajdowaćby się powinien dworzec kolei żelaznej w Żarnowie.

Upłynęło jeszcze parę godzin, nim znalazłem się nakoniec sam w pokoju, który mi odstąpił zacny komornik w swoim domu na czas mojego pobytu w Żarnowie. Łatwo wyobrazić sobie, z jaką chciwością rzuciłem się do czytania listu, który Elsia pisała do Herminy. Być może, że między nielicznymi czytelnikami, którzy będą mieli cierpliwość czytania mojej biografii aż do tego punktu, do którego obecnie ją spisałem, znajdzie się kto, co radby także za-

poznać się z tym dokumentem; żałuję też mocno, że go już nie posiadam, wydrukowałbym go chętnie w całej, jakkolwiek istotnie bardzo długiej osnowie. Gdy tego uczynić nie mogę, powtarzam go w streszczeniu, gdyż jako realista z zasady, nie zdecydowałbym się nigdy sfingować listu pisanego przez pannę, która niedawno opuściła pensyonat, do drugiej panny i to w takich jeszcze warunkach! Kocham płeć piękną, najpierw dlatego, że jestem z natury kochliwego usposobienia, a potem dlatego, że należy do niej moja matka, i komornikowa Wielogrodzka, i owa poczciwa służąca Kasia, i nakoniec ekonomowa w Hajworowie; przebaczam tej płci z całej duszy, iż wydała panią Buschmüllerowę, panią Klonowskę i wszystkie ciotki panny Elwiry Starowolskiej; mimo wszelkiej miłości atoli i mimo wszelkiego szacunku zmuszony jestem wyznać, że z małymi bardzo wyjątkami, wszystkie listy panieńskie, choćby je nawet zaopatrzono w brakującą w nich zazwyczaj interpunktacyę, należą do najmniej udałych i najmniej oryginalnych elaboratów stylistycznych, z jakimi się spotkać można: z tem wszystkiem, każdy z nich jest takiem *nec plus ultra* pływania w obłokach i powtarzania z tej wysokości rzeczy już często powtórzonych, że naśladować tego, nie czuję siły, ani zdolności.

Pierwsze dwie strony zajęte były wyrazami radości, jaką czuła Elsia z powodu, iż przynajmniej listownie zabrać może znajomość z istotą tak jej pokrewną sercem i duszą, jak Hermina. Przyznaję w pokorze ducha, że aż do tej chwili pokrewieństwo to nie wpadło mi było w oczy, przeciwnie, w tym jednym punkcie zgadzałem się z Józiem, że Elsia ma wręcz odmienne od Herminy usposobienie, tylko że Józio widział w jej usposobieniu same ujemne strony, a ja tych wcale dopatrzeć nie mogłem. Teraz atoli, skoro ona sama zapewniała, na podstawie listów Herminy i rozmów ze mną o mojej przybranej siostrze, że serca ich są jakby dwie lutnie nastrojone do jednego tonu, wierzyłem, cieszyłem się i dziwiłem się, żem tego jeszcze nie spostrzegł lub nie odgadł. Następowały potem trzy strony,

i połowa czwartej, a cała ta przestrzeń papieru, nakształt politycznego wyznania wiary jakiego kandydata, zajęta była poglądami Elsi na to, co stanowi istotę szczęścia ludzkiego. Nie ręczę, czy nie było tam kilku ustępów wziętych żywcem z listów pani de Sévigné, albo z pism pani de Genlis, ale mniejsza o to, sam wybór tych ustępów czynił zaszczyt uroczej kompilatorce, a nieraz przecież i najbieglejsi pisarze przytaczają wyrazy obce i zdania cudze dla tem dokładniejszego oddania własnej myśli lub własnego uczucia. Dla usprawiedliwienia tej przychylnej krytyki dodać muszę, że nie było tam ani jednej rzeczy, którejbym nie mógł tłómaczyć na moją korzyść. Świat ze swoją próżnością i ze swojemi rozrywkami nudził i męczył Elsię; ludzi ceniła ona podług tego, ile posiadają serca, wykształcenia, honoru i poczucia obowiązków wszelkiego rodzaju; nie pojmowała tych, którzy widzą szczęście w majątku, szydziła z uprzedzeń kastowych, wzdychała za życiem zacisznie pędzonem wśród pasma wypełnionych powinności i światu odwzajemnionych uczuć, wśród tego największego ze wszystkich światów, który utworzyć sobie można tylko w małem kółeczku, a nigdy w wielkiem kole, deptanem stopami profanów. Tu było wspomnienie o przyjemnych chwilach, spędzonych nieraz w Starej Woli, przy kochających i kochanych rodzicach, w gronie dusz przyjaznych, i wspomnienie o żalu z powodu, że nie było tam Herminy, i że los zawistny rozdziela zawsze tych, co sympatyzują z sobą. *Ad vocem* tego żalu znalazła się nakoniec, w połowie, jak mówiłem, szóstej stronicy, wzmianka o „panu Edmundzie“, a po niej, kilka dość gorących wyrazów uwielbienia dla jego „talentów i wykształcenia“. Dotknęło mię to w sposób dość niemiły; uważałem bowiem, że ile razy przypuszczony byłem do jakiego towarzystwa, w którem znajdował się hrabia, albo baron, albo posesyonat urodzony z hrabianki, usprawiedliwiano zazwyczaj niejako wobec niego moją obecność tem, że jestem „bardzo wykształconym młodym człowiekiem“; nie zdarzyło mi się zaś nigdy, aby obecność takiego potentata w salonie usprawiedliwiano wobec mnie,

szepcąc mi na ucho, że to „bardzo wykształcony hrabia“. Być jednak może, że obawiano się tylko minąć z prawdą, zdarzają się bowiem hrabiowie, których z ręką na sercu w ten sposób rekomendować nie można. Przykro mi było, że Elsia, zapożyczywszy się powyżej on pp. de Sévigné i de Genlis, mówiąc o mnie, zapożyczyła się tylko — od pani Marszewskiej, która prezentowała ludzi w ten sposób:

„Pan Tartakowski, z Tartakowic — pan Moulard technik... ale z wielkim talentem, *et il parle le français à merveille*“.

Chwilkę tylko atoli trwały te gorżkie refleksye z mojej strony, osłodziło je to, co następowało w liście. „Pan Edmund“ — pisała Elsia — „ma wszelkie szanse zrobienia karyery, i wszyscy mu to przepowiadają — co do mnie, przykro mi bardzo, że pani nigdy nie napisał, jak mało cenię to, co ludzie nazywają *une position dans le monde.* Nie podobna, aby pan Edmund (słowa te były podkreślone w liście) nie znał moich usposobień i... (nie wiem, czy kropki w tem miejscu powstały przypadkowo, czy z umysłu) moich uczuć. Niech go pani dobrze wyspowiada, a będzie zmuszonym wyznać, że ani nie lubię łudzących pozorów, ani sama łudzić się lub łudzić nie potrafiłabym“.

Odczytałem ten ustęp najmniej pięćdziesiąt razy, odczytałem go nazajutrz, odczytywałem go codzień, czasem po kilka razy od tego czasu; był on niezawodnie nieco zagadkowym sam w sobie, ale nie mógł być zagadkowym w zestawieniu z innemi okolicznościami. Wszak oddawszy mi ten list do Herminy, dała mi potem owe niezabudki, a czując, że w obecności obcych ludzi pożegnała mię zbyt zimno, wybiegła za mną i za Józiem do przedpokoju, pod pozorem czynienia mu wyrzutów, że tak etykietalnie pożegnał się z panną Wandą! Nie mówiła-ż teraz wyraźnie, że to wszystko, i to, co było przedtem, nie było łudzącym pozorem, że igrać ze mną nie potrafiłaby? Sam fakt, że wdała się w korespondencyę z Herminą, i że ostatnie dwie strony jej listu, obok rekapitulacyi tego, co było na pięciu pierwszych, zawierały kilkakrotnie powtórzoną prośbę o nie-

przerywanie tej korespondencyi, z tym dodatkiem, że pan Edmund wskaże adres — sam ten fakt nie świadczył-że jak najlepiej na moją korzyść? Hermina, która znała wszystkie szczegóły mojego stosunku z Elsią, oburzała się prawie na mnie, gdy wyrażałem choćby najlżejsze powątpiewanie w tej mierze, i prawiła mi długie kazania o tem, jako niepodobną jest rzeczą, by kobieta jednę dziesiątą część z tych względów okazała mężczyźnie, jakie Elsia mnie okazała, jeżeliby nie była gotową oddać mu się na całe życie, mimo wszelkich przeszkód i trudności. Gdybym był tedy i nie chciał, musiałem wierzyć, że jestem kochanym, i dotychczas nie mogę pojąć, jakim sposobem wśród tego zachwytu nie pomyliłem się ani razu w moich rachunkach i nie wytyczyłem kolei żelaznej na księżyc, zamiast do Ławrowa. Mimo wszystkiego jednak zaklinałem Herminę, aby uwzględniła, że nie mogę jeszcze wystąpić jako konkurent do ręki Elsi, że muszę wprzód mieć stałą posadę — zrezygnowałem już bowiem z owych 20 do 30 tysięcy dochodu — i aby przeto w listach swoich do Elsi nie była zbyt natarczywą w mojem imieniu. Przyrzekła mi to i jeszcze przed moim wyjazdem z Żarnowa napisała do Elsi list, który był prawdziwem arcydziełem kunsztu dyplomatycznego: dawał bowiem jasno do zrozumienia, jakiemu tłómaczeniu uległo to, co Elsia pisała o mnie, a jednak nie zmuszał jej do kategorycznej odpowiedzi.

Nim wyjechałem, miałem krótką rozmowę z p. Wielogrodzką, która z wielką obawą wypytywała się, czy Hermina nie domyślała się czego z powodu owego bezimiennego pisma? Zapewniłem, że nie — i starałem się pokierować rozmowę tak, aby o niczem więcej nie było mowy. Jakiś instynkt, pochodzący jakby ze złego sumienia, kazał mi unikać rozmowy w cztery oczy z ks. Olszyckim lub z komornikiem; myśl, tycząca się uczuć samej Herminy, która mi była przyszła przy rozmowie z nią w altance ogrodowej, przyjść mi więcej nie mogła, bo Hermina brała tak szczery udział w powodzeniu mojem z Elsią, że tem śmieszniejszem

i zarozumialszem wydawało mi się przypuszczenie, by na dnie serca jej kryły się inne uczucia.

Zatrudnienie moje było tego rodzaju, że musiałem prawie ciągle być w drodze. W podróży z Żarnowa do Lwowa spotkałem się z Józiem, który rozgospodarował się na zabój w Starej Woli i został był w przeciągu kilkunastu dni kompletnym „hreczkosiejem“. Gdym mu opowiedział, co zawierał list Elsi do Herminy, zmarszczył brwi i nie rzekł ani słowa. Uderzony tem dziwnem zachowaniem się jego, a nawet urażony, powiedziałem mu z przekąsem, że przerobił się nietylko na „hreczkosieja“, ale co gorsza, na pana galicyjskiego. Teraz z kolei obraził się Józio, ale ponieważ nigdy nie mogliśmy się długo gniewać, przeprosiliśmy się natychmiast, i Józio powiedział mi:

— Jestem przekonany, że ojciec ci ją da; mówiłem z nim o tem, i nietylko że nie okazał się panem galicyjskim, ale był bardzo kontent, gdy się o tem dowiedział. Znasz zresztą jego zasady i wiesz, że jeżeli nie wygłasza ich szumnie w mowach i w wyznaniach wiary, to tem ściślej wykonuje je w życiu. Zapytywał mię, jak się Elsia na to zapatruje: powiedziałem wszystko, com wiedział, i ojciec uważa to jako rzecz prawie pewną, że wkrótce dostanie takiego zięcia, jakiego sobie życzy. Nadmieniłem coś o ciotkach, mianowicie o pani Leszczyckiej, a ojciec na to: „Źleby było, gdyby moja córka wahała się w wyborze między swojem sercem, a wioską ciotuni“. A co, Mundku, czy pochodzę z galicyjskich panów?

Zawstydzony a rozpromieniony radością, nie wiedziałem, jak przepraszać Józia. Zapytałem go tedy, dlaczego się zachmurzył, gdym mu doniósł o treści listu Elsi.

— Bo nie cierpię tych babskich wykrętów i nie rozumiem, poco odpisywała, skoro nie miała otwarcie powiedzieć twojej siostrze: kocham go, i kwita. Chciała przedstawić się Herminie jako osoba wyższego umysłu i większego serca — bo, jestem przekonany, że i w siebie samą wmawia to, osobliwie w chwilach wolnych od spaceru, koncertu lub balu — a tymczasem jestem przekonany, że bawi się

w najlepsze i zbiera hołdy lub irytuje się, gdy nie ma co zbierać. Radbym, by już raz wróciła do domu, bo zobaczysz, że ona nam jeszcze jakiego figla wypłata!

Dyliżans nie chciał czekać, musiałem przerwać rozmowę z Józiem i pędzić dalej, do Lwowa. Tu dowiedziałem się, że w skutek moich przedstawień zmieniono trasę kolei żelaznej, z Bednarówki na Czartopol. Było to bardzo naturalnem; mniej naturalnemi wydały mi się kwaśne miny, z jakiemi przyjmowali mię moi przełożeni, jak gdybym zamiast dość ważnej przysługi, wyrządził szkodę Towarzystwu. Najfatalniejszem zaś było to, że zamiast ważniejszego miejsca, którego się spodziewałem, przeznaczono mię do Janówki, gdzie miałem kontrolować budowę kolei żelaznej na pewnej przestrzeni. Wszystkie moje zabiegi, aby zmienić to przeznaczenie, spełzły na niczem, musiałem poddać się losowi i wyjeżdżać. Skorzystałem atoli z krótkiego czasu, który mi zostawał, aby umieścić korzystnie kapitał, który tak niespodzianie dostał mi się w udziale. Dzienniki przepełnione były wówczas pochwałami nowo zawiązanego Towarzystwa akcyjnego, które od prywatnego przedsiębiorcy nabyło było fabryki i młyny w Gruszczanach, niedaleko Czartopola, i zamierzało rozszerzyć takowe na wielką skalę. Zaręczano, że akcye, emitowane *al pari*, wkrótce warte będą dwa razy tyle. Kazałem tedy zawołać wekslarza do hotelu, sprzedałem mu moje listy zastawne, i nabyłem natomiast w banku dziesięć akcyj „Towarzystwa fabryk Gruszczańskich“, z których każda opiewała na 200 złr. w. a. Obawy nie mogłem mieć żadnej, bo wyczytałem w statutach, że komisarz rządowy czuwać będzie nad tem, aby mi kapitał nie przepadł. Źle jednak zrobiłem, że do uskutecznienia tej operacyi finansowej użyłem żydów; w okamgnieniu wszyscy faktorowie wiedzieli, że mam pieniądze, a kiedy później pokazałem się na mieście *bras dessous, bras dessous*, z Guciem Klonowskim, pięćdziesiąt pejsatych istot biegało za mną i napastowało mię, czy „pan hrabia“ nie ma jakiego *geszeftu* do zrobienia. Nakoniec, przed samym wyjazdem, wpadł do mnie Gucio i z wielkim śmiechem

opowiedział mi, że jego „Szimsze“, który mu zawsze pożycza pieniędzy, uparł się koniecznie i teraz chce mieć mój podpis na wekslu. Chodziło o bagatelkę — tysiąc złr., które Gucio pod słowem honoru zobowiązał się oddać dzisiaj jakiemuś rotmistrzowi, kupiwszy od niego konia, a których mu ojciec w porę nie nadesłał. Miałem pewne powody przypuszczać, że te tysiąc złr. poszły nie na konia, ale na co innego, i dziwiłem się trochę, dlaczego „Szimsze“ chce mojego podpisu, skoro ma podpis człowieka, dziedziczącego milion — ale nie wahałem się ani chwili, podpisałem i wyjechałem do Janówki.

ROZDZIAŁ III.

Pierwszy raz znalazłem się tedy nadobre „na wsi“ i miałem sposobność poznania wszystkich jej przyjemności. Były one mnogie i rozmaite. Mieszkałem w chałupie chłopskiej, zbudowanej według znanego systemu, wykluczającego użytek wszelkiego kruszcu, jako to: klamek i zamków u drzwi itp. Miejsce podłogi zastępowała ubita glina, okienka nie otwierały się, ale był dla wentylacyi wiecznie otwarty komin, nad przypieckiem zajmującym trzy czwarte izby. Pod każdym innym względem, komfort mój zastósowany był do tego pomieszkania. Gdybym był chciał, mógłbym był mieć towarzystwo, pełno było bowiem dokoła przedsiębiorców różnych części budowy kolei żelaznej, którzy gdy nie pilnowali swoich robotników, lub nie wyjeżdżali do miasta, zabawiali się wysuszaniem niezliczonych butelek szampana i grą w karty; z urzędu wszakże, a nietylko w skutek różnicy gustów, musiałem od nich stronić, inaczej kontrolując ich, nie mógłbym był uniknąć kolizyi obowiązku z przyjaźnią. Dzięki temu zachowaniu się mojemu, używałem wkrótce w tych kołach jak najgorszej reputacyi, i powszechnem tam było życzenie, aby mię jak najprędzej „dyabli wzięli“. Jeszcze gorzej szło mi z większymi dostawcami

i antreprenerami, a najgorzej z panem Klonowskim. Zacny ten obywatel, nie wiem jakim sposobem, był wszędzie, należał do wszystkiego, wszędzie miał jakiś interes i wszędzie znać było jego rękę. Dowiedziałem się, że on a nie kto inny zarządza fabrykami w Gruszczanach, których akcye kupiłem. On podjął się był dostawy tak zwanych „progów" dla kolei, i dostawy palów na piloty, i wożenia szutru, i tysiąca innych rzeczy. Niepodobna mi było spędzić kilku dni, aby się z nim nie zetknąć. Raz pretendował za piaszczystą przestrzeń, którą odstąpił pod dworzec w Janówce, wynagrodzenie wynoszące około 1000 złr. od morga. Drugi raz dostawił, nie pamiętam już ile tysięcy progów, ochrzciwszy tym tytułem jakieś cieniutkie i krzywe patyki, przeciw którym zmuszony byłem założyć stanowcze *veto*. Zjechał naczelny inżynier z powodu tego sporu, i przyznał mi słuszność, ku wielkiemu zadowoleniu mojej miłości własnej. Byłem pewny, że gorliwość moja znajdzie uznanie u przełożonych, ale uznanie to objawiło się w ten sposób, że nagle, ni ztąd ni zowąd, przeniesiono mię z Janówki do Bednarówki. Przeniesienie takie uchodzi raczej za karę, niż za nagrodę; cierpiałem atoli i nie skarżyłem się, chyba tyle, że w listach do komornika Wielogrodzkiego opowiadałem szczegółowo wszystko, co się działo koło mnie i ze mną. Na dnie duszy mojej było zbyt wiele szczęścia, by mię trapić mogły zbyt mocno drobiazgi tego rodzaju. Odbierałem bardzo często listy od Herminy, która korespondowała z Elsią i przysyłała mi każde jej pismo. Elsia wracała z ciotką do kraju i cieszyła się z tego niezmiernie, jak zapewniała. Za huczno, za gwarno było jej w świecie, pragnęła ciszy i spokoju. Hermina, mimo obietnicy swojej, nie mogła się wstrzymać, aby jej nie donieść tego, co wiedziała o mojej rozmowie z Józiem i o zapatrywaniach się p. Starowolskiego na moje najgorętsze życzenia. Elsia w odpowiedzi nie traktowała wprawdzie wprost przedmiotu, o który chodziło, ale natomiast z takiem uniesieniem wyrażała się o niezrównanym charakterze i o szlachetnych zasadach swojego dobrego, kochanego ojca, tyle okazywała wdzięczności dla rozumu

i serca, objawiającego się w jego dbałości o przyszłość dzieci — mówiła to wszystko tak szczerze, tak z głębi duszy, że teraz już z pewnością nawet Józio nie zdołałby był powątpiewać o jej uczuciach, ja zaś, byłem w siódmem niebie. Była tam na końcu listu dość długa wzmianka o mnie. Elsia w żartobliwy sposób zapytywała Herminę, czy jeszcze ciągle kultywuję mój pociąg do pedanteryi, i czy nie pozwoliłem sobie, choćby jakiego jednego, małego wybryku, któryby mię stawiał na równi „*avec le commun des martyrs*“ — twierdziła bowiem, że niema nic nieznośniejszego, jak ludzie wzorowi, wobec których każdy musi się czuć ułomnym i niegodziwym. Hermina dodała do tego ze swej strony komentarz, że wprawdzie Elsia żartuje, ale że i na seryo wartoby było, abym się nie oddawał tak bez przerwy melancholicznym kontemplacyom, w chałupie wiejskiej, ale abym się trochę rozerwał — w tym celu radziła mi wziąć urlop bodaj na parę tygodni. Postanowiłem uczynić to, skoro Elsia wróci do Lwowa; co do zarzutu pedanteryi i zbytniej wzorowości, był on dla mnie tak nowym i niespodzianym, że jakkolwiek uczyniony był w żarcie, zastanawiałem się nad nim długo i przyszedłem do przekonania, że w istocie bywam nieraz może zbyt sztywnym i zamyślonym, osobliwie w obecności Elsi. Przypomniałem sobie, że z pomiędzy młodych ludzi, których znałem, najwięcej zawsze podobali się kobietom ci, którzy byli wesołego usposobienia, i którychby mniej pobłażliwy sędzia bez litości zaliczył do kategoryi... łobuzów, mówiąc z warszawska. Wszak nawet Gucio Klonowski podobał się nietylko pannom na wydaniu, ale i mężatkom, które nie mogły mieć co do niego żadnych widoków. Pani Mamułowiczowa, swoją drogą zwolenniczka melancholików, przecież przyznawała się, że ją Gucio niezmiernie bawi, i że to bardzo sympatyczny młody człowiek. Bez żartu tedy, czułem, że należało mi zmienić się ile możności w tym kierunku i jak nieraz może kto inny w moim wieku rozpamiętywał potrzebę ustatkowania się i przedsiębrał prowadzić nadal życie systematyczne i porządne, tak ja powziąłem silne przedsięwzięcie

reformy wprost przeciwnej. Nie wiedziałem tylko, jak to począć? Jak naśladować np. Gucia Klonowskiego w salonie, skoro nie upłynęło nigdy pięciu minut, aby ten mój kolężka nie powiedział jakiego nonsensu, albo nie popełnił jakiej nieprzyzwoitości? Jak go naśladować w ogóle, skoro nie robił nic innego, jak tylko grał w karty, pił szampana, prowadził dwuznaczne miłostki i zajeżdżał konie na śmierć? A on był przecież, ze wszystkich nie-pedantów, których znała Elsia, najwybitniejszym typem; inni nie mogli dokazać i połowy tego co on, bo mieli mniej pieniędzy i nie byli porucznikami huzarów. Jak to zrobić, aby nie mieć miny pedanta — oto pytanie, nad którem łamałem sobie głowę w długich, samotnych godzinach wolnego czasu, w mojej chałupie bednarowieckiej.

Tymczasem zaszedł fakt, który mię przekonał, że niełatwo wyleczę się z pedanteryi. Koło Bednarówki stawiano dla kolei żelaznej most na rzece, a dalej sypano groblę, do której używano pilotów. Spostrzegłem, że filary mostu, przeznaczone na to, aby mogły wytrzymać częste powodzie i uderzenia kry na wiosnę, wystawiono w ten sposób, że tylko zewnętrzne ściany murowane były z kamienia, wnętrzne zaś wypełniono rumowiskiem i śmieciem. Oprócz tego, fundamenta tych filarów wpuszczone były w grunt, zdaniem mojem, zbyt płytko, a nadomiar konstrukcya żelazna mostu była wprawdzie bardzo dobrego systemu, ale w porównaniu z projektem wynalazcy tego systemu, użyto do niej zaledwie połowę żelaza. Ma się rozumieć, że opierałem się z całej siły tej dziwnej architekturze, i zasypywałem główny zarząd przedstawieniami co do strasznych następstw, jakie ztąd wyniknąć mogą. Długi czas nie otrzymałem żadnej odpowiedzi, a nakoniec dostałem taką, że nadzór nad mostami należy do innego inżyniera, któremu zakomunikowano moje uwagi, ja zaś mam pilnować grobli. Przedsięwziąwszy sobie w duchu, że gdy kolej będzie gotową, puszczę się raczej wpław przez rzekę, aniżelibym miał jechać wagonem po takim moście, opisałem znowu całe zajście komornikowi Wielogrodzkiemu, i budowałem groblę. Dzieło

to, jak sobie pochlebiam, wypadło nieźle; pan Klonowski wyjątkowo dostarczył wybornego materyału na piloty i zwiózł tyle szutru, ile było potrzeba. Przyszło nakoniec do ostatecznego obliczenia kosztów, i w tym celu zjechał do Bednarówki mój bezpośredni przełożony, p. Heimoffen, prawa ręka księcia Blagi, prezesa towarzystwa. Otóż, jak powiadam, pale były tak długie, jak tego było potrzeba, nawieziono także dostateczną ilość kubicznych sążni szutru — ale p. Heimoffen zamiast istotnie zużytego materyału, tj. palów trzyłokciowych, włożył w rachunek czterołokciowe, a liczbę sześciennych sążni szutru pomnożył w dwójnasób. Rachunek ten kazał mi podpisać, jako bezpośredniemu odbiorcy wszystkich tych pięknych rzeczy. Wpatrzyłem się zdziwiony w mojego pana szefa, i oświadczyłem, że rachunku nie podpiszę, bo jest fałszywy. Uśmiechnął się na to z pogardą i oświadczył:

— Mój młody panie, pan nie znasz się na takich rzeczach. To, co się panu wydaje fałszerstwem, jest tylko zwykłem *virement de fonds*, które się w każdem przedsiębiorstwie praktykuje. Muszę pana pouczyć w tej mierze — dodał, mierząc mię od stóp do głowy. — Towarzystwo zrobiło zbyt niski kosztorys budowy mostów; widziałeś pan zapewne, że to są kunsztowne budowy, które pochłonęły bajońskie sumy. Nie możemy teraz blamować się i wykazywać rezultatu, dwakroć większego od preliminowanej kwoty. Z tego to powodu zmuszeni jesteśmy repartować na inne budowy to, co się tam ponad kosztorys wydało, w interesie więc Towarzystwa, któremu pan służysz, podpiszesz pan ten rachunek, rozumiesz pan?

— Nie rozumiem — odparłem stanowczo. — Wiem dwie rzeczy: najpierw, ża most stawiało towarzystwo, a inne budowy, osobna spółka przedsiębiorców, za cenę zgóry umówioną, a w takim razie nie pojmuję, jak można uskutecznić przeniesienie funduszów z rubryki w rubrykę. Ale co gorsza, wiem nadto, że most w Bednarówce nie kosztował i połowy preliminowanej kwoty; filary są czemś nakształt chińskich parawanów, udających twierdze, i wetknięte

są w ziemię tak, że dość jest dmuchnąć, aby się obaliły, a żelaza w konstrukcyi brakuje najmniej połowa.

— Jesteś pan młokosem, który przebiegł gdzieś przez sień jakiejś szkoły realnej i rezonuje o tem, czego nie rozumie!

— Ale który nie podpisuje tego, czego nie rozumie.

— Więc pan stanowczo nie podpiszesz?

— Nie.

— Dobrze więc, wygotuj pan inny rachunek i podpisz go pan. Przeklęty kraj! — dodał, drąc w złości swój elaborat — ci Polacy w Radzie nadzorczej ponasyłali mi tu jakichś przemądrych nieuków, którzy mnie, mnie chcą uczyć rozumu!

Byłby może dalej piorunował pan szef, i byłoby przyszło do gwałtownej sceny między nami, gdyby w tej chwili z wielkim hałasem nie byli nadbiegli ludzie, zajęci wykończaniem robót około mostu. Przynosili oni nowinę, że jeden z filarów, sprzykrzywszy sobie w nader krótkim czasie swoje położenie pionowe, ni ztąd ni zowąd przewrócił się do rzeki, że konstrukcya żelazna leży w wodzie i że przy tej sposobności jednego robotnika śmiertelnie pokaleczyła waląca się budowa, a drugi utonął.

P. Heimoffen zatrząsł się od gniewu na mojego sąsiada i kolegę-inżyniera, p. Prszticzka, który most budował. Nie chodziło mu o to, że most był źle postawiony, ale o to, że się zawalił tak wcześnie, i że potrzeba go będzie stawiać na nowo z jednych i tych samych funduszów. Na domiar — jak sobie wyobrażałem — nieszczęścia, nadjechać miał książę Blaga i mógł się przekonać naocznie, że filar był tylko rodzajem wielkiej kiszki kamiennej, nadzianej rumowiskiem. Książę Blaga nadjechał w istocie nazajutrz i skonstatował...

Książę Blaga skonstatował, że „potrzeba sprowadzić więcej inżynierów z Niemiec i z Czech, bo ci Polacy wszystkim nam kości połamią“...

Książę Blaga był to mąż nader imponującego wejrzenia, powierzchowności nawskróś patryarchalnej. Na kimby

nie zrobiły wrażenia jego szlachetne i piękne rysy twarzy, jego postać wzniosła i arystokratycznie przytem pochylona, w tym musiały wzbudzić uszanowanie przynajmniej jego siwe włosy i wyraz oblicza pełen dobroduszności połączonej z inteligencyą, a nierepublikanowi imponować musiało nazwisko, którego etymologia gubiła się w pomroce przedhistorycznych prawie wieków. Był wprawdzie historyk, który twierdził, że Blaga był dawniej czystoruską Błochą, byli żartownisie, którzy Blagów wywodzili od Gaskończyków i innych mieszkańców Galii, ale pewnego nikt nic nie wiedział, a ostatecznie, jeszcze pradziad księcia Fortunata Blagi otrzymał był prawo noszenia tytułu: *princeps imperii romani*, i wszystko korzyło się przed tym obcokrajowym blaskiem, równie jak Jontek pana Sawrackiego z Kiejstamówki i Maciek pana Ostapowskiego z Drewni znają respekt przed Jaśkiem pana hrabi Zagrobelskiego, odkąd się nazywa *John* i nosi kapelusz z galonem i buty z żółtemi stylpami. Blagowie byli dynastyą, cokolwiek na wzór Napoleonidów, konserwatyści trzymali się jej jako silnej kotwicy przeciw burzom rewolucyjnym, a demokraci wierzyli, że w niej tylko jest zbawienie zasad wolności, równości i braterstwa, zwłaszcza gdy książę Fortunat miał potomstwo nader czerwone, nakształt wielu innych następców tronu. Miał on i osobiste zasługi, które chętnie wyłuszczał, ile razy kandydował na prezesa; prezesem zaś był wszędzie, i tam gdzie radzono o chowie buraków, i tam gdzie wychowywano młodzież, i tam gdzie budowano kolej lub przyjmowano pieniądze w zamian za asygnaty kasowe, i tam nakoniec gdzie radzono o losach kraju i kierowano niemi w duchu konserwatywno-demokratyczno-staroszlachecko-postępowym. Osobiste owe zasługi, o ile pamiętam z pewnej mowy księcia Fortunata, którą słyszałem, były w istocie bardzo ważne; opowiadał on bowiem sam z rozrzewnieniem, że przed trzydziestą laty nie posiadał nic, oprócz dwudziestu groszy dyurny i dwóch milionów złp. w brylantach i innych kosztownościach, obecnie zaś posiada dwadzieścia milionów i to nie nędznych złotych polskich, ale złotych reńskich,

z których każdy zawiera sto okrągłych centów rozmaitego pochodzenia, ale jednakowej wartości. Książę Fortunat tak był wylanym dla dobra ziomków i dla sprawy ojczystej, że gdyby nie był tak ubogim, byłby niezawodnie łożył wielkie sumy na wsparcie sztuk i nauk, byłby kupował obrazy i rzeźby, byłby własnym kosztem wydawał dzieła ważne a niepokupne, wymagające wielkiego nakładu i t. d. Na nieszczęście, skromne jego środki nie pozwalały mu tego zbytku; kapitaliki jego uwięzione były bowiem w rozmaitych przedsiębiorstwach, przyczyniających się do podniesienia materyalnego dobrobytu kraju, jak np. kolej żarnowsko-ławrowska, wróżąca kolosalne zyski akcyonaryuszom, gdyby się zdecydowali przebudować ją z gruntu.

Na pierwszy rzut oka, tak się zakochałem w tej wspaniałej postaci, że skorzystałem z nadarzonej sposobności i wyłuszczyłem księciu Fortunatowi wszystkie, zdaniem mojem, niewłaściwe zajścia, które spostrzegłem w ciągu budowy. Słuchał mię z łagodnym, dobrodusznym uśmiechem, ale wpatrując się w twarz jego dokładniej, odkryłem w niej skazę, z początku niedostrzeżoną. Zauważałem mianowicie, że lewe oko księcia pana było mniejsze, więcej przymrużone, i patrzało cokolwiek inaczej niż prawe, chociaż bynajmniej nie był zyzookim. To jakoś mię tak ochłodziło w zapale, że przestałem mówić, a książę nie pytał mię też o nic i odjechał z panem Heimoffenem, nie zbadawszy moich zarzutów i kiwnąwszy zaledwie ręką, gdy mu tłómaczyłem między innemi, że przedsiębiorcy budowy bez litości wyzyskują ludność wiejską, przyciśniętą głodem tego roku, że robotnik zmuszony do żywienia się w *kantynie*, utrzymywanej na ich rachunek, w sobotę, gdy przyjdzie do wypłaty, nietylko nie otrzymuje ani grosza, ale że nadto grabią go jeszcze często, bo przejadł więcej niż zarobił. Książę w odpowiedzi spytał mię tylko, gdzie kończyłem szkoły, a dowiedziawszy się, że we Lwowie, kiwnął, jak mówiłem, ręką i odjechał.

W tym właśnie czasie, głód i drożyzna doszły były do największego stopnia — za garniec jęczmienia chłop chętnie

zrzekał się ojcowizny, a za kieliszek wódki dałby się był namówić do największej zbrodni. Jakkolwiek spokojnym i potulnym był lud w tych stronach, wrzało i kipiało między naszymi robotnikami, wyzyskiwanymi bez litości. Przedsiębiorcy zmuszeni byli sprowadzić żandarmów do Bednarówki, gdzie zgromadzoną była większa liczba robotników. W dzień odjazdu księcia, który przypadkiem był sobotą, oburzenie wzrosło było do zatrważających rozmiarów, bo w kantynie pozabierano włościanom kożuchy i buty, za to, że pracowali przez cały tydzień. Gdy ludzie ci z narzekaniami wrócili do wsi, rozdałem między najbiedniejszych cokolwiek pieniędzy, a nie mogąc znieść widoku nędzy, przedstawiającej się moim oczom, zamknąłem się w chałupce, w której mieszkałem. Pisałem list do komornika, opowiadając mu w sposób melancholiczny, niewesołe moje spostrzeżenia — Kasia, którą wraz z jej mężem zabrałem z sobą najprzód z Żarnowa a potem z Janówki, robiła mi herbatę, a pan Maciej, jej mąż i eks-kapral, zajęty był na podwórzu rozmową na migi z Anglikiem, Mr. Holyday, zostającym w służbie przedsiębiorców, bardzo zdolnym i przyzwoitym człowiekiem, który miał słabość do teologii, jak wielu jego rodaków. Przypatrywał on się pilnie obrządkom cerkiewnym i kościelnym, zbierał kolekcyę ornatów, stół, kielichów i ikonów, i każdego, kogo spotkał, wybadywał co do jego przekonań i wyobrażeń religijnych, zapisując wszystko nader skrzętnie i komunikując potem swoje spostrzeżenia redakcyom pism kościelnych angielskich rozmaitych konfesyj, których abonował sześć czy siedem. Jestem pewny, że i z Maciejem nie mówił o niczem innem, i że w kilka tygodni jedno z ulubionych jego czasopism zawierało zadziwiającą wiadomość, jako w armii austryackiej panuje osobna zupełnie religia, według której po Panu Bogu najpierwszym świętym jest *Herr Hauptmann*. Nagle wszystkie te nasze sielankowe zajęcia przerwane zostały ogromnym gwarem, a poskoczywszy do okna, ujrzałem tłum robotników, uzbrojonych w rydle i motyki, którzy otoczyli chatę dokoła i napadłszy znienacka Anglika i Macieja, włoczyli ich do sieni, dokąd wdzierali się

za nimi. Otworzyłem drzwi i chciałem wyjść, aby się dowiedzieć, co się stało, ale w tej chwili wepchnięto do izby moich obydwu teologów i w okamgnieniu izba napełniła się rozwścieklonymi robotnikami, z których dzikiej wrzawy wyrozumiałem, że chcą ubić na śmierć *„dzindziniera“*, bo zatrzymuje pieniądze, przeznaczone im na zapłatę, podczas gdy oni giną z głodu. Ja byłem tym nieszczęśliwym „dzindzinierem“. Nie było czasu parlamentować, ani też zastanawiać się, kto mógł w tych biednych ludzi wmówić tak wierutną bajkę; rydle i motyki zagrażały mojej głowie i tylko dzięki niskiej powale, wymierzone we mnie ciosy były nieszkodliwemi. W pierwszej chwili porwałem był rewolwer, wiszący nad mojem łóżkiem, ale nie miałem serca robić zeń użytku, i tak wszyscy trzej, ja, Anglik i Maciej, wyparci zostaliśmy do małej komórki, przytykającej do izby, i blokowani tam w towarzystwie Kasi, samowara i czajnika. Teraz dopiero opamiętał się, pierwszy z nas, Mr. Holyday, stanął w niskich drzwiach, zasłaniając je zupełnie swojemi szerokiemi barkami, odwinął rękawy i wkrótce mieliśmy sposobność przypatrzenia się bardzo pięknemu popisowi z brytańskiej sztuki walczenia na pięści. Pan Maciej tymczasem radził, że należy nam zrobić, jak generał Gyulay pod Magentą, t. j. urządzić jak najspieszniej *feldcurukcug* i skoncentrować się jak najdalej za frontem — wykonaniu dobrej tej rady stanęła atoli na przeszkodzie ta okoliczność, że z komórki nie było żadnego wyjścia, oprócz bardzo małego okienka, przez które Mr. Holyday nie byłby się zmieścił nawet w młodszych swoich latach, a zostawić go samego nie wypadało. Najlepszy plan obmyśliła Kasia, wyskoczyła bowiem oknem i pobiegła po żandarmów do karczmy. Anglik dokazywał cudów kułakami; już kilku chłopów, nieprzyzwyczajonych do tej zabawki, leżało na ziemi chwytając się rękami za stłuczone żołądki lub nosy, ale ciżba była zbyt wielką, napastnicy przemogli go, powalili o ziemię, i wdarli się do naszego miejsca obronnego. Pierwszy ten szturm odparłem zwycięsko, parząc najśmielszych kipiącą wodą z samowaru, podczas gdy pan Maciej, krzycząc dla

dodania sobie odwagi naprzemian: *„patroool!“* i *„vorwärts!“* usiłował salwować się okienkiem i tak się wsunął w ciasną futrynę, że nie mógł ani wyleść, ani wrócić. Brakło mi niestety ukropu, Mr. Holyday, deptany przez nową nawałę, szamotał się i klął jak poganin, a nie jak anglikański teolog, i już jedna motyka, którą szczęśliwie odbiłem stołkiem, dosięgła w bolesny sposób części pana Macieja, znajdującej się po tej stronie okna, już podniosłem rewolwer i gotów byłem wypalić, gdy na szczęście nadbiegli żandarmi i pojawienie się tej siły zbrojnej odjęło otuchę moim nieproszonym gościom. Żandarmerya robiła wówczas jeszcze zwykle jak najobfitszy użytek z palnej i siecznej broni; pan Maciej, wyrwawszy się ze swego *pryzona*, a ujrzawszy przed sobą zamiast motyki i rydlów, już tylko bardzo pokorne plecy, porwał jedno z porzuconych narzędzi i mścił się strasznie za swoją krzywdę, i zaledwie usilnej interwencyi mojej i Anglika udało się zapobiedz, by który z obałamuconych robotników nie padł krwawą ofiarą tej niewytłómaczonej hecki. Żandarmi uwięzili wszystkich jej uczestników i odprowadzili do karczmy — nas zaś, nim jeszcze zdołaliśmy ochłonąć, przeraził na nowo głośny krzyk kobiecy, który dał się słyszeć z ogrodu, znajdującego się za chałupą. Wybiegliśmy co tchu, i spostrzegliśmy Kasię, która w konopiach z wytężeniem wszystkich sił swoich usiłowała przytrzymać za żupan wyrywającego się jej żyda, wołając: Ratujcie! Złodziej! Przyskoczyłem jej na pomoc i schwyciłem delikwenta. Poznałem w nim natychmiast znajomego mi pana Szlomę, rudego arendarza z Hajworowa — poczciwiec wdarł się snać był do mojego mieszkania razem z chłopami i unosił z sobą pod żupanem mój tłumoczek i wszystkie papiery, jakie znalazł na wierzchu. Tym razem spotkanie to było dla niego fatalnem, nietylko bowiem pan Maciej i Kasia, ale jak się pokazało, i Mr. Holyday był zawziętym nieprzyjacielem żydów. Jeżeli p. Szloma nie jest przypadkiem już arendarzem na Polach Elizejskich albo w Tartarze, pamiętać musi dotychczas i czuć, co mu się oberwało przy tej sposobności. Oddano go nareszcie żandarmom, którzy

tymczasem z zeznań uwięzionych robotników powzięli byli przekonanie, że poduszczał ich do napaści na mnie głównie p. Szloma w spółce z arendarzem bednarowieckim. Nie omieszkałem dodać do tego informacyi, że pan Szloma już drugi raz objawia taki pociąg do posiadania moich papierów, i że przypuszczam, iż działał z czyjejś namowy, a nie w celu zwykłej kradzieży. Zeznanie to powtórzyłem nazajutrz w sądzie powiatowym w Czartopolu — adjunkt tamtejszy, człowiek bardzo energiczny, okuł Szlomę w kajdany i zamknąwszy się z nim sam na sam w biurze, tak mu jakoś dobitnie przemówił do sumienia, że żyd przyznał się, iż pan Klonowski z Hajworowa obiecał mu znaczną nagrodę, jeżeli dostarczy mu pewnych papierów, będących w mojem posiadaniu. Adjunkt był nieprzyjacielem pana Klonowskiego w skutek różnych zatargów, których nigdy nie brak na prowincyi, spisał więc protokół i odesłał go wraz z Szlomą i innymi więźniami sądowi śledczemu. Byłem niezmiernie zainteresowany całą tą sprawą, jak każdy pojmie, i rad byłbym pochodził energicznie około stanowczego jej wyświecenia, gdy nagle, czwartego dnia po napadzie, otrzymałem od przełożonej nademną władzy surową naganę z powodu mojego postępowania, które — jak mi pisano — dało powód do tak ogólnego przeciw mnie oburzenia wszystkich stron, mających styczność z budującą się koleją żelazną, że... odwoływano mię z mojej posady i nakazywano mi bezzwłocznie jawić się we Lwowie. O ile wiadomość ta była mi nieprzyjemną ze względu na krzyczącą niesprawiedliwość, jaką mi wyrządzano, o tyle z drugiej strony miło mi było dostać się do stolicy, dokąd już wróciła była p. Leszczycka z Elsią, bo działo się to już w połowie października.

W Bednarówce było kilka osób, którym wyjazd mój sprawił wielką przykrość. W pierwszej linii liczyła się do nich Kasia wraz ze swoim mężem. Zawdzięczali mi oni oboje swoje „stanowisko“; postarałem się był albowiem o to, że pana Macieja mianowano dozorcą przy budowie drogi, i miał też wszelką pewność zostania strażnikiem. Kasia lamentowała, że nie będzie już miała komu usługiwać, że jej

zabierają jej kochanego panicza i t. d. Obiecałem jej, że skoro zostanę wyższym urzędnikiem, to zrobię Macieja woźnym i wówczas będzie mi usługiwała aż do samej śmierci; obietnica ta utuliła ją nieco w jej żalu. Master Holyday był także niebardzo kontent z mojego oddalenia, a to, jak przypuszczam, z tego głównie powodu, iż przedsięwziął sobie wyleczyć mię z indyferentyzmu religijnego, i dzieło to jeszcze było niedokonane, choć szanowny apostoł korzystał z każdej wolnej chwili, by mię wciągnąć w jaką dysputę religijną. Gdym go odwiedził z pożegnaniem, nie opuścił i tej sposobności, i jako *argumentum ad hominem*, wskazywał mi prześladowania, jakich doznawałem na mojej posadzie. „Wiem ja bardzo dobrze — mówił Mr. Holyday — że nie wszystko dzieje się *„all right“* w tem przedsiębiorstwie; ale wiesz pan, zkąd to pochodzi? Oto *„your people“*, jeżeli ma jaką religię, to nielepszą wcale od bałwochwalstwa, ci zaś z pomiędzy was, którzy nie są bałwochwalcami, są albo hipokrytami najgorszego rodzaju, albo też *freethinkers*, ludźmi bez głębszej podstawy moralnej, ludźmi, którzy prawdziwą świadomość dobrego lub złego zastępują albo błędnym kółkiem spekulatywnych rozumowań, albo też tak zwanym „honorem“, t. j. zbiorem pojęć, przesądów, prawdziwych i fałszywych wyobrażeń, panujących i popłacających w społeczeństwie niedoskonałem, niewyrobionem i niedojrzałem. Gdybyście byli protestantami, mniejby było między wami niedowiarków, i bralibyście wszystkie rzeczy więcej na seryo, dochodząc rzeczywistego ich gruntu. Wówczas taki Master *Kloeonesky* byłby zdemaskowany przy pierwszem swojem szalbierstwie, i oddawna z rydlem w ręku pracowałby w Botany-Bay, zamiast zasiadać w radach nadzorczych i popierać tam swoje interesa cudzym kosztem. Nie wątpię ani na chwilę, że to on się panu tak przysłużył.“ Słuchałem tego kazania kiwając głową i dumając po części o tem, o ile mój Anglik może mieć słuszność, po części zaś — nie, nie po części, bo nierównie więcej o tem, czy Elsia jest jeszcze we Lwowie, lub też, czyli przybyła już do Starej Woli odwiedzić rodziców, jak to było w projekcie.

Anglik sądził może, że mię cokolwiek skruszył, i aby jego ziarno nie padło daremnie na przysposobioną już rolę, obdarzył mię biblią i kilkoma jeszcze innemi książkami i broszurkami, obliczonemi na zbudowanie zatwardziałych grzeszników, opakowawszy całą tę bibliotekę nader starannie w parę numerów olbrzymiego dziennika *Times*, które leżały na stole. Wdzięczny za dobrą intencyę, podziękowałem mu i pożegnałem go jak należało, a udawszy się do mojego mieszkania, włożyłem jego prezent do tłumoka, zapewniłem Kasię raz jeszcze, iż nie zapomnę mojej obietnicy i odjechałem do Czartopola. Tu dowiedziałem się, że powódź, w skutek której runął był filar mostowy kolei żelaznej, porobiła wszędzie ogromnie wielkie szkody, głównie zaś porywała mosty i zabrała promy, w skutek czego dyliżans już od kilku dni wcale nie krąży między Żarnowem a Lwowem — spodziewano się ledwie nazajutrz przywrócenia komunikacyi. Rad nierad, musiałem zatrzymać się w miasteczku, gdzie trudno było pomieścić się, bo odbywał się właśnie jarmark, i zjechało się było z okolicy mnóstwo szlachty i innych honoracyorów, którzy — czy to z planu zgóry powziętego, czy tylko korzystając ze sposobności, urządzili sobie byli sejmik przedwyborczy w jednym większym zajeździe miasteczka. Miałem tam kilku znajomych, takich mianowicie, których korzystniejsze oferty przy licytacyach dostawy dla kolei żelaznej odrzucono, i którzy wiedzieli, że pośrednio broniłem ich sprawy, bo nie chciałem przyjmować złego materyału, dostarczonego przez ich współzawodników. Oprócz tego w samym Czartopolu byłem *persona gratissima*, wiedziano tam bowiem, iż moim zabiegom zawdzięczało miasteczko stacyę kolei żelaznej. Dzięki tym stosunkom, zaproszony zostałem na obywatelską naradę przedwyborczą, ku wielkiemu zgorszeniu kilku jegomościów, niemogących pojąć, co „inżynier“ może mieć do czynienia między „obywatelami“. Nasłuchałem się też do sytu mów takich, jak owe, które niegdyś miewano w Hajworowie na cześć p. Klonowskiego. Wystąpił jakiś szlachcic — jeżeli się nie mylę, ten sam który wówczas przez pomyłkę wziął mię był na ręce, jako

potomka rodu Klonowskich i dawał mię całować całemu towarzystwu. Ten jasno i niedwuznacznie postawił kandydaturę p. Klonowskiego, nieobecnego na zebraniu, bo wyjechał był do Lwowa. Szlachcic twierdził, wśród grzmotu oklasków, że gdzie chodzi o obronę interesów narodu i kraju, a tem samem „ziemiaństwa“, tam nie może być ani mowy o innym kandydacie, jak tylko o najpierwszym, najzacniejszym i najświatlejszym ziemianinie z całej okolicy, a tym jest — Klonowski. Kilku innych mowców przemawiało w tym samym duchu, reszta zaś aplaudowała z całej siły. W jednym tylko kąciku zebrała się mała garstka malkontentów, do której i ja się przyłączyłem — tu, po cichu, zarzucano to i owo, sławionemu przez większość kandydatowi — każdy znał jakąś sprawkę, i każdy szemrał, namawiając drugiego do wystąpienia z opozycyą. Nareszcie znalazła się jakaś czupurna figura, niewiadomego mi nazwiska i pochodzenia, która donośnym barytonem zawołała: Proszę o głos! Przyznaję się, że mi serce biło radością, gdy ten obywatel oświadczył się stanowczo przeciw kandydaturze pana Klonowskiego. Im dłużej atoli słuchałem szanownego mowcy, tem mniej go rozumiałem. Kto ciekaw, może sobie przeczytać artykuły wstępne dzienników galicyjskich, a poinformuje się tam co do ważnych kwestyj, rozdwajających, rozstrajających i rozćwiertowujących tamtejsze społeczeństwo na „partye polityczne“, o których racyi bytu dość jest powiedzieć to, że każda z nich znika po dwóch albo trzech latach istnienia, tak dalece, że kto dziś n. p. zna je wszystkie i umie liczyć się z „mamelukami“, „rezolucyonistami“, „federalistami“ i t. d., ten po kilkunastu miesiącach, gdyby wyjechał z kraju i powrócił nie czytawszy dzienników, zastałby już inne zupełnie obozy, z odmiennemi nazwami i programami, i musiałby na nowo uczyć się rozróżniać jeden od drugiego. To też mój mowca, wprowadziwszy sprawę na to pole, wikłał się w niezrozumiałych frazesach i ani trochę nie zaszkodził kandydaturze Klonowskiego. Dyskusya ożywiła się atoli, występowali różni mowcy *pro* i *contra*, a chociażby ich i sam dyabeł był nie zrozumiał, gdyby nie był chyba specyalnie gali-

cyjskim dyabłem — jednakowoż czułem, jak mię porywała gorączka parlamentarna, i przysłuchiwałem się rozprawom z wielką uwagą i z ową świerzbiączką języka, której doświadcza niejeden, póki się nie przekona, że nie warto mówić. Nareszcie, w zapale dyskusyi, jeden ze zwolenników Klonowskiego zarzucił przeciwnikom prywatę, i że nie o zasady im chodzi, ale o osobę. Tym samym tchem wypowiedział mowca, że i jemu nie chodzi o taki lub siaki program polityczny, ale chodzi mu o to, aby wybrano męża zdolnego, zacnego, uczciwego, a takim jest Klonowski. Tu już nie mogłem wytrzymać — wśród ogólnego zdziwienia obecnych zażądałem głosu i z wielką swadą palnąłem coś nakształt owej mówki, którą niegdyś miałem do grządek kapusty. Im dłużej, płynniej i goręcej mówiłem, tem mroźniejsza cisza robiła się w pokoju i tem bardziej ja sam zapalałem się: z kolei opowiedziałem wszystko, co wiedziałem o Klonowskim, ofiarowałem się udowodnić to wszystko, i zapytałem nakoniec obecnych, czy taki człowiek może być ich reprezentantem? Gdym skończył i usiadł, niepospolicie zaperzony, cisza trwała jeszcze chwil kilka — powoli dopiero powstało szemranie i urosło później do piekielnego gwaru. Jedni zbliżali się do mnie i winszowali mi śmiałości i wymowy, drudzy oburzali się na wywlekanie spraw prywatnych przed forum publiczne, a oburzali się tak siarczyście, że chwilami sam byłem zachwiany w mojem przekonaniu, i myślałem, że w uniesieniu powiedziałem więcej, niż wypadało. Widocznie atoli to, co powiedziałem, zrobiło było wielkie wrażenie, i liczba zwolenników Klonowskiego zmniejszyła się, bo najgorętsi z nich oświadczyli, że niema tu co robić, skoro lada młodzik może kalać sławę najbardziej zasłużonego obywatela, poczem wynieśli się z pokoju, a opozycya skupiwszy się koło mnie, utrzymała się na placu. Musiałem pić wino z nowymi moimi przyjaciółmi politycznymi, musiałem dać im ucałować się i uściskać i chwalić bez końca, a nareszcie, dwom najżarliwszym przeciwnikom Klonowskiego musiałem przyrzec, że jeszcze tej samej nocy wygotuję do druku pamflet, wymierzony przeciw kan-

dydaturze tego zacnego obywatela, pamflet, zawierający wszystko, co o nim wiedziałem. Dotrzymałem obietnicy, i w zwięzłej, ale dobitnej formie przedstawiłem kandydata większości jako szubrawca godnego kryminału, opisując nietylko historyę jego procesu z komornikiem Wielogrodzkim, ale także i ową awanturę z Przesławskim; stosunki zmieniły się już bowiem były tak dalece, że bez wszelkiej obawy można było rozprawiać publicznie o tem, co przed laty wszystkich przejmowało trwogą. Nie omieszkałem dodać opowiadania o dwukrotnym zamachu Szlomy na moje papiery, o buncie robotników, i o zeznaniu ich herszta, że działał z polecenia Klonowskiego. Pamflet kończył się uwagami nad tem, że Klonowski zasiadając w Radzie nadzorczej kolei żelaznej, był oraz dostawcą materyałów, i że między innemi dostawił na stacyę w Janówce progów, których ja wprawdzie nie przyjąłem, ale które przyjął mój następca na wyraźnie polecenie zgóry, wydane w skutek wpływu Klonowskiego. Elaborat ten, zaopatrzony moim podpisem i pisemnem upoważnieniem, aby był ogłoszony drukiem, oddałem tym, którzy mię o to prosili, i ruszyłem w dalszą drogę, doczekawszy się nakoniec dyliżansu.

Jakkolwiek kategorycznem było wezwanie moich przełożonych, abym niezwłocznie przybywał do Lwowa, byłbym sobie pozwolił owego pierwszego w mojem życiu „wybryku“, o który żartem zapytywała Elsia Herminę w swoim liście — to znaczy, byłbym zboczył z Ławrowa do Starej Woli i byłbym tam zabawił pół dnia przynajmniej, gdybym się był spodziewał zastać tam przedmiot mojego uwielbienia. Tak mi było potrzeba innych wrażeń i wzruszeń, niż te, których mogłem doznawać wśród prac i przykrości mojego zawodu, od czasu jak los zawistny umieścił mię w Janówce i w Bednarówce, tak mocno pragnąłem bodaj na parę godzin zamiast pilotów i progów, grobli i mostów, kosztorysów i sprawdzeń rachunków, Klonowskich i Heimoffenów, żydów i szlachciców, oglądać znane, poczciwe twarze, spocząć w cieniu drzew, nierąbanych siekierą akcyonaryuszów, słuchać szumu wody niewyzyskiwanego przez żadne konsorcya, przypatrzyć się

ludowi niegrabionemu w kantynie, a przedewszystkiem, pragnąłem tak mocno być blizko *niej*, poddać się, chociażby jej kaprysom, śledzić uśmiechu jej i spojrzenia i być szczęśliwym lub nędznym z jej zachcenia i woli — tak mocno, powiadam, pragnąłem tego wszystkiego, że zamiast przybyć do Lwowa pierwszą pocztą po powodzi, byłbym przybył drugą dopiero. Na stacyi jednak pocztowej w Ławrowie dowiedziałem się, że pani Leszczycka i Elsia zabawiwszy czas jakiś W Starej Woli, już odjechały. Zostawiłem więc tylko u znajomego mi pocztmistrza krótki bilet do Józia, donoszący mu o moim wyjeździe i wskazujący mu mój adres we Lwowie, z prośbą o nowiny starowolskie — puściłem się dalej i nie obciążyłem nawet kilkagodzinnem spóźnieniem się mojego sumienia wobec władców mojego czasu. Sumienie to było zupełnie czyste, gdy się jawiłem w biurze dyrekcyi, w tem przekonaniu, że będą zbadane dokładnie zajścia, których byłem świadkiem i uczestnikiem, i że dana mi będzie sposobność wykazania i udowodnienia wielu nadużyć, o których może i nie wiedziano u góry. Aby szanowny czytelnik mógł odrazu wyobrazić sobie moje rozczarowanie, powiem w krótkości, że nie pytano mię o nic, nie słuchano tego, co chciałem mówić, i tylko mój naczelnik z miną suchą i zimną doręczył mi jakiś papier i oddalił się do drugiego pokoju. Spojrzałem — była to zupełna dymisya, bez przytoczenia jakichkolwiek powodów. Na chwilę zrobiło mi się w sercu jakoś tak, jak wówczas, kiedy po raz pierwszy znalazłem się w Ławrowie, w „dolnym“ konwikcie, pod opieką szanownego Mykietiuka. Wnet atoli oburzenie wzięło górę nad smutkiem, bo nie byłem już małem dzieckiem, któremu można wyrządzać niesprawiedliwość bezkarnie. Wyleciałem z bióra jak szalony, pełen energii i chęci dochodzenia krzywdy. Nietylko napisałem list do komornika, opisujący mu w jaskrawych barwach wszystko co się stało, ale kogo tylko spotkałem, opowiadałem mu o nadużyciach, o oszustwach, o organizowanem szalbierstwie, którego padłem ofiarą. Byli tacy, którzy kiwali ręką, jak gdyby mi chcieli powiedzieć, że

nie opowiadam im nic nowego — byli i tacy, którzy załamywali ręce i nie chcieli wierzyć, by coś podobnego dziać się mogło tam, gdzie pierwsze ozdoby i *lumina* kraju stoją na czele — byli nakoniec i tacy, którzy nie dziwili się niczemu i wszystko wierzyli, a wypytywali mię dokładnie o każdy szczegół i później, na podstawie zebranych w ten sposób informacyj... nie oskarżyli publicznie ani księcia-naczelnika, ani p. Klonowskiego, ani p. Heimoffena, ale natomiast kazali sobie zapłacić za milczenie. Ani spostrzegłem, jak powoli zabijałem się w opinii publicznej, głosząc to, o czem szanowna ta osoba moralna powinna była wiedzieć koniecznie; jak zaczynałem uchodzić za intryganta, agitatora, kalumniatora, za indywiduum, które niewątpliwie napędzono dla jakichś nieczystych sprawek z posady inżyniera, i które mści się rozszerzaniem obrzydliwych fałszów o swoich dawniejszych chlebodawcach. Stopniowo atoli nabywałem przekonania, że taki a nie inny był skutek mojej bieganiny i całej wrzawy, jaką narobiłem. Ludzie życzliwi mi niegdyś, stronić zaczynali odemnie, inni, z dobroduszności niby, dawali mi wskazówki, że jestem na złej drodze — jednem słowem przekonałem się, że książę Blaga był rodzajem półbożka, uchylonego z pod wszelkiej krytyki, jak jaki jezuicki święty, i że nie było w kraju całym potęgi, któraby się ośmieliła walczyć przeciw niemu. Ostatecznie więc, gdy ochłonąłem z zapału i zmiarkowałem, jak rzeczy stoją — musiałem sobie powiedzieć, że na razie wraz ze wszystkiemi mojemi marzeniami i planami osiadłem na lodzie, i że przepaść dzieląca mię od Elsi zwiększyła się znacznie. Pojąłem, że sam na to pracowałem, mniemając, iż pracuję przeciwnie nad złotym mostem, prowadzącym przez tę przepaść. Gdybym był słuchał propozycyj Klonowskiego i podpisywał bez wahania się rachunki Heimoffena, gdybym był umiał nie widzieć wielu rzeczy, lub widzieć je tak, jak sobie tego urzędownie życzono, byłbym teraz już bliskim celu — podczas gdy wypełnienie najprostszych wymagań uczciwości zępchnęło mię z mojej drogi. Rozgoryczała mię niezmiernie ta myśl i napawała smutkiem — od zwątpienia jednak

i rozpaczy chronił mię młody wiek i chroniło mię przekonanie spełnionej powinności. Czułem w duszy to błogie, tak specyalnie polskie przeświadczenie, że „jakoś to wszystko będzie“. Powiedziano, że równie fałszem jak prawdą można przejść świat cały, ale że prawdą można jeszcze także i wrócić, podczas gdy fałszem niepodobna. Pewność ta krzepiła mię, dodawała mi otuchy i nie zawiodła mię w tym wypadku: chociaż patryotyczne moje uczucie wzdryga się na wspomnienie, zkąd, z której strony błysła mi nadzieja tryumfu prawdy. Oto — wstydzę się wyznać, niejaki p. Pimmeles, finansista, którego nazwisko starczy za rysopis i kartę legitymacyjną, a z którego synem kolegowałem w akademii technicznej — ów p. Pimmeles tedy spotkał mię na „Wałach“ i mimo swoich kilkukroćstotysięcy majątku wdał się ze mną w poufną rozmowę, rozpoczynając ją od tego, że słyszał od syna, iż jestem bardzo biegły w chemii i technologii chemicznej. W istocie rozmiłowany byłem w tych przedmiotach nauki i zajmowałem się niemi nierównie więcej niż wymagano w akademii.

— Nu, to bardzo dobrze! — odparł mój półmilioner — ja mam dla pana bardzo dobrą posadę. Zrobię pana dyrektorem mojej fabryki!

— Ależ panie, boję się, czy w praktyce nie będę strzelał byków, mimo studyów, jakie robiłem: wszak nie miałem nigdy sposobności obznajomić się bliżej z taką fabryką. A zresztą, czy panu może nie wiadomo, że mię oddalono z posady, jaką miałem poprzednio?

— Nu, właśnie dlatego, że pana oddalono, to ja chcę pana zrobić dyrektorem. Ja to panu zaraz wytłómaczę. Pan może i nie widział takiej fabryki, jak moja, ale to nic nie szkodzi, pan ma taką głowę, że jabym panu zaraz zapłacił pięćdziesiąt tysięcy, gdyby mi ją pan pożyczył na dwa lata. Nu, ale widzi pan, ja także niegłupi. Ja mam dwóch spólników, którzy siedzą na miejscu i pilnują fabryki, podczas gdy mnie moje interesa nie pozwalają ruszać się ze Lwowa. A tam, w tej fabryce ja mam znaczny kapitał, i dlatego wymówiłem sobie, że moi spólnicy będą pilnować

fabryki dla siebie, a ja dla siebie będę mianował dyrektora, coby ich trochę pilnował, bo to w spółce zawsze lepiej, jak jeden drugiego pilnuje. Słuchaj pan — książę Blaga i p. Klonowski mają także takiego spólnika, jak ja, bo jest przecież towarzystwo akcyjne. Nu, ja nie chcę tak wyjść na mojej fabryce, jak towarzystwo wyjdzie na swojej kolei żelaznej, i ja już dawno szukam takiego technika, coby jego książę i Klonowski napędzili. Jak oni tylko pana napędzili, to ja zaraz wiedział, że pan jesteś *ein redlicher Mann,* który nie chciał robić żaden *Schwindel.* Moi spólnicy chcieli sobie sprowadzić dyrektora z Wiednia, tak, à la Heimoffen — (tu p. Pimmeles zrobił giest nader wymowny); ale ja im powiedział, że ja jestem nadto dobry patryota, abym na to pozwolił, i teraz ja pana zrobię dyrektorem. Poco nam Polakom jeszcze więcej Niemców sprowadzać do kraju?

Po dłuższej rozmowie przekonałem się, że p. Pimmeles znał jeszcze lepiej odemnie tajemnice kolei żarnowsko-ławrowskiej; a uszczęśliwiony, że znalazłem miejsce, na którem uczciwość wymagana była więcej od zdolności, chętnie przyjąłem propozycyę i jeszcze tego samego dnia podpisałem kontrakt, zapewniający mi 3000 złr. rocznej pensyi, mieszkanie i tantiemę od zysku. Nie był to wprawdzie skarb Wielkiego Mogoła, który pragnąłbym był złożyć u stóp Elsi, ale pominąwszy już to, że nie każda „wioska“ niesie tyle dochodu karmazynowemu posesyonatowi, ile ja go mieć miałem — pocieszającą była głównie ta okoliczność, że nie byłem „na bruku“, i że mimo niezaszczytnej dymisyi, ze strony dyrekcyi kolei, ludzie dbający o swój interes pokładali we mnie zaufanie. Wieczór, dumny z mojego sukcesu, wróciłem do hotelu, w którym stanąłem. Zastałem tam list od Józia, donoszący mi, że Elsia wyjechała z panią Leszczycką do dóbr tejże, i dopiero za parę tygodni będzie we Lwowie. „Starałem się wybadać, jak idą twoje interesa — dodawał Józio — ale jest nieprzeniknioną, zbywa wszystko żartami. Być może, że na dnie jej serca ukrywa się coś więcej, ale to już twoja rzecz wybadać: spróbuj przypuścić atak zaraz po jej powrocie. Ojciec dał jej bardzo

wyraźnie do zrozumienia, jak się zapatruje na ten stosunek: powiedziane to było wprawdzie całkiem ogólnikowo, ale jestem pewny, że pojęła o co chodzi. Zamiast odpowiedzi, położyła mu głowę na piersi i dała się pieścić — jeżeli rozumiesz tę mowę, to ją sobie wytłómacz."

Rozumiałem, rzecz oczywista, że rozumiałem wszystko i wytłómaczyłem sobie doskonale! Powodzenie z p. Pimmelesem usposobiło mię było różowo.

Dziwiłem się, że nie miałem jeszcze listu od Herminy, a nawet niepokoiłem się tem troszkę, bo dzienniki donosiły, że cholera zaczęła grasować w Żarnowie. Wtem wszedł garson hotelowy i doniósł mi, że jakiś siwy jegomość, który przybył w południe i stanął po numerem 11, już kilka razy bardzo usilnie wypytywał się o mnie i kazał sobie dać znać, skoro wrócę. Pobiegłem do portyera dowiedzieć się nazwiska tego pana i zdumiałem się ogromnie, gdy wyczytałem w książce: „W. Wielogrodzki, z Żarnowa". Co tchu pobiegłem na górę, pod numer jedynasty.

Nie miałem najmniejszego wyobrażenia o tem, co mogło spowodować komornika do przedsięwzięcia tak dalekiej podróży. Od kilkunastu lat nie ruszył on się z Żarnowa, a od czterech lat, o ile mi było wiadomo, nie opuszczał prawie progu swojego mieszkania, chyba że wychodził do altanki w ogródku dla odetchnięcia świeżem powietrzem. Dla tych, co go otaczali, myśl o jego wyjeździe była czemś tak niepodobnem do prawdy, jak np. dla mieszkańców doliny Tapia byłoby bajecznem, gdyby im kto powiedział, że jednego pięknego poranku Chimborazzo ruszy się ze swoich posad i odwiedzi ujście rzeki Orinoco do morza, albo też, chociażby najbliższe brzegi Cichego oceanu. Komornik należał do znanego dość powszechnie rodzaju „wygodnych" ludzi, serdecznych, poczciwych, gotowych do każdej ofiary, i — do pewnej nadpłaty na ofiarę, byle sobie mogli oszczędzić „fatygi". Któż nie znał takich ludzi? Epikurejczyków z przyzwyczajenia, chrześcian z serca — ludzi, ubóstwiających niby swoje „ja", ale wymagających od tego „ja" tyle, aby było godnem ubóstwienia, że najwierniejszy naśladowca Dyo-

genesa ustałby w połowie drogi, nimby zdołał sprostać takim wymaganiom. Ściśle rzecz wziąwszy, nic łatwiejszego, jak być dobrym, ludzkim, wspaniałomyślnym, w duchu tego ostatniego filozofa. Jeżeli ja sam kontentuję się płaszczem dziurawym i beczką bez dna, owocami rosnącemi dziko i wodą z źródła, jeżeli mi do szczęścia nie potrzeba nic więcej, oprócz kilku promieni słońca nieprzyćmionych firanką — to niewielka sztuka przypuścić całą ludzkość do uczestnictwa tej rozkoszy. Dlatego też, w praktyce życia, niemasz mniej uczynnych i mniej miłosiernych ludzi nad prawdziwych *cyników,* tj. nad zwolenników psiego życia. Taki filozof spotka artystę, któryby stworzył arcydzieło, gdyby go otaczały warunki fizycznego dobrego bytu, gdyby mu nie dokuczał i nie pętał mu skrzydeł wyobraźni niedostatek materyalny. Myślicie, że Dyogenes nowoczesny wzniesie się do zrozumienia tych warunków artystycznej egzystencyi, że potrafi odróżnić swoje położenie, położenie *fruges consumere nati*, od położenia wybredniejszej cokolwiek natury, i natury mającej inne zadanie, aniżeli dobić się powszedniego jutra po dniu niemniej powszednim? Nigdy w świecie! Jakiem prawem — skoro Dyogenesowi wszystko jedno, czy śpi w beczce, czy w puchu, skoro mu wszystko jedno, co je i co pije — jakiem prawem tamten chce palić dobre cygara, i mieć meble harmoniujące z obiciem pokoju, i służącego, któryby mu buty wyczyścił, i pić wodę z rzniętego kryształu, skoro równie dobra i świeża z glinianego kubka? Wszak szewc kontentuje się drewnianym stołkiem i blaszanym lichtarzem, a przecież szyje buty i utrzymuje całą rodzinę — czemuż tamten, sam jeden, nie płodzi dramatów, nie maluje obrazów, nie komponuje oper na krzywem krzesełku, przy blasku łojówki? Tak rozumieją cynicy — ale komornik Wielogrodzki był epikurejczykiem. Potrzebował sam wygodnego mieszkania, miłego otoczenia, dobrego wina i dobrego tytoniu, ale potrzebował także, aby nic nie psuło harmonii w tym małym światku, który miał dokoła siebie, aby każdy z otaczających go, z należących do niego, miał to, czego potrzebował — dlatego też, jeżeli komornik Wie-

logrodzki widział w tem potrzebę swojego serca, by komuś przyjść w pomoc, to kosztowało go to zawsze dziesięć razy więcej, niż kosztuje ludzi owa dobroczyność tuzinkowa, chodząca po kweście i rozdająca jałmużnę, ale nieoglądająca się nigdy, czy w istocie przyniosła komu ulgę? Taka dobroczynność jedzie powozem i rzuca w kurzawę gościńca monetę miedzianą, dla kaleki, co musi czołgać się z wytężeniem wszystkich sił swoich, nim znajdzie szeląg, do którego musi jeszcze dożebrać drugi, aby mu starczyło na bochenek chleba, i aby mógł położyć się spać w niepewności o jutrzejsze śniadanie. Epikurejczyk przeciwnie, tj. człowiek lubiący swoją wygodę, nie miałby spokoju, gdyby go miała trapić myśl, że ten biedak nie znalazł może grajcara, rzuconego w błoto, że znalazłszy go, nie będzie wiedział, co począć z tak małą sumą — zatrzymując więc powóz, daje tyle, ile tamtemu potrzeba do szczęścia na 24 godzin, i odjeżdża z tem błogiem przeświadczeniem, iż jedna przynajmniej istota ludzka użyje darów bożych według swojej potrzeby w chwili, gdy on wysiadłszy z powozu, zasiędzie do sutej wieczerzy i spocznie po niej w błogiem przekonaniu, iż rano nie obaczy twarzy nędznej, niezadowolonej. To jest może jedna z przyczyn, dla których widzimy ludzi bogatych a nieużytych, i ludzi stosunkowo niezamożnych, a świadczących bezinteresowne przysługi możniejszym od siebie.

Przyczyną niespodziewanego przyjazdu komornika i bajecznych niewygód, jakich doznał przy tej sposobności, było moje zajście z dyrekcyą kolei ławrowsko-żarnowskiej. Myśl, że postępując tak, jak mi to nakazywało poczucie obowiązku i honoru, postradałem na razie wraz z moją posadą owoc rzetelnych studyów i zwichnąłem karyerę, na którą pracowałem, myśl ta nie dała spokoju p. Wielogrodzkiemu. Obwinął się we wszystką flanelę, jaka była w domu, zabrał z sobą wszystkie poduszki, które mogły zmieścić się do dyliżansu, i wraz z niemi służącego swojego Janka, stękał i gniewał się na wszystkich stacyach, na wszystkich popasach, piorunował na hotel, na pluskwy, na restauracyę, na fałszowane wino, na złe materace, płacił na wszystkie boki, jak Krezus,

byle sobie ulżyć w tych cierpieniach, ale natychmiast po pierwszym odpoczynku wdział frak, wziął dorożkę, i pojechał prosto do księcia Blagi. Trzeba zaś wiedzieć, że nim komornik został Epikurejczykiem i osiadł w Żarnowie, i nim książę Blaga został milionerem, łączyły ich obydwu pewne stosunki, w których komornik nabył był niemało prawa do wdzięczności i względów księcia pana. O ile wiem z opowiadania innych ludzi — p. Wielogrodzki nie wspomniał nigdy o przysługach, które świadczył — chodziło o jakąś bardzo wielką i bardzo korzystną dzierżawę, obiecującą krocie dochodu. P. Wielogrodzki miał ją już w rękach, mimo współzawodnictwa księcia, dorabiającego się wówczas majątku. Otóż, jak prawdziwy Epikurejczyk, komornik rozważył, że jemu do spokoju i wygody potrzeba nierównie mniej, niż człowiekowi pieczętującemu się królewskim niegdyś herbem i dźwigającemu na swojem nazwisku brzemię wiekowej świetności i sławy. Było w tem dobre serce, był i pietyzm dla historycznego imienia — dość, że p. Wielogrodzki odstąpił księciu ów kolosalny interes bez żadnej pretensyi i położył tym sposobem kamień węgielny do olbrzymiej jego fortuny. Tej to okoliczności zawdzięczałem i ja pierwotną moją nominacyę na inżyniera przy kolei żelaznej ławrowsko-żarnowskiej, bo książę Fortunat nie mógł dać odmownej odpowiedzi na pierwszą prośbę człowieka, który mu niegdyś krocie rzucił pod nogi, nie żądając nawet prostego „Bóg zapłać!“ a więc teraz, wdziawszy frak, komornik napadł księcia w domu, wyrecytował mu wszystko, co wiedział o nadużyciach, jakich się dopuszczano przy budowie kolei, i kradzieżach, oszustwach i o oddaleniu mię z posady, i zażądał sprawiedliwości.

— Rozgadałem się, co się zowie, opowiadał mi komornik, chociaż gdy byłem w najlepszym toku, przerwała mi mowę księżna pani, weszła bowiem do pokoju żądając od męża posady inżyniera dla jakiegoś młodego człowieka, którego jej polecono. Książę zrobił zarzut, że ten młody człowiek nie ma najmniejszej kwalifikacyi, a księżna na to, że jej „Jadwinia“ i „Frynia“ i „Binia“ i ksiądz Melchisedech

polecili tego młodzieńca, jako bardzo przykładnego, i że go sama widziała u Jezuitów, jak modlił się z książki przed wielkim ołtarzem, i tym podobne facecye. Książę opierał się, ale nic nie pomogło, musiał podpisać nominacyę. Ot, może to w gruncie i niezły człowiek, ale go baba wodzi za nos, i kwita. A naraziłem się przy tej sposobności, bo poparłem księcia w jego opozycyi uwagą, że u Jezuitów można wymodlić sobie zbawienie wieczne, i że Duch Święty zaopatrzył apostołów w potrzebne im wiadomości filologiczne, ale że co do matematyki i mechaniki, to nie było dotychczas wypadku, aby się Duch Święty wdawał między akademię a hebesów, co upadli przy egzaminie. Chachacha! Gdybyś ją był widział — mało mię nie zjadła ze złości! Książę był w wielkim ambarasie, musiał jej przypominać naszą dawną znajomość, bo możeby mię była kazała wyrzucić z pałacu. Gdy odeszła, dokończyłem mojej filipiki. No, no, nagadałem im, co się wlazło.

— I cóż książę na to?

— Co? A, tak... powiedział mi z uśmiechem: Cóż ja zrobię, kiedy pański pupil chce być mędrszym od jeneralnego dyrektora, i od naczelnego inżyniera! — Mędrszym nie, ale uczciwszym, odpowiedziałem, popatrzyłem księciu w oczy tak, że mię z pewnością zrozumiał, i wyszedłem. Wiesz co, Mundziu? Niech ich tu wszystkich dyabli wezmą, a ty przyjeżdżaj do Żarnowa. Jednakowo my oboje jesteśmy już starzy, i nim pomrzemy, chcielibyśmy z was młodych mieć pociechę.

Struchlałem na myśl, dokąd zmierzały słowa komornika, i przerwałem mu szybko, aby mu opowiedzieć, jaki dobry interes zrobiłem z p. Pimmelesem. Poczciwy staruszek uradował się tem i uśmiał się niemało z „patryotyzmu“ p. Pimmelesa, robiąc przytem trafne spostrzeżenie, że gdyby p. Pimmeles sam doglądał fabryki, a miał spólników w mieście, to nie starałby się może tak usilnie o technika, którego ks. Blaga i p. Klonowski oddalili z posady. Niebawem atoli rozmowa nasza zeszła znowu na tor taki, iż wzmianka o Herminie i wyjaśnienie mojego stosunku do niej stawały

się czemś nieuniknionem. Już szukałem w myśli sposobu, jakby to nie pozbawić komornika jego ulubionych projektów i złudzeń, a nie powiedzieć nieprawdy — gdy wybawił mię z kłopotu garson, wpadając z zadziwiającem doniesieniem, że woźny sądowy poszukuje od pół godziny p. Edmunda Moularda. Komornik kazał go wpuścić — woźny doręczył mi jakieś papiery, kazał sobie podpisać pokwitowanie i odszedł. Zdjęci ciekawością, poczęliśmy czytać przyniesione mi dokumenta, i dowiedzieliśmy się z nich, że Wny Bończa Klonowski, „właściciel dóbr ziemskich" itd. itd. dostawszy do rąk pamflet, wydrukowany u Kornela Staudigla w Łykopolu, pod tytułem: „Do senatu, czy do Kryminału?", upatrzył w nim obrazę swojego honoru, *vulgo* wykroczenie przeciw bezpieczeństwu czci, przewidziane w tych a tych paragrafach kodeksu karnego, i że w skutek tego pomieniony, JWny Bończa Klonowski, prosi o ukaranie p. Edmunda Moularda, jako podpisanego na tymże pamflecie autora i wydawcy. Na podstawie której to skargi, trybunał prasowy w Łykopolu, w królestwie lodomeryjskiem, rozpisał publiczną rozprawę na ten a na ten dzień, zawezwał na nią przysięgłych i stronę skarżącą, a obecnie wzywa mię jako oskarżonego pod rygorem prawnym, abym do pewnego terminu wymienił świadków i inne dowody, ku obronie mojej służyć mające, i sam później w dniu rozprawy przed sądem się jawił.

Wiadomość ta zelektryzowała nas niepospolicie — nie było już mowy o niczem innem, jak tylko o wytoczonym mi procesie. Komornik nie posiadał się z radości — widocznem bowiem było na pierwszy rzut oka, iż proces przed sądem przysięgłych nietylko wobec opinii publicznej przedstawi we właściwem świetle człowieka, któremu ona niesłusznie hołdy oddawała, ale że nadto wyjdą na jaw szczegóły, zmuszające sąd karny do interwencyi przeciw p. Klonowskiemu.

Komornik był znakomitym jurystą teoretycznym i praktycznym, znał on nietylko prawo, tak jak ono stało w kodeksach i ustawach, dla użytku publicznego, ale nadto

umiał na pamięć wszystkie *Hofkammerdekrety*, *Erlassy* i *Verordnungi*, dzięki którym każda ustawa jest martwą literą i nie popłaca więcej od asygnacyi na sumy neapolitańskie, wywiezione ongi przez królową Bonę. Wyjaśnił on mi tedy, że bylem udowodnił prawdę wszystkich twierdzeń, zawartych w moim pamflecie, nietylko przysięgli muszą mię uznać niewinnym, ale nadto, oskarżyciel publiczny z urzędu swojego musi wystąpić przeciw p. Klonowskiemu, jako krzywoprzysięzcy i oszustowi, a opinia publiczna potępi go jako fałszywego denuncyanta i obłudnika, wyzyskującego na własną korzyść pokładane w nim, jako w zamożnym i rządnym obywatelu, zaufanie publiczne. P. Wielogrodzki był człowiekiem pozytywnym i nie należał bynajmniej do rzędu tych, którzyby chcieli, aby ogół szedł ślepo za głosem wieszczów i proroków — owszem, uznawał on w zupełności, że fantazya zawiodła nas nieraz na bezdroża, i że poeci wojują urojonemi potęgami, a prorocy, komicznemi dla zimnego rozumu frazesami i hasłami; nie potępiał on przeto ogółu swoich rodaków, iż poza sferą uniesień idealnych i chwilach omdlenia, następujących po każdem heroicznem wysileniu, lgnęli instynktowo do ludzi materyalnego czynu, do ludzi, którzy jak ks. Blaga albo p. Klonowski, umieli współzawodniczyć z obcymi żywiołami w gromadzeniu rozstrzygających dziś zasobów ziemskiej potęgi. Owszem, komornik utrzymywał zawsze, iż nam potrzeba takich ludzi, ale wymagał od nich pewnej nieustającej, rozumnej i sumiennej dbałości o dobro publiczne, pozwalając im przytem, by się uważali za skarbników i szafarzy tego dobra. Ale miał on także przekonanie, że nieuczciwość w sprawach prywatnych nie może iść w parze z czystym charakterem publicznym, i że uleganie wpływom takim, jakim notorycznie ulegał książę Blaga, wiedzie łódkę wspólną na niebezpieczne i zgubne mielizny. Dlatego też p. Wielogrodzki nienawidził Klonowskiego i rad był pozbawić ks. Blagę, chociażby pośrednio, jego przewagi w kraju. Proces, który mi wytoczono, miał tedy w jego oczach niezmierną wagę publiczną, a gdy oprócz jego szanownego głosu powtarzał mi to głos powszechny,

gdy wszędzie z niesłychanem zajęciem uwaga publiczna zwróciła się ku rozprawom sądu przysięgłych w Łykopolu, więc przebaczy mi może szanowny czytelnik, iż w tym okresie mojej historyi chodziłem jako pęcherz nadęty doniosłością mojego przypadkowego posłannictwa, i jako bocian z wysokości swoich szczudeł śledzący płazów, zasługujących na wytępienie. To przeświadczenie było tak silnem, tak licowało z zasadami, wpojonemi we mnie przez moją matkę i przez O. Makarego, tak zresztą — wyznaję to szczerze — dogadzało mojej miłości własnej, że usunęło ono prawie na drugi plan najpotężniejsze indywidualne prądy mojego serca, albo przynajmniej, w dziwny sposób łączyło się z niemi. Nie dręczyła mię już tak bardzo myśl, jak dawno nie widziałem Elsi, nie trawiła mię tak niecierpliwość stanowczego wyjaśnienia i ustalenia stosunku, jaki istniał między nami — owszem, zdawało mi się, że walcząc w obronie nietylko mojej, ale i publicznej sprawy z takiemi potęgami, jak adherenci ks. Blagi i p. Klonowski, walczę o posiadanie tego, co mi było najdroższem. Jednem słowem, proces w Łykopolu zabsorbował mię ze wszystkiem, wytężył całą moją energię w jednym kierunku, a otucha moja rosła, im bardziej przekonywałem się, że nikt, jednem słowem, nikt z pomiędzy tych, z którymi mówiłem o mojej sprawie, nie wątpił o jej słuszności i o mojem powodzeniu.

Łykopol, jako stolica Lodomeryi, miała wówczas wyjątkowe cokolwiek i w cywilizowanym świecie niezwykłe warunki, co do tworzenia sądu przysięgłych w sprawach prasowych. Pomiędzy dwunastoma przysięgłymi, których wylosowano, było pięciu kuśnierzy, dwóch bednarzów, jeden fabrykant obuwia, zwany pospolicie szewcem, jeden pensyonowany syndyk magistratualny, jeden malarz i dwóch cyrulików, z których jeden od piętnastu lat, według zeznań najbliższych swoich znajomych, najmniej trzy razy widziany był w trzeźwym stanie, drugi zaś z profesyi był Czechem niemuzykalnym, i nierozumiejącym innego języka, oprócz „*Sprache seiniges*“, tj. oprócz dyalektu, w którym uczono pp. Giskrę i Herbsta, jak się nazywają knedle. Obrońca mój,

dr. Ehrlich, był w rozpaczy z powodu tego tak nieliterackiego składu ławy, i utrzymywał, że ci ludzie nie są zdolnymi do sądzenia takiej sprawy, o jaką chodziło. Ja przeciwnie byłem przekonany, że dość jest być uczciwym człowiekiem i niepozbawionym zmysłów, by odróżnić prawdę od fałszu, lub oszustwo od uczciwości, i nie rozumiałem, dlaczegoby bednarz lub kuśnierz nie mógł podołać temu zadaniu równie dobrze, jak adwokat lub dyrektor banku. Historya sądów przysięgłych w Łykopolu potwierdza zresztą w zupełności moje zdanie, i jakkolwiek sama nazwa miasta przypomina zbyt dobitnie *łyków*, czyli w galicyjskiem narzeczu *kołtunów*, to nieraz już bardzo piśmienni, bardzo sprytni i bardzo przebiegli panowie mieli tam sposobność przekonać się, że żadna w świecie retoryka nie zdoła zagłuszyć głosu sumienia. Dlaczegożby i tym razem głos ten nie miał przemówić, jak należało! Dr. Ehrlich wyrażał obawę, że zbyt potężne interesa wchodzą tu w grę przeciw nam, że pewna falanga potentatów, której najwybitniejszym reprezentantem był Klonowski, poruszy wszystkie sprężyny, dozwolone i niedozwolone, by uzyskać werdykt, uniewinniający Klonowskiego, a potępiający mój pamflet. Lecz aby zbić wszystkie te obawy, dość mi było spojrzeć na pensyonowanego syndyka, którego przysięgli obrali swoim przewodniczącym. Jego biała broda i sędziwa postać były dostateczną rękojmią jego stanowiska w tej sprawie, a gdy nadto prezes trybunału, wzywając imienia Stwórcy, zaklął moich sędziów na ich sumienie i zbawienie wieczne, by uważnie słuchali rozpraw i wydali wyrok tak, jak zań przy sądzie ostatecznym odpowiedzieć będą w stanie — czyż mogłem wątpić, że człowiek stojący nad grobem zdoła lekceważyć świętość przysięgi, że prostaczkowie, wierzący w piekło i w niebo, słuchać będą czyichkolwiek podszeptów, zamiast własnego przekonania?

Sprawa moja rozpoczęła się atoli pod fatalnemi auspicyami. Trybunał orzekł, że ponieważ przedłożyłem skrypt p. Klonowskiego, dowodzący, jako w istocie pożyczył był pewną sumę pieniędzy od ś. p. ojca mojego, więc przesłu-

chanie powołanego przezemnie świadka, komornika Wielogrodzkiego, jest zbytecznem. Nadto, zawiadomiono mię, iż trybunał udawał się do sądu w Żarnowie o przysłanie aktów, tyczących się opieki p. Klonowskiego nademną, otrzymał atoli odpowiedź, iż tam takich aktów niema. (Dowiedziałem się, niestety dopiero później, iż akta te wraz z całą sprawą odstąpiono swojego czasu magistratowi w Żarnowie, wykonującemu juryzdykcyę cywilną, pod którą ja jako nieposesyonat podpadałem). Co więcej, na żądanie moje, by zażądano aktów procesu o obrazę honoru, wytoczonego przez Klonowskiego p. Wielogrodzkiemu, i wygranego za pomocą fałszywej przysięgi, dostałem odpowiedź, że podobny proces nie toczy się nigdy w sądzie, który wymieniłem. Dr. Ehrlich prosił, by się udano do sądu niższego, sądzącego zazwyczaj takie sprawy, ale trybunał orzekł, że to nie może nastąpić, bo należało postawić to żądanie ośm dni przed rozprawą, a teraz, *quod non est in actis, non est in mundo.* Usiłowałem wykazać, że na tej podstawie możnaby człowieka powiesić, jeżeliby przypadkiem wskazał o kilka godzin później, niż ośm dni przed rozprawą, dowód swej niewinności; nim jednak skończyłem wywód, prezes trybunału oświadczył, że odbiera mi głos, ponieważ to co mówię, należy do ostatecznej obrony.

Wówczas wystąpił pan Klonowski i drżącym od wzruszenia głosem, przybrawszy postawę od głębokiego smutku pochyloną, jął opiewać hiobowe żale, iż on, którego słowo bywa rękojmią pewności dla współobywateli, on, który szczyci się tak wielkiem ich zaufaniem, oskarżony został w niegodnem piśmidle o krzywoprzysięztwo, o kłamstwo wobec Boga i ludzi, i to oskarżony przez kogo? Przez człowieka, którego on, niepomny zatargów, jakie miał z jego ojcem, i wzruszony jedynie niedolą owdowiałej jego matki, przytulił do swego łona, na którego wychowanie łożył bajeczne sumy, którego pieścił w swoim domu zarówno ze swojemi dziećmi, i który mu zawdzięcza to, że w ogóle jest człowiekiem! Zczerwieniłem się od oburzenia i krzyknąłem, że p. oskarżyciel kłamie, a prezes trybunału za-

groził mi, że każe mię wyprowadzić ze sali, jeżeli będę przerywać mowcy; musiałem więc milczeć i słuchać dalej. Zacny mowca wskazał tedy, że gdyby w istocie przysięgał kiedy w jakiej sprawie z komornikiem Wielogrodzkim w Żarnowie, to ja niewątpliwie wiedziałbym, w którym to było sądzie, i byłbym sąd ten zaraz wskazał. Ale to jest fałszem, on, Klonowski, nigdy nie przysięgał, a ja zarzuciwszy mu to bezczelnie w moim pamflecie, usiłowałem tylko poprzeć to kłamstwo wskazaniem dowodu, którego nie byłem zdolny przedłożyć sądowi, bo go niema na świecie. Co się tyczy skryptu, który przedłożyłem, i listów, uzupełniających ten skrypt niejako, to są dokumenta, odnoszące się do sprawy załatwionej jeszcze za życia mego ojca — tyczyły się one sumy, od dwudziestu kilku lat, przed mojem urodzeniem jeszcze, spłaconej, na co Klonowski mógłby przytoczyć tysiąc dowodów, gdyby to było potrzebnem. Ale jest to kwestya sporu cywilno-prawnego, i nie o to tu chodzi, ale o krzywoprzysięztwo, które zarzuciłem Klonowskiemu, a którego on się nie dopuścił, które istnieje tylko w bujnej fantazyi kalumniatora, dla rozmaitych malwersacyj oddalonego z posady przy kolei ławrowsko-żarnowskiej, a obecnie zostającego w służbie żydów, nieprzyjaciół wszelkiej polskości, i przez tych żydów podstawianego, aby miotać obelgi na p. Klonowskiego, jako na jeden z filarów sprawy narodowej. Tu uważałem, że sędziwy a pensyonowany syndyk ocierał łzy i kiwał białą brodą na znak potakiwania. Zrozumiałem, że wobec takiej komplikacyi fałszu najzgubniejszem byłoby dla mnie, gdybym chciał miotać się i oburzać. Pohamowałem się tedy, ile mogłem, i dość spokojnie odpowiedziałem, że p. Klonowski, skoro się czuje niewinnym, nie powinien sprzeciwiać się mojemu żądaniu, by przesłuchano p. Wielogrodzkiego jako świadka, że nie spłacił mojemu ojcu pożyczonej od niego sumy, tudzież by zażądano wskazanych przezemnie aktów od niższego sądu w Żarnowie. Na to powstał rzecznik pana Klonowskiego, dr. Krętalski, i w długiej mowie wykazał, że pragnę tylko przedłużenia rozprawy i znużenia sędziów, i pan Wielogrodzki

nie może zeznać nic, i że wskazane przezemnie fakta istnieć nie mogą, ponieważ p. Klonowski żyje od dzieciństwa w ścisłej przyjaźni z komornikiem Wielogrodzkim, nigdy się z nim nie procesował i przeto nigdy ani prawdziwie, ani fałszywie przysięgać nie mógł w jakiejkolwiek przeciw niemu wytoczonej sprawie.

Trybunał po dłuższej naradzie uchwalił nie wzywać p. Wielogrodzkiego i nie żądać od sądu żarnowskiego aktów, ponieważ w ciągu rozprawy mogłoby to nastąpić jedynie za zgodą przeciwnej strony, a ta się na to nie zgadza.

Dowiedziałem się od mojego obrońcy, że ten sposób wymierzania sprawiedliwości, jakiego tu na sobie doświadczałem, nazywa się po niemiecku „*Anklageprocess*“ i w znacznej części polega na tem, iż tak strona skarżąca jak i oskarżona winne są przed rozpoczęciem rozprawy wymienić świadków i inne dowody, na które powoływać się zamierzają; podczas rozprawy zaś wolno przytaczać nowe szczegóły, naprowadzać nowych świadków i nowe dowody tylko za zgodą przeciwnej strony. Popełniłem ten błąd, że wyliczając w sądzie dowody, na które powoływać się chciałem, nie poruczyłem tej czynności mojemu obrońcy. Powołałem się tedy na p. Wielogrodzkiego, jako na świadka, że Klonowski jest moim dłużnikiem, zapomniałem zaś, a raczej nie wiedziałem, iż potrzeba było dodać wyraźnie, że pan Wielogrodzki poświadczy także drugą okoliczność, t. j. że Klonowski wyparł się i wyprzysiągł długu. Nie umiałem też wskazać dokładnie instancyi sądowej, przed którą pan Klonowski przysięgał; teraz już zapóźno było naprawiać pomyłkę. Co więcej, przytoczyłem był w moim pamflecie, że Klonowski, jakkolwiek radca nadzorczy kolei żelaznej, był oraz dostawcą materyałów dla tego przedsiębiorstwa, nad którego dobrem czuwać był obowiązany w imieniu akcyonaryuszów. Zamiast powołać się w tej mierze na świadków miejscowych, popełniłem tę niedorzeczność, że odwołałem się do zarządu budowy; pokazało się zaś, że kontrakt dostawy progów i szutru zawarty był pozornie nie

z p. Klonowskim, ale z jego rządcą, p. Krzaczkowskim. Rzecznik mego przeciwnika, dr. Krętalski, nie omieszkał skorzystać z tego faktu, by w piorunującej przemowie wykazać przysięgłym, jak kłamliwymi są zarzuty, poczynione przezemnie Klonowskiemu. Na domiar nieszczęścia nadeszło z Czartopola pismo sądowe, donoszące w suchej formie, iż śledztwo przeciw arendarzowi z Hajworowa zastanowione zostało „dla braku istoty czynu"; robotników zaś kolejowych ukarano za napad na moje mieszkanie, przedsięwzięty z powodu powstrzymania należącej się im zapłaty. Nadaremnie powoływałem się na zeznania, poczynione przez Szlomę przy pierwszem jego przesłuchaniu w sądzie — nie było o nich najmniejszej wzmianki w piśmie sądowem. Dowiedziałem się później, że Szloma odwołał te zeznania w sądzie śledczym i skarżył się, że go do takowych biciem i złem traktowaniem zmusił p. adjunkt z Czartopola. Pan adjunkt w istocie uderzył był Szlomę kilka razy, i zapewne też, aby nie dać powodu do skandalicznego śledztwa, uznano za rzecz najświętszą *„zatuszować"* całą sprawę i wypuścić arendarza. Tym sposobem, pozbawiony byłem dowodu, że Klonowski wszelkiemi sposobami starał się posiąść skrypt i listy, o których wiedział, że je mam w ręku.

Mimo tak nieprzyjaznych dla mnie konstelacyj nie straciłem ducha. Opowiedziałem przysięgłym dokładnie z umiarkowaniem stosunki moje z Klonowskim, a obrońca mój, dr. Ehrlich, z wielką zręcznością adwokacką wyzyskał ten fakt, że Klonowski wzbrania się dopuścić p. Wielogrodzkiego do świadectwa i nie pozwala, by zażądano od niższego sądu w Żarnowie aktów jego procesu z komornikiem. Przysięgli słuchali z wielką uwagą tego wywodu, i w twarzach ich malowało się przekonanie, że Klonowski nie stawiałby trudności formalnych, gdyby jego sprawa była czystą. Zachowanie się mojego przeciwnika i cała jego postawa wystarczyłyby zresztą były dla fizyognomisty, by mię uznał niewinnym. Klonowski stracił był zwykłą pewność siebie i wił się pod zarzutami nie jak oskarżyciel, ale jak winowajca. Gdy opowiedziałem jego rozmowę z żoną, którą nie-

gdyś podsłuchałem w Hajworowie, opuszczając, ma się rozumieć, to wszystko, co tyczyło się Herminy, a malując natomiast w jaskrawych barwach obawę tych zacnych małżonków, by się nie znalazły kiedy owe fatalne papiery, wówczas p. oskarżyciel zapomniał ze wszystkiem o swojej roli i chciał mię pognębić, wołając do przysięgłych:

— Widzicie panowie! Oto jest człowiek, który się sam przyznaje, że słuchał pod drzwiami! Gdybym był wiedział o tem, byłbym go nie puścił na próg mojego domu!

Śmiech powszechny wybuchł w sali po tym naiwnym wybuchu uczucia, a gdy dr. Krętalski pociągnął swojego klienta za połę od surduta, by mu giestami dać do zrozumienia, że zrobił głupstwo, wesołość doszła do takiego stopnia, iż prezes trybunału, jakkolwiek wzywał wszystkich, by się uciszyli, sam nie był w stanie zmusić swoją twarz do przybrania wyrazu należytej powagi. Dr. Krętalski zabrał atoli głos i jął przedstawiać, iż klient jego, którego oskarżyłem o przewrotność, złą wiarę i krzywoprzysięztwo odznacza się właśnie przeciwnemi wprost przymiotami, że w naiwności i uczciwości swojej, nie może się zdobyć na najprostszą nawet sztuczkę ani pohamować naturalnego wybuchu uczucia, i że jako człowiek, którego sławę tak srodze szarpnięto, nie może ukryć swojego oburzenia i być tak zimnym, jak p. oskarżony, który ma uśmiech na ustach w tej chwili nawet. Patrzcie panowie! Pan Moulard uśmiecha się, bo kalumnie jego były rezultatem zimnego wyrachowania i jakakolwiek czeka go za to kara, raduje on się w duszy cierpieniami swojej ofiary, cierpieniami znakomitego i powszechnie tak poważanego męża, którego najwyższe dobro: honor i imię niepokalane, ośmielił się zbezcześcić, wszedłszy w służbę żydowską. Na nic się jednak nie przydały wszelkie obelgi, potrzeba je udowodnić, a p. Moulard udowodnił wprawdzie, że między jego ojcem a klientem moim istniał spór prywatny, lecz zarzucił on p. Klonowskiemu krzywoprzysięztwo, a na to twierdzenie dowodów nie przedłożył i przedłożyć nie jest w stanie, zważywszy, że klient mój od młodości

jest w przyjaźni z p. Wielogrodzkim i nigdy z nim się nie procesował.

Na tem skończył się pierwszy dzień rozprawy. W Łykopolu powszechnem było przekonanie, że akcye Klonowskiego stoją jak najgorzej. Mimo to ludzie życzliwi radzili mi, bym się miał na ostrożności, bo Klonowski i adwokat jego obrabiają przysięgłych na różne sposoby, a pensyonowany syndyk, którego biała broda tak mi imponowała, oddawna zostaje w poufnych stosunkach z Klonowskim. Rozdrażniony byłem jednak w wysokim stopniu szykanami prawniczemi, których doświadczyłem, i niezdolny do przedsięwzięcia jakiegokolwiek kroku w mej obronie. Jakiś fatalizm owładnął mię, a raczej ubezwładnił. Zaledwie zdobyłem się na tyle energii, by stosownie do danego poprzednio przyrzeczenia, zatelegrafować komornikowi, jak postępuje moja sprawa. Nazajutrz rozprawa zaczęła się od przesłuchania p. Przesławskiego, owego szlachcica, którego Klonowski usiłował swojego czasu poróżnić z komornikiem i zrobić go narzędziem tak niegodziwie zmyślonej potwarzy. Rano jeszcze, wychodząc z hotelu, spostrzegłem na ulicy Przesławskiego i dra Krętalskiego zajętych żywą rozmową, nie mogłem atoli przypuścić ani na chwilę, by szlachcic uległ jakiejkolwiek namowie i nie zeznał prawdy w sądzie. Jakież było moje zdziwienie i oburzenie, gdy prezes trybunału począł pytać świadka! P. Przesławski zeznał, że zna pp. Klonowskiego i Wielogrodzkiego oddawna, i że o ile mu wiadomo, obadwaj zostają dotychczas w jak największej z sobą harmonii. Dr. Krętalski zażądał, by zeznanie to zanotowano w protokole. Gdy mi pozwolono z kolei dawać pytania świadkowi, p. Przesławski oświadczył, że nigdy nie miał nic do czynienia z żadnymi emigrantami lub zbiegami węgierskimi, i że ani z p. Klonowskim, ani z p. Wielogrodzkim o żadnej sprawie tego rodzaju mówić nie mógł, bo jako gospodarz zajmuje się rolą, a nie polityką. Nie chciałem wierzyć moim uszom, a ponieważ p. Przesławski siedział obrócony plecami do mnie, więc prosiłem, by mi popatrzył w twarz i by powiedział, czy jest gotów przy-

siądz na to, co powiedział. Dr. Krętalski zaprotestował, że chcę teroryzować świadka; prezes zaś oświadczył mi, że jest to jego i sądu rzeczą, czuwać nad tem, by świadek zeznawał prawdę, i że już to świadkowi według przepisów prawa przypomniano. Trybunał uchwalił atoli, nie dopuścić p. Przesławskiego do przysięgi, ponieważ zeznania jego sprzeczne są z innymi dowodami, które sąd ma w swojem posiadaniu. Szlachcic wyszedł, nie spojrzawszy na mnie; poczem prezes wyjął z leżącego przed nim pliku papierów jakieś pismo i oświadczył, że sąd otrzymał przed chwilą telegram, który będzie odczytany. Klonowski rzucił się niespokojnie na swojem krześle, dr. Krętalski zażądał, by mu powiedziano poprzednio, co zawiera telegram. Na to odrzekł prezes z flegmą, że najprostszą rzeczą będzie, odczytać go głośno, bo wcale nie jest długi. Nim przeciwna strona zdołała zrobić jakie zarzuty, prezes odczytał co następuje:

„Do wysokiego trybunału prasowego w Łykopolu. Upraszam o przesłuchanie mnie w sprawie Klonowskiego przeciw Moulardowi. Kłamstwem jest, bym zostawał w przyjaźni z Klonowskim. Klonowski przysiągł w sądzie miejskim w Żarnowie, że nigdy nie był nic winien ojcu Moularda. Protokół tej rozprawy jest w aktach sądowych tutejszego magistratu. Podpisano: Wincenty Wielogrodzki. Prawdziwość słów powyższych potwierdzamy na podstawie aktów. Mrokowski, burmistrz żarnowski. Mayer, syndyk magistratu".

Głucha cisza powstała w sali po przeczytaniu tego dokumentu, wszyscy patrzali na Klonowskiego, który miał minę delikwenta, prowadzonego pod szubienicę. Dr. Krętalski pospieszył mu znowu w pomoc, nadmieniając, że telegram nie ma w sobie znamion dokumentu, i że każdy telegrafujący może podpisać, kogo mu się podoba. Dr. Ehrlich wskazując, jak ważnem dla mojej obrony jest stwierdzenie faktów, zawartych w telegramie, zażądał odroczenia rozprawy i wytoczenia śledztwa. Trybunał udał się na ustęp; po długiej dyskusyi, członkowie jego wrócili i prezes oznajmił, że uchwalono nie odraczać rozprawy.

— Panie Klonowski — odezwał się prezes — pan przyznałeś, że śp. Moulard pożyczył panu pieniądze, na które wystawiłeś pan skrypt, znajdujący się w aktach?

— Tak jest.

— Zeznałeś pan dalej, że dług ten zapłaciłeś pan jeszcze za życia śp. Moularda?

— To jest... skwitowaliśmy się... Moulard wybrał u mnie wszystko, co mu się należało... był to człowiek lekkomyślny, który trwonił pieniądze... ja zawsze płacę punktualnie moje długi...

— Jakimże sposobem — pytał dalej nieubłagany inkwizytor — jakimże sposobem mógłeś pan pisać ten oto list; wszak to jest pańskie pismo?

— Moje, w istocie...

— Moulard umarł w r. 1846, nieprawdaż?

— Podobnoś.

— List ten pański datowany jest z września r. 1856, a więc w dziesięć lat później. Piszesz pan w nim: „Szanowna pani Moulard! Przesyłam pani niniejszem sto ośmdziesiąt złr. jako półroczny procent licząc po 4 od sta rocznie, od kapitału 9000 złr.“ Podpisano: „Klonowski“. Jest to ta sama suma, która wyrażona jest w skrypcie; chciej pan wyjaśnić tę sprzeczność w swoich zeznaniach!

— To jest... — odparł Klonowski, okropnie zaambarasowany — to było tak. Wiadome mi były opłakane stosunki pieniężne pani Moulard, i chciałem jej być pomocnym, dlatego posyłałem jej co pół roku 180 złr. Aby się zaś uwolnić od podziękowań, bo tego bardzo nie lubię, i aby jej ułatwić przyjęcie mojego dobrodziejstwa, wmówiłem w nią, że jestem jej dłużnikiem, i że to, co jej posyłam, jest procentem od jej kapitału. Czyliż mogłem spodziewać się, że spotka mię taka nagroda, za moje dobre serce!

— Dlaczegoż pan, skoro skwitowałeś się z śp. Moulardem, nie odebrałeś od niego skryptu? Wszak to jest zwyczajem!

— Była jeszcze jakaś mała reszta, która należała się Moulardowi; zresztą, na każdą sumę, którą mu wypła-

ciłem, miałem od niego kwit, i nie potrzebowałem tego skryptu.

— Należało przedłożyć sądowi te kwity.

— Ba, kiedy ich nie mam; spaliły się, bo w r. 1850 pożar zniszczył mój dwór w Hajworowie i spłonęło wszystko, co tam było. Ale mogę to udowodnić świadkami. Jest np. mój adwokat w Żarnowie, p. Opryszkiewicz...

— Wysoki sądzie — przerwał dr. Krętalski, widząc dokoła złowrogie uśmiechy na wszystkich twarzach — mnie się zdaje, że to wszystko nie należy do rzeczy. Jeżeli p. Moulard ma jakie pretensye do p. Klonowskiego, to może ich dochodzić sądownie. Tu chodzi o to, że p. Moulard zarzucił p. Klonowskiemu oszustwo i krzywoprzysięztwo, za co powinien być ukarany, bo nie udowodnił niczem swoich zarzutów.

Dano tedy p. Krętalskiemu głos do uczynienia ostatecznego wniosku, i w dwugodzinnej mowie poruszył on wszystko, co mogło mówić na moją niekorzyść — najbardziej rozszerzał się nad tem, że jako syn przybysza z zagranicy, niczem niezwiązany z tą ziemią, wszedłem w służbę żydów, nieprzyjaźnie usposobionych dla sprawy narodowej, i że działałem jako narzędzie Pimmelesa, w celu podkopania powagi i reputacyi tak znakomitego patryoty, jak p. Klonowski. Od lat trzydziestu, cokolwiek stało się w kraju korzystnego dla dobra ogółu, stało się przy udziale głównie p. Klonowskiego. Mąż ten stawiał kościoły i budynki szkolne, fundował stypendya, brał czynny udział we wszystkich pożytecznych stowarzyszeniach, bogobojnością, przykładnem życiem rodzinnem, ofiarnością i wszelkiego rodzaju cnotami obywatelskiemi świecił na całą okolicę, na cały kraj, na całą ojczyznę. Rozprawa sądowa dowiodła, jak niegodnemi były potwarze, miotane przeciw temu mężowi przez nieprzyjaciół sprawy ojczystej, a więc opinia publiczna wymaga od przysięgłych, by ukarali potwarcę, a wnuki i prawnuki błogosławić ich będą za to!

Obrońca mój dr. Ehrlich trzymał się ściśle przedmiotu rozprawy. Wykazał, że skrypt Klonowskiego nosił datę 1.

lutego 1846, a ojciec mój umarł w marcu tego samego roku, nie mógł więc w tak krótkim czasie strwonić tyle pieniędzy i skwitować się z Klonowskim. Skoro więc Klonowski był moim dłużnikiem, a później jako mój opiekun, ba, nawet teraz w sądzie, wypierał się długu, więc dopuścił się czynu nieuczciwego, i miałem prawo obwiniać go o to. Co do przysięgi, którą wykonał Klonowski, nie potrzeba lepszego wobec sędziów przysięgłych dowodu, jak przeczytany poprzednio telegram, zestawiony z oporem przeciwnej strony przeciw zasięgnięciu lepszej i dokładniejszej informacyi sądowej.

Przysięgli udali się na ustęp, i wrócili po długiej i burzliwej bardzo naradzie. Opowiadano, że była między nimi partya, na której czele znajdował się przyjaciel Klonowskiego, białobrody syndyk, i która chciała steroryzować resztę, by wydano wyrok jednomyślny. Byli tacy, którzy się opierali, ale ulegli presyi wbrew własnemu przekonaniu. Jeden tylko okazał się nieugiętym i oświadczył, że patryotyzm nie może iść w parzę z oszustwem, i że nie jestem winien fałszywej potwarzy, chociaż mam posadę u p. Pimmelesa.

Jedenastu przysięgłych, dobrych katolików, ofiarowawszy się odpowiedzieć za to na sądzie ostatecznym, uznało mię w i n n y m.

ROZDZIAŁ IV.

Wyrok, który zapadł na korzyść Klonowskiego, w skutkach swoich nie był wcale dotkliwym dla mnie, skazano mię bowiem tylko na nieznaczną grzywnę. Nie mogę też powiedzieć, bym się czuł dotkniętym moralnie. Klonowski głosił wprawdzie po gazetach swój tryumf nad „kalumnią“ i wyzyskiwał jak mógł tę okoliczność, iż nie sąd urzędniczy, ale sąd złożony z „przysięgłych współobywateli“ skazując mię, tem samem jego uznał niewinnym, czystym

i uczciwym. Niejednego pognębiałaby była w skutek tego tem bardziej ta nowa niesprawiedliwość — inaczej bowiem boli krzywda, wyrządzona przez p. Schweiglhubera, a inaczej taka, jakiej świeżo doznałem... Lecz chociaż uczucie takie byłoby naturalnem i chociaż każdy człowiek uczciwy i rozumny, którego znałem, oburzał się na pp. przysięgłych, tak, że w końcu każdy z nich twierdził, iż on był tym jednym i jedynym, co odpowiedział: nie! na pytanie postawione przez trybunał — to jakoś nie miałem w sercu ani trochę więcej żalu, niż przedtem. Byłem nierównie pobłażliwszym dla moich sędziów, niż opinia publiczna, pobudzona do żywej uwagi szczegółami, które wyszły na jaw co do charakteru „znakomitego męża“, p. Klonowskiego — szczegółami, których wydany na mnie wyrok winy zatrzeć nie zdołał. Z małymi wyjątkami, ci, którzy wydali na mnie ten wyrok, byli ludźmi uczciwymi i honorowymi, nie oni mię potępili — potępił mię blichtr patryotyczny, którym całe życie umiał osłaniać się Klonowski. Mało kto mógł go znać zbliska, mało kto umiał ocenić, że patryotyczne zasługi Klonowskiego błyszczały tylko tam, gdzie ani osoba jego, ani kieszeń nie mogły doznać szwanku, i gdzie inni, jemu podobni, wysuwali go na swoje czoło, jako najzdolniejszego, bo najbezczelniejszego z pomiędzy siebie. Mało kto uważał, że gdzie można było oberwać guzy, pójść do kozy, albo stracić wielką sumę pieniędzy, tam Klonowski chował się w myszą dziurę, i nawoływał innych do *rozsądku*, aby pokryć swój egoizm i swoje tchórzowstwo — gdzie zaś było bezpiecznie i gdzie można było zyskać cokolwiek, tam Klonowski pierwszy szedł na wyłom i dawał swoją firmę, lub podszywał się pod pierwszą lepszą. Istnieje w każdym kraju, w tym kierunku albo w innym, uknuty w milczeniu związek solidarności między blagierami publicznymi, szarlatanami, tchórzami i oszustami, którzy zasłaniając i wielbiąc się głośno nawzajem, umieją otumanić wielką masę i zamydlić jej oczy. Dzięki takiemu związkowi, Klonowski wobec władz austryackich był *gut gesinnt* nawet w czasach największego teroryzmu wojskowo-policyjnego,

a mimo to używał sławy gorącego patryoty. Co więcej, stał on się był nawet jednym z przywódzców opozycyi, zwłaszcza od czasu, gdy jedna wpływowa partya wiedeńska rozpoczęła walkę przeciw drugiej, będącej u steru, i w skutek tego opozycya mile widzianą była w wysokich bardzo sferach. Czyliż mogłem dziwić się lub oburzać, że jedenastu prostaczków, olśnionych tym blaskiem patryotyzmu i opozycyi, dało się obałamucić dr. Krętalskiemu i jego sofistycznym wywodom, którym przyszło w pomoc niezręczne z mojej strony prowadzenie sprawy? Każdy z nich miał zapewne w głębi duszy przeświadczenie, że nie zrobiłem Klonowskiemu zarzutów niesłusznych, ale każdemu zdawało się, że uniewinniając mię, jak na to zasługiwałem, zabije człowieka, bądź co bądź, zasłużonego i sprawie publicznej potrzebnego. Motywa te spowodowały większość moich sędziów do transakcyi ze swojem sumieniem, mniejszość nie miała może wcale sumienia, a znalazł się tylko jeden, którego uczciwość i poczucie honoru oparły się sofizmatom, i którego rozum wystarczył do poznania tej wielkiej prawdy, że dobro publiczne stracić może tylko tam, gdzie tryumfują fałsz i obłuda. Nie był to nawet doktor fakultetu, ani publicysta lub literat, ani nawet księgarz lub introligator — był to — wstyd mi wyznać, bom przecież także kończył studya akademiczne — był to prosty kamieniarz!

Snać w kraju *głów do pozłoty*, najwięcej rozsądnych refleksyj przychodzi do głowy tym, co stawiają... nagrobki, najwięcej sumienia budzi się w ich sercu...

Nie rozpaczajmy atoli, jakoś to będzie. Ockną się i ci, co nie oddają się tak pogrobowym funkcyom. Było to bardzo dawno, gdy sądzono moją sprawę. Od tego czasu wiele wody upłynęło, wiele szychu złotego i srebrnego poczęło świecić miedzią i na wielu miedzianych czołach pojawiły się potężne, moralne guzy. Po latach, dopisuję dziś na marginesie manuskryptu tej powieści, że dziś nie wahałbym się poddać mojego procesu nowemu orzeczeniu przysięgłych. Ale już tego orzeczenia nie potrzeba.

Zniosłem tedy, jak powiadam, dość heroicznie moją porażkę, co do mojej osoby — przykro mi było atoli pomyśleć, jak mocno zmartwi się nią poczciwy komornik. Nie mogłem zdecydować się na napisanie listu do niego, napisałem tedy do Herminy i pospieszyłem zobaczyć tę, której jeden uśmiech był mi droższym od wszystkich wygranych w sądzie i poza sądem. Zbywało mi jeszcze dość czasu przed wyjazdem na moją posadę u p. Pimmelesa; pani Leszczycka wraz z Elsią rozgospodarowały się już były na nowo we Lwowie; potrzebowałem tylko wdziać stosowny tużurek, wybrać stosowną godzinę, i kazać się zameldować — aby z tego padołu nędzy, walących się mostów kolejowych i niesłusznych wyroków, przenieść się naraz w raj niebiańskich rozkoszy. Uczyniłem to i trafiłem w dobrą porę. Cioci Elżbiety nie było w domu, Elsia przyjęła mię z ostatnim listem Herminy w rękach; otrzymała go była przed chwilą. Twarz jej cokolwiek smętna, rozpromieniła się na mój widok. Powiedziała mi, że doszło do jej wiadomości, ile miałem przygód i nieprzyjemności różnych od czasu, gdyśmy się nie widzieli. Ubolewała nad niemi niezmiernie i zapowiadała, że kiedyś będę musiał opowiedzieć jej to wszystko z szczegółami. Następnie wpadła na temat o Herminie. Zachwycała się jej listami, jej złotem sercem i wykształconym umysłem, które się w listach tych objawiały — nie posiadała się z radości, że może korespondować z moją siostrą. Byłem upojony myślą, że to ja byłem przedmiotem tej pożądanej i miłej korespondencyi; zdawało mi się, że przyszła pora przemówić samemu otwarcie w swojej sprawie. Miałem już na ustach stanowcze słowo — nie wiem, co mię wstrzymało. Elsia z wielkiem zajęciem wypytywała się o Herminę, czy dobrze wygląda i czy w istocie jest tak piękną, jakby sądzić można z fotografii? Zapewniałem, że jest nierównie piękniejszą, bo fotografia nie jest w stanie odtworzyć głównego wdzięku kobiet — świeżości, ani też uchwycić zwykłego, swobodnego wyrazu twarzy.

— O wiesz pan, że zaczynam być zazdrośną: pan tak unosisz się nad Herminą! Prawda, jakie to szkaradne uczucie — mieć przyjaciółkę, kochać ją, a nie lubić, by ją chwalono?

— Nie wierzę w tę zazdrość.

— Dlaczego?

— Bo nie przyznałabyś się pani do niej, gdybyś ją czuła.

— Zkąd pan to wiesz?

— Zkąd wiem? Ztąd, że kto czuje, iż ma prawo być kochanym, ten miewa zwykle dość dumy, by ukryć wszelkie obawy, sprzeczne z tem poczuciem własnej wartości i godności.

— Cóżbyś pan zrobił, gdybyś pan był zazdrośnym? — zapytała mię żywo?

— Nie wiem, cobym zrobił, ale wiem, że nie miałbym dość pokory, nawet wobec siebie samego, przyznać się do zazdrości i nosić się z nią w sercu, drażnić się jej żądłem.

— Zobaczymy! — zawołała, i w tej samej chwili rumieniec oblał ją całą. Była przecudną w tej sytuacyi kłopotliwej i rzadkiej w swoim rodzaju: nieczęsto bowiem zdarzy się komu, pomyśleć tak głośno coś, czegoby się za nic w świecie powiedzieć nie chciało. W kilka lat później i ja byłbym zrozumiał inaczej to słówko i towarzyszący mu rumieniec — są bowiem wypadki, gdzie cały spryt polega na tem, by tłómaczyć sobie słowa tak, jak to przepisują Linde i Mrongowiusz. Zobaczymy, to znaczy, będziemy widzieli, a więc, będziemy mieli sposobność widzieć, a więc, sposobność ta będzie nam daną, a więc, komuś podoba się dać nam tę sposobność, a więc, ktoś na nas chce eksperymentować, może jako *in anima vili*. Zamiast tego rozumowania, opartego na leksykalnem znaczeniu słowa: zobaczymy, zrobiłem w duchu jakieś inne, którego ogniw nie byłem świadomy, ale które prowadziło do wniosku, nie, że ktoś chce eksperymentować, ale że ktoś chce zażartować, podrażnić nas, czyli, jak mówią na Rusi Czerwonej, „*podroczyć się*“ z nami. W takim zaś razie, rumieniec nie był

wyrazem żalu, że się wymknęło z ust wyznanie zamiaru eksperymentowania, ale towarzyszył on tylko zawartemu w słowie „zobaczymy“, uznaniu możebności niekoniecznej. To fałszywe rozumowanie ośmieliło mię jednak niepospolicie: złożyłem ręce jak do modlitwy i zawołałem błagającym głosem:

— Nie, nie zobaczymy nigdy, nieprawdaż, panno Elwiro?

Ach, jak cudownie wpatrzyła się w list Herminy, a potem mnie w oczy — jak figlarnie podskoczyła z kozetki, i przybierając minę pedagoga, poczęła mię nauczać:

— Nie tak, nie tak! Ksiądz nie pyta się na samym początku: „czy ślubujesz wierność?“ pyta on się wprzód: „czy masz wolną i nieprzymuszoną wolę!“

Dobrze jej było żartować — wszak była panią sytuacyi, ale mnie się bardziej na płacz zbierało, niż na figle. Miałem nawet w istocie łzy w oczach, a salon pani Leszczyckiej w szalonym tańcu wirował pod mojemi stopami.

I niedowcipnie, trywialnie, prozaicznie, po studencku, ale z głębokim akcentem uczucia zapytałem ją nakoniec, po sześciu, ba, po dziesięciu latach, czy ma tę „wolną i nieprzymuszoną wolę“ — czy mię kocha?

Salon przestał wirować, drżał już tylko cały, jak, statek osiadający na mieliznie. Listki kwiatów, firanki, meble i struny fortepianu drżały, wraz ze mną oczekując wyroku.

Elsia zpoważniała nagle, figlarny uśmiech znikł z jej twarzy, ustąpił miejsca zamyśleniu. Po chwili dopiero odpowiedziała mi głosem, w którym dostrzegłem niemałe wzruszenie:

— Ależ... ja nie mogę rozporządzać sobą... mam rodziców.

— Nie zapomniałem o tem, lecz mógł-żem udawać się do nich, nie nabywszy pewności z ust pani, iż mię nie odepchniesz? Błagam panią właśnie o pozwolenie zrobienia tego kroku, błagam, byś mi powiedziała, czy miały jaką podstawę nadzieje, które mimowoli w ciągu lat powziąłem!

Co do państwa Starowolskich, wiem to pośrednio, od Józia, że nie zapatrują się nieprzychylnie na moje najgorętsze pragnienia, jakkolwiek tak śmiałe. Ach, wszak Hermina pisała pani...

— Pisała mi i wiem wszystko — przerwała Elsia. — Pomówmy o tem otwarcie. Wiesz pan to dobrze, jak bardzo panu sprzyjam...

— Sprzyjam! — westchnąłem.

— Nie targujmy się o słowa. Wiesz pan tedy, że pana... że nakoniec, gdybym mogła słuchać tylko mojego uczucia, podałabym panu rękę natychmiast. Inne względy nie grają u mnie żadnej roli, i pominęłabym je bezwarunkowo, gdyby tylko o mnie chodziło. Ojciec mój i matka szacują pana nadzwyczaj, i nie krępowaliby mojej woli; powiem więcej, cieszyliby się wyborem, który zrobiłam, bo widzieliby w tem moje szczęście. Mimo to sądzę, że jako dobra córka, powinnam się jeszcze namyślić. Jest jeszcze ktoś trzeci w tej sprawie: ciocia Leszczycka. Pan wiesz, panie Edmundzie, jaki jest stan majątku moich rodziców. Stara Wola wystawiona jest na licytacyę; mówią, że może być sprzedana za bezcen, rodzice moi na starość mogą się znaleść bez przytułku, w nędzy. Pani Leszczycka jest bogatą, bezdzietną, i ma dobre serce, zresztą, jest ona rodzoną siostrą mojej matki. Pojmiesz pan, że chociaż dla siebie mogłabym nie dbać i nie dbałabym o jej względy, i chociaż ojciec mój oburzyłby się na samą myśl o tem, co tu mówię do pana, to jednak nie powinnam zrobić nic takiego, coby mogło nie podobać się ciotce Elżbiecie. Muszę tedy, do czasu przynajmniej, szanować najdrobniejsze nawet jej gusta i uprzedzenia, a nie wiem jeszcze, jakby się zapatrywała...

— Ale ja wiem, że jestem zgubiony — rzekłem ponuro, biorąc kapelusz do ręki.

— O, nie odejdziesz pan ztąd tak, i nie wysłuchawszy mię do końca! — zawołała, odebrała mi kapelusz i postawiła go na fortepianie. — Panie Edmundzie, wyznaj pan szczerze: pan słyszałeś od Józia, że ciocia Elżbieta ma

zapisać mi swój majątek, i sądzisz pan teraz, że będę jej pochlebiać i nadskakiwać, i stosować się we wszystkiem do jej woli, póki nie otrzymam spadku? Wyznaj pan, że tak pan mię zrozumiałeś!

— Jakkolwiek mogłem to zrozumieć, zrozumiałem jeszcze lepiej powody, które panią skłaniają do tego postępowania. Powody te są święte, godnę uwielbienia i nie daruję sobie tego nigdy, że potrzebowałem, byś mi je pani sama dopiero wyłuszczać musiała. Tłómaczyć je może tylko moja miłość, która mi odbiera rozwagę i zastanowienie. Przebacz pani szalonemu, nieszczęśliwemu, i... wypędź mię pani ztąd, wypędź! — Wyciągnąłem znowu rękę po mój kapelusz, i znów mi przeszkodziła.

— Wypędzić? Panie Edmundzie, czem to ja zasłużyłam sobie, byś pan tak sądził o mnie? Więc pan przypuszczasz w istocie, że mam zamiar ulegać całe życie kaprysom ciotki, wyjść za mąż za laleczkę, którą mi ona może wybierze, i zrzec się wszystkiego, wszystkiego, dla majątku! Krzywdzisz mię pan okropnie, jabym tego nie zrobiła... nawet dla moich rodziców!

Płacz przerwał jej mowę. Elsia płakała po raz pierwszy, odkąd ją znałem. Płakała z mojej przyczyny. Przed chwilą, miałem ból i rozpacz w sercu — teraz, jakieś tkliwe, tęskne, nie ze wszystkiem przykre uczucie poczęło walczyć we mnie z bolem i rozpaczą. Przed chwilą powziąłem był postanowienie nie widzieć jej więcej, unikać spotkania z nią, zapomnieć lub umrzeć — teraz, teraz, uchwyciłem jej rękę i okryłem ją pocałunkami.

— Ja panią uwielbiam teraz jeszcze więcej niż przedtem, ja pani przyznaję słuszność; jeżeli prosiłem, byś mi pani pozwoliła pójść, byś mię pani wypędziła, to dlatego, że dla mnie tu niema nadziei, że odepchnąłbym ją, gdyby mi się uśmiechała. Panno Elwiro, ja nabyłem prawa kochać rodziców pani tak, jak ich kocha rodzona córka; gdybym miał to słowo, o które panią prosiłem, zwróciłbym je po tem, coś mi pani powiedziała, bo czuję, że pani Leszczycka nie zgodziłaby się nigdy na nasz związek. Idź

pani drogą, którą ci wskazuje nie interes, ale powinność, powinność święta. Ja spełnię moją, gdy... cię więcej nie będę oglądał!

Uścisnęła mi rękę i popatrzyła na mnie, ze łzami jeszcze w oczach.

— Pan masz szlachetne serce, panie Edmundzie, szlachetne i pełne niecierpliwych uniesień. Nie pozwoliłeś mi pan dokończyć tego com' mówiła. Nie chcę majątku pani Leszczyckiej i starać się o niego nie myślę i nie będę. Chodzi mi tylko o to, aby ciocia nabyła pretensye, ciężące na Starej Woli, a mianowicie ten dług, który wypowiedziano i z powodu którego rozpisano licytacyę. P. Borodecki poddał cioci tę myśl, i skłania się ona już do niej. Teraz pan zrozumiałeś, dlaczego mówiłam, że muszę jej dogadzać, „do czasu przynajmniej". Jest w tem trochę machiawelizmu z mojej strony, lecz sądzę, że w tym wypadku z pewnością cel uświęca środki, tem bardziej, że ciocia nie poniesie tu wielkiej ofiary, bo nabywszy sumę ciężącą na Starej Woli, zostanie jej właścicielką. Czy pan uważasz, że znam się już na prawie, jak jaki adwokat?

— Chciej-że pani być i moim adwokatem, wobec siebie samej, bo w tej rozterce między rozpaczą a błyskiem niepewnej nadziei, tracę zmysły. Rozkaż mi pani, co mam uczynić, daj mi pani dobrą radę!

— Dzwoni ktoś, ciocia wróciła — zauważyła Elsia.— Dać panu dobrą radę?

— Będzie ona dla mnie rozkazem.

— Rozkaz, już dałam.

— Kiedy?

— „*Forget me not!*" — wymówiła, a wraz z jej słowami ciocia Elżbieta wpadła do pokoju.

— *Ah, mais c'est affreux, c'est un vrai scandale!* — wołała pani Leszczycka. — Struchlałem na te słowa, zdawało mi się bowiem, że chodziło jej o moje *tête-à-tête* z Elsią. Przekonałem się jednak natychmiast, że to cioci wcale nie było w głowie. — *C'est une dégringolade complète!* — narzekała dalej. — Na co też to zejdzie ta nasza

szlachta! *Ah, bonjour*, panie Malherbe! *Figurez-vous*, moja Elsiu, ta waryatka Błyszczewska?

— Ciocia Karolcia?

— Zakazuję ci nazywać ją ciocią, nie mam takiej siostry! — Tu ciocia zadzwoniła tak silnie, że zbiegła się cała służba. — Pani hrabinie Błyszczewskiej, gdy przyjdzie, powiedzieć, że mię niema w domu, żem wyjechała na wieś, rozumiecie?

— Rozumiemy, jaśnie pani — zawołali wszyscy chórem i wyszli po jednemu, tylko lokaj stał i czekał dalszych rozkazów.

— Czegóż tu stoisz jeszcze i gapisz się, trutniu? Ruszaj do przedpokoju! *Ah, c'est une horreur*, ja to odchoruję!

— Cóż się stało tak okropnego? — spytała Elsia.

— Co się stało! Wiesz, że książę Kantymirski starał się o Celunię, i że mu odmówili, tak jak i Pomulskiemu. Teraz wiesz, za kogo idzie ta... ta... dziewczyna!

— Jak to, Celunia idzie zamąż!

— A idzie, idzie, pięknie idzie, ślicznie idzie! za jakiegoś Ebera, czy Bebera, czy jak tam. *Un va nu-pieds*, który parę lat temu był guwernerem u pani Roksolańskiej, a teraz jest... Bóg wie czem, jakimś profesorem uniwersytetu, czy jak to nazywają. Piękny los, nieprawdaż, dla panny hrabianki Błyszczewskiej; wolałabym wziąć te trzydzieści tysięcy posagu, które ma Celunia, i wyrzucić je za okno.

— Pomulski byłby to zrobił niewątpliwie — zauważyła Elsia. — *Il n'a plus le sou*, a gra w karty dniem i nocą.

— Ale przynajmniej jest to człowiek z dobrej familii, skoligacony z domami *comme il faut*.

— Taka komiczna figura!

— Już to, moja kochana, nie może być nic komiczniejszego, jak być — panią profesorową! *C'est du dernier ridicule!* Ale co to jest, tyś zapłakana? Co się stało?

— Nic, opowiadałam panu Edmundowi, jakie kłopoty ma tato z tą licytacyą... i to mię tak zirytowało...

— *Oui, oui, chère enfant, nous arangerons celà!* Ty moje kochane dziecko, ty mi nie zrobisz nigdy takiego wstydu, jak Celunia, nieprawdaż? Ach, panie... jakże się pan nazywa, zapomniałam... niech też Błażej pójdzie za panem do teatru, i niech mi pan wybierze na dzisiaj lożę na pierwszem piętrze, tylko nie nad krzesłami, proszę pana. *Vous savez* maszerciu, *le jeune* Klonowski *y va*, będą także państwo Derscy z synem, który właśnie wrócił z Tirlemont, gdzie kończył edukacyę. *Un beau jeune homme*, trochę blady i szczupły, *mais ça se fera*. Derscy wracają ze Spaa, gdzie imponowali niepospolicie. Tylko zaraz, proszę pana, panie Malheur, bo słyszałam, że dziś rozbiorą wszystkie loże. Tu są pieniądze.

Mało zapewne znajdę czytelników, którzyby sami nie pojęli, co się mogło dziać w mojej duszy w tej chwili; wstrzymuję się tedy od wszelkich wylewów lirycznych i zapisuję po prostu, że wziąłem pieniądze i Błażeja i poszedłem kupić lożę, bo jeżeli Elsia zadawała sobie tyle pracy dla względów pani Leszczyckiej, to dlaczegóżbym ja choć w części naśladować jej nie miał. Boska dziewczyna! Z jaką przytomnością umysłu ona wytłómaczyła ciotce przyczynę swoich łez, jak zręcznie skorzystała ze sposobności, aby przypomnieć pani Leszczyckiej interes swojego ojca. Na schodach spotkałem listonosza, który miał w ręku list ze Starej Woli do Elsi. Zapewne nie będzie w tym liście nic wesołego, pomyślałem sobie, i zadumałem się nad niesprawiedliwościami fortuny. Gdy wróciłem do hotelu, wręczono i mnie list od Józia.

Donosił mi o bardzo ważnych zdarzeniach. Dowiedziałem się, że sumę, hipotekowaną *secundo loco* na Starej Woli, i niezbyt wielką, bo wynoszącą zaledwie kilka tysięcy, nabył przed niedawnym czasem — p. Klonowski. Wypowiedział ją natychmiast, a gdy termin minął i rotmistrz nie mógł zapłacić pieniędzy, Klonowski wyrobił sobie przymusową licytacyę, a nawet dwa razy już ją rozpisano, ale nie sta-

wił się nikt, ktoby dał cenę szacunkową. Teraz nastąpić miała trzecia licytacya, na której sprzedanoby Starą Wolę nawet niżej wartości. Otóż tego samego dnia, kiedy mi pisał Józio, zjawił się p. Klonowski w Starej Woli. „Ojciec — pisał mi Józio — namyślał się dość długo, czy ma go wpuścić na próg swojego domu, lecz obowiązki gościnności, które na wsi są inne, niż w mieście, przemogły. Domyśl się, czego chciał pan hrabia z Hajworowa? Oto ni mniej ni więcej, jak tylko prosił o rękę Elsi dla Gucia. Ojciec zbladł jak ściana, ugryzł się w wargę i krótko i sucho odpowiedział: nie. Klonowski nalegał długo, przedstawiał ojcu materyalne korzyści tego interesu, ofiarował Elsi na wiano swoją sumę; ojciec, w którym wszystko aż kipiało, powtarzał ciągle z zaciętemi zębami: nie. Nareszcie Klonowski kazał zaprzęgać konie, a w tej samej chwili mój stary kazał kulbaczyć szpaka. Pan graf hajworowski odjechał, a ojciec trop w trop za nim i odprowadził go aż za miedzę. Tam dopiero podjechał do powozu i powiedział Klonowskiemu: „Słuchaj pan, nie mogłem panu powiedzieć prawdy pod moim dachem, póki on jest moim, ale jeżeli mi pan kiedy na neutralnem miejscu powtórzysz propozycyę, abym krew uczciwą łączył z potomstwem oszustów i krzywoprzysięzców, to odpowiem panu kijem!“ Po tych słowach ojciec zatoczył konia i wrócił do domu, ale tak się zirytował całą tą sprawą, że jest cierpiącym od tego czasu, zwłaszcza, gdy drażni go ciocia Elżbieta swojemi listami, w których popiera sprawę Klonowskiego. Temi dniami mama wyjeżdża do Lwowa, aby zabrać Elsię, bo staremu nie daje spokoju sama myśl, że syn Klonowskiego widuje jego córkę i zaleca się do niej. Powtarzam ci, że tu i owdzie można jeszcze znaleźć w Polsce twardego szlachcica, kutego z dawnej stali.

„Interesa nasze zresztą idą dość źle, ale nie tak źle, jak sądził Klonowski. W tej chwili otrzymałem telegram od adwokata Borodeckiego ze Lwowa, który mi donosi, że udało mu się unieważnić obie poprzednie licytacye, tak, że teraz muszą być rozpisane znowu trzy nowe terminy. Tymczasem albo

się zrobi interes z bankiem wiedeńskim, który spłaci towarzystwo kredytowe i Klonowskiego, albo też znajdzie się kupiec, który da za Starą Wolę tyle, ile warta, a w takim razie zostałoby ojcu zawsze czystych przeszło 40.000 złr. Opowiedz Elsi te szczegóły, bo pisze do niej wprawdzie mama, i o głównej rzeczy doniesie jej niezawodnie, ale co do drobiazgów pieniężnych, to kobiety, ja wiesz, są najgorszymi sprawozdawcami".

Uderzyło mię to, że w całym liście Józia nie było ani wzmianki o nadziei, że pani Leszczycka spłaci Klonowskiego. Domyśliłem się, że musiała zapewne bez wiedzy Elsi zmienić swój zamiar, powziąwszy myśl wyswatania Elsi za Gucia. Przypomniałem sobie, że obiecywała jej z pewnym naciskiem bytność Gucia w teatrze. Miałażby Elsia wiedzieć o jej projektach? Nie — wszak jednym tchem mówiła pani Leszczycka o drugim meteorze matrymonialnym, o jakimś Derskim, który wrócił z Tirlemont. Widocznie tedy, nawet projekta samej pani Leszczyckiej nie były jeszcze ustalone i skrystalizowane w osobie Gucia, a jeżeli Józio nie wspominał o pomocy przyobiecanej ze strony ciotki, to zapewne dlatego, że nie liczył na nią wcale wobec niestałości kobiecej.

Medytowałem o tem i o owem, a nakoniec siadłem i napisałem Herminie długą relacyę o wszystkiem, co czytelnik przebył wraz ze mną. Wpadłem nawet w dobry humor i żartowałem w tym liście sam z siebie, że byłbym się może jeszcze i tym razem nie oświadczył, gdyby nie owa rozmowa o zazdrości, wśród której wyrwała mi się prośba do Elsi, by mię nie wystawiała na próbę; poczem już ona sama musiała mi przypomnieć, że pierwej prosi się o miłość, a później dopiero żąda się wierności. Oczywiście, Elsia wiedząc, jak jestem nieśmiały, bawiła się z początku w duszy moim kosztem, bo czuła co chcę powiedzieć i widziała, jaką mi to trudność sprawia. Teraz już i ja sam bawiłem się wraz z nią tą moją niezdarnością — wszak ostatnie jej słowa były powtórzeniem rozkazu niezapominania o niej — wszak pani Starowolska miała przybyć po nią, i przyjaźń

z p. Leszczycką narażona była na wielki szwank, wbrew naszej woli. Nigdy jeszcze, w komedyi najmniej dręczącej nerwy widzów, kontentujące wszystkich rozwiązanie nie nastąpiło tak szybko po najsroższem zawikłaniu. Odniosłem mój list na pocztę i przypomniawszy sobie, że mogę dziś jeszcze przez trzy godziny rozkoszować w widoku Elsi, poszedłem do teatru i kupiłem na pierwszym balkonie krzesło, ile możności naprzeciw loży pani Leszczyckiej.

Teatr był przepełniony — występywał bowiem jakiś śpiewak zagraniczny, o którym mówiono, że przed dwudziestu laty robił *fourore* po najpierwszych scenach świata; teraz niestety została mu już była tylko „metoda“ bez głosu, i tą metodą zachwycała się publiczność, podczas gdy ja korzystałem z każdej chwili, w której bez zwrócenia powszechnej uwagi na siebie mogłem wpatrywać się w Elsię, jak w tęczę. Na szczęście moje, doskonały wzrok pozwalał mi obchodzić się bez szkieł i w skutek tego mogłem nie spuszczać oka z przedmiotu mego uwielbienia. Elsia była zirytowana i milcząca; przypisywałem to wpływowi listu, który otrzymała od matki, i rozdrażnienie jej wydawało mi się bardzo naturalnem — wszak Klonowscy chcieli nabyć ją, jak towar jaki, a choć nie było niebezpieczeństwa, aby się udały ich zamysły, sama myśl o targu podobnym była oburzającą. Wtem akt się skończył, i wkrótce ktoś wszedł do loży p. Leszczyckiej. Uważałem, że Elsia przywitała go od niechcenia ruchem głowy i nie zwracała potem wcale uwagi na niego; p. Leszczycka rozmawiała z nim w sposób protekcyonalny. Dopiero gdy się żegnał odchodząc, spostrzegłem, że był to p. Borodecki. Jakieś niepiękne uczucie radości owładnęło mię na widok, jak sucho i zimno zbyto owego strasznego rywala, który nabawił mię niegdyś tyle niepokoju i nocy bezsennych. W istocie, śmiesznemi wydawać mi się teraz musiały moje dawniejsze obawy: ani zewnętrzne, ani wewnętrzne, i to bardzo cenne zalety p. Dominika nie zrobiły na Elsi najmniejszego wrażenia. A był to przecież — jak na nasz wiek i nasze wymagania — ideał mężczyzny. Bez zbytku skromności, mu-

siałem mu przyznać i przyznawałem pod każdym względem wyższość nademną, a jednak jego dzieliła taka przepaść chłodu od Elsi, a mnie... nic już prawie w tej chwili nie dzieliło od niej. To uczucie tryumfu i pewności siebie było tak upajającem, że zerwałem się z krzesła, aby pójść złożyć moje uszanowanie p. Leszczyckiej i studyować różnicę w przyjęciu, jakiego doznam ze strony Elsi w porównaniu z p. Dominikiem. Wtem powstał jakiś ruch w loży — Elsia obróciła się ku drzwiom i z uśmiechem podała rękę nowo przybyłemu gościowi, rozpoczynając z nim natychmiast bardzo ożywioną rozmowę. Wytężyłem oczy — po chwili wyłonił się z cieniów, ogarniających głąb loży, jakiś rumiany buziaczek z maleńkim, bardzo jasnym wąsikiem, ponad wielką krawatą szmaragdowego koloru i czarnym tużurkiem. Trwało to dość długo, nim zoryentowały się moje zmysły i nim uwierzyć im zdołałem, że ten cywilny buziaczek, tak niepokaźny, był własnością osobistą i niezaprzeczoną — p. porucznika Klonowskiego! Stałem z otwartemi ustami i byłbym stał nie wiedzieć jak długo, gdyby zniecierpliwieni widzowie z drugiego rzędu krzeseł nie zwrócili mojej uwagi, że nie kupili biletu dla oglądania moich pleców. Usiadłem mechanicznie — rozmowa w loży trwała dalej, wśród śmiechów i żywej giestykulacyi z jednej i drugiej strony. Gucio uśmiechał się tak niedorzecznie, jak za najpiękniejszych czasów szkolnych; Elsia stroiła do niego różne miny i zdawało się, że bawi się wybornie. Nagle, wskazała mu jakiś punkt w sali; aby go zobaczyć, pochylił się nad nią: czułem, że jego oddech był na jej włosach, na jej czole, jego szmaragdowa krawata dotykała jej lica długiemi swojemi końcami, a ona śmiała się tak serdecznie... chyba żartowała z niego? O, żartowała dotkliwie, zachmurzył się nawet. Przebóg! Podała mu rękę do pojednania i popatrzyła na niego z taką dobrocią! Tego nie rozumiałem już zupełnie: wszak to był ten sam młody człowiek, którego jej chciano narzucić, grożąc ojcu jej wywłaszczeniem z majątku! Ale pocóż miałem męczyć się domysłami, wszak rzecz musiała wyjaśnić się nazajutrz. Tymczasem atmosfera w teatrze

stawała się dla mnie nieznośną; wybiegłem na kurytarz, i począłem przechadzać się tam szybko, ścigany mimowoli rozmaitemi kombinacyami co do przyczyn zagadkowego postępowania Elsi.

— Sługa kochanego pana! — odezwał się nagle tuż koło mnie sympatyczny głos męski — dokąd to tak spiesznie?

— A... dobry wieczór panu — odparłem, poznając p. Dominika, i witając go serdecznie. Nie wiem, co mię ciągnęło zawsze do tego człowieka, ale ciągnęło mię coś nawet wówczas, gdy go nienawidziłem, a tem bardziej teraz.

— Pan w teatrze?

— Tak. Widziałem pana przed chwilą, w loży pani Leszczyckiej.

Pan Dominik miał ponoś ochotę skrzywić się na to wspomnienie, ale jako człowiek panujący nad swoją fizyognomią wyprostował się tylko, poprawił kołnierzyki i schował w nie na chwilę swoją hiszpańską bródkę.

— Nie zaglądniesz pan tam także na moment? — zapytał mię od niechcenia.

— Nie, mam dziś wstręt do tego niemieckiego śpiewu, idę do domu.

— Ale czy nie uważasz pan, jaka dziś wilgoć w powietrzu! Brr... Możebyśmy wstąpili do restauracyi na kieliszek Madery?

Na sen nie miałem jednakowo najmniejszej nadziei tej nocy, przyjąłem więc chętnie tę propozycyę. Restauracya była próżna, Madera niezła, rozgadaliśmy się tedy wkrótce swobodnie.

— Niech to będzie między nami, p. Edmundzie — rzekł p. Borodecki — ale przyznam się panu otwarcie, że moje kuzynki... to jest, że pani Leszczycka, bo nie mam prawa mówić o pannie Elwirze... otóż, pani Leszczycka gniewa mię niepospolicie, odkąd wróciła z zagranicy. Nie była ona nigdy moją słabą stroną, ale teraz to już się kobiecinie ze wszystkiem w głowie przewróciło. U wód, była

oczywiście ciągle hrabiną, porobiła różne znajomości; teraz, o niczem niema mowy, jak tylko o książętach włoskich, markizach hiszpańskich, lordach angielskich i bankierach paryskich. Ani przystąpić biednemu człowiekowi! Omijałbym ją na milę, gdyby nieszczęście nie chciało, że prowadzę interesa tego poczciwego rotmistrza Starowolskiego. Interesa te były nawet przyczyną, że odszukałem ją w loży...

— Czy zaszedł może znowu jaki zwrot niekorzystny w tej sprawie z Klonowskim?

— A... zaszedł, i to bardzo brzydki...

— Więc licytacya!

— Ach, co innego! Wszak wiesz pan zapewne, że pani Elżbieta swata wszelkiemi sposobami pannę Elwirę za Gucia Klonowskiego?

— To jest, nie sądzę, by ją swatała „wszelkiemi sposobami"... ot tak, są projekta...

— A ja panu powiadam, że swata rękami i nogami. Lecz do rzeczy. Otóż Klonowscy, których *prestige* mimo wszystkiego... opiera się na słabych podstawach, radziby koniecznie zkoligacić się ze staroszlachecką rodziną i zyskać lepsze plecy, niż te, które im może dać sam majątek. Póki wiadomem było tylko, że stary jest i był oszustem, a syn głupcem, było to jeszcze pół biedy, ale po ostatnim przypadku pana Gustawa...

— Gucio miał przypadek? Nie znać tego po nim.

— Wszak jeżeli go pan widziałeś, to musiałeś pan przecież spostrzedz, że już chodzi w cywilnem ubraniu.

— I cóż z tego?

— To z tego, że pan Gustaw grał z kolegami w maczka, i że go złapali na gorącym uczynku, jak wyciągał ze *szkartu* to, co mu było potrzebnem do *szlagera*. Oczywiście, wypoliczkowali go, wyrzucili za drzwi, i dostał haniebną dymisyę, bo nikt nie chciał służyć z nim w jednym i tym samym pułku. Stało się to przed trzema dniami, na prowincyi, w Przemysłowicach. Dowiedziawszy się o tem zajściu z ust wiarogodnych, bo od dowódcy pułku, w którym służył,

uważałem to za mój obowiązek uprzedzić kuzynkę. Ale! mój panie, ta nasza arystokracya, a raczej to, co u nas udaje arystokracyę, to coś gorszego od próchna! Wszyscy wiedzą o brudnym i hańbiącym postępku, wszyscy szepcą o tem poza oczami, i wszyscy przyjmują w swój dom zhańbionego, bo odziedziczy kiedyś milion, a skoro szachruje przy kartach, to może i nie przegra majątku!

— Mniejsza o to — odparłem — rotmistrz sprzeciwił się stanowczo projektom pani Leszczyckiej i temi dniami przybywa tu pani Starowolska odebrać córkę i wziąć ją na wieś. Zresztą Elsia sama...

— Elsia?

— Chciałem powiedzieć: panna Elwira — poprawiłem się, nieco pomięszany.

— Panna Elwira! Panna Elwira jest przedewszystkiem upartą i zrobi z pewnością właśnie to, czemu się wszyscy sprzeciwiać będą. A potem... w braku hiszpańskiego markiza albo rzymskiego duka, galicyjski milioner ma pewne niewątpliwe, pozytywne zalety... Gucio jest teraz jedynakiem, bo jego siostra umarła.

— Panie Dominiku, krzywdzisz pan mocno pannę Starowolską. Chciej mi pan wierzyć, że jest to osoba... może trochę kapryśna... ot, rozpieszczone i pieszczotami zepsute dziecko... ale zbyt to szlachetnych ludzi córka, by nie umiała pogardzić podłością, albo też, by z dziecinnego uporu, pogodziła się z nią nawet. Co się zaś tyczy względu na majątek Klonowskiego, mniemam, że nie mówiłeś pan na seryo.

— Nie potrafię panu wytłómaczyć dokładnie wszystkich danych, na których opieram moje przypuszczenie, ale daję panu gardło na to, że niechaj dziś nie stanie rotmistrza, najdalej do roku panna Elwira będzie panią Klonowską!

Uśmiechnąłem się; gardło pana Dominika byłoby bowiem w niemałem niebezpieczeństwie, gdybym go wziął za słowo. Zresztą, byłby on zmienił zdanie, gdyby był słyszał rozmowę, jaką miałem z Elsią przed kilkoma zaledwie go-

dzinami. Nie mogłem mu mieć za złe jego przypuszczeń, bo nie wiedział o niczem.

Ale wilgoć nie przestawała napełniać powietrza, bo było jesienne i dżdżyste. Madera, powtarzam, była wcale niezła i kącik mieliśmy zaciszny.... spieraliśmy się tedy dalej. Pan Dominik w obszernym, i jak zwykle, nieco ociężałym wywodzie chciał mi właśnie wyłuszczać powody, dla których sądził, że panna Starowolska może zostać panią Klonowską — kiedy nagle zebrało mi się na otwartość i wyspowiadałem mu się *in camera charitatis*, że jestem, wprawdzie nie po słowie, ale przynajmniej po słowach z Elsią, wykluczających jego przypuszczenie.

— To zmienia postać rzeczy — rzekł, poprawiając zawzięcie kołnierzyki i prostując się znowu. — To chciej mi pan wierzyć, panie Edmundzie, to cieszy mię serdecznie! Ale skoro sprawa tak stoi, przyznasz pan, że *wskazanym* jest w tym wypadku kieliszek szampana, nie ten podły trunek hiszpański. Garson!

Nie było repliki na takie wezwanie — podano szampana, a pan Dominik wniósł:

— Niech żyje to, co każdy z nas ma w sercu! I — precz z Klonowskimi!

Gawędziło nam się tedy dalej i piło się wybornie, a chociaż nie potrafiłbym powtórzyć reszty naszej rozmowy i nie przypominam jej sobie dokładnie, to przypominam sobie, że była ona bardzo poważną i bardzo wyczerpującą, — tak wyczerpującą, że rano zostało nam zaledwie dość czasu, by pójść do łaźni i odświeżyć się, poczem p. Dominik pospieszył do swego biura a ja do p. Pimmelesa, z którym miałem do pomówienia.

P. Pimmeles chciał zaprowadzić w swojej fabryce ulepszenia, które przed niedawnym bardzo czasem wynaleziono zagranicą — w tym celu postanowił był wyprawić mię do Niemiec, abym tam zbadał naocznie nowe te wynalazki. Mniemałem, że będę miał trudności co do paszportu, jako zostający jeszcze ciągle pod opieką Klonowskiego, który wygrawszy na razie sprawę, mógł stawiać mi

przeszkody. P. Pimmeles podjął się był załatwić to wszystko, i miałem w istocie sposobność przekonać się, jak prawdziwem było powszechne w kraju twierdzenie, iż u c. k. władz austryackich wyznawcy religii mojżeszowej najłatwiej i najprędzej umieją prowadzić sprawy. P. Pimmeles poruszył rozmaitych swoich ajentów i w przeciągu bardzo krótkiego czasu rozprawił się z Klonowskim, z sądami i z policyą tak dobrze, że doręczył mi teraz dekret uznający mię pełnoletnim i paszport, jak gdyby to było igraszką. Umówiliśmy się, że wyjadę za tydzień i natychmiast po powrocie obejmę moją posadę. Zostawało mi tedy dość czasu, by być świadkiem przyjazdu p. Starowolskiej do Lwowa i uwolnienia Elsi z pod opiekuńczych skrzydeł p. Leszczyckiej. Nie zdołam opisać, z jaką niecierpliwością wyglądałem tej chwili — pominąwszy już bowiem inne, ważniejsze względy, sam pseudo-arystokratyczny ton cioci Elżbiety dokuczył mi był niepospolicie i naraził moją miłość własną na niejedną próbę. Traktowała mię ona i tolerowała w swoim salonie, jak się traktuje i toleruje przyzwoitszego cokolwiek oficyalistę — a ten jej sposób zapatrywania się na mnie udzielił się powoli całemu jej „towarzystwu“, w którem byłem i czułem się intruzem. Dzięki tej różnicy między mojem stanowiskiem w tem kółku a mojemi śmiałemi aspiracyami, ostatnia moja rozmowa z Elsią chwilami wydawała mi się snem — świat, w którym ona żyła, zaledwie zwracał na mnie uwagę — panowie, bywający u p. Leszczyckiej w zamiarze zbliżenia się do mniemanej jej spadkobierczyni, nie raczyli domyślać się nawet współzawodnika w mojej osobie — damy, swatające w wolnych chwilach wszystkich znajomych kawalerów ze wszystkiemi znajomemi pannami, o mnie zapominały zawsze w swoich kombinacyach co do Elsi. Prawda, że starałem się zawsze unikać ile możności wszystkiego, coby mogło zwrócić na mnie bystre spojrzenia tych pań; czyniłem to głównie z obawy, by nie zaalarmowano p. Leszczyckiej i by mi nie zabroniła bywać w swoim domu — ale też zdawszy sobie dokładnie sprawę z całego tego położenia, nie mogłem pra-

wie uwierzyć, że ja jestem właśnie tym szczęśliwym śmiertelnikiem, któremu niebiosa przeznaczyły uszczknąć najcudowniejszy kwiat z pomiędzy tego niesmacznego otoczenia, i nazwać go swoim. A jednak, czyliż Elsia nie powiedziała mi wyraźnie, że tylko wzgląd na p. Leszczycką przeszkadza jej pójść za popędem serca, i czyliż wzgląd ten nie miał ustać za dni parę — czyliż nie ustał już nawet po ostatnim liście, który otrzymała ze Starej Woli?

Powtarzałem sobie to wszystko co chwila, abym nie przestał wierzyć w rzeczywistość mojego szczęścia — rzeczywistość tem senniejszą po bezsennie spędzonej nocy. Unikałem ludzi tego dnia, bo irytowali mnie niezmiernie; dość powiedzieć, że p. Mamułowiczowa, którą spotkałem w mieście, przywitała mię zapytaniem, czy wiem, że Elsia wychodzi za mąż za młodego Klonowskiego? Zamknąłem się w pokoju aż do chwili, w której przyzwoitość pozwalała pojawić się u p. Leszczyckiej. Około pierwszej po południu skorzystałem z przysługującego mi jako quasi-domownikowi prawa i zostałem wpuszczony do salonu. Ciocia Elżbieta w smętnej bardzo postawie zalegała kanapę koło pieca i żaliła się na migrenę; Elsia wyglądała przez okno i rozmawiała z — Guciem, który stał tuż koło niej. Porzuciła go jednak, gdy wszedłem, i przyszła podać mi rękę, z wyrzutem, że byłem wczoraj w teatrze a nie przyszedłem do loży. Gucio przysunął się także do mnie i podał mi swoją rycerską dłoń do uścisku. Zamiast ująć ją, udałem, że nie rozumiem, czego chce, i przypatrywałem się ciekawie podanemu mi fantowi.

— Czegoż tak patrzysz? — zapytał Gucunio jowialnie.

— Patrzę — odparłem półgłosem, mierząc go oczyma — czy nie masz asa w rękawie. — Co rzekłszy, dla zatarcia tej sceny, zwróciłem się do p. Leszczyckiej i zająłem się zawzięcie jej migreną, wyliczając wszystkie znane mi i nieznane leki na tę słabość nieznośną. Ciocia nie słyszała, co powiedziałem Guciowi, i przyjęła moją troskliwość nader łaskawie. Gucio zmięszał się trochę, ale

nie stracił humoru, i wziął żywy udział w rozmowie, zapewniając, że na migrenę niemasz jak kieliszek Koniaku, i przejażdżka kłusem na jego kasztanowatym *Lengyelu*, do czego atoli ciocia Elżbieta nie objawiała najmniejszej ochoty. Elsia natomiast, która stała blisko nas podczas powitania naszego i słyszała dokładnie moje słowa, popatrzyła na mnie surowo i nie rozchmurzyła się już wcale. Gucio pożegnał się wkrótce, przyrzekłszy pani Leszczyckiej, że przyjdzie do niej wieczór na herbatę. Gdy odszedł, ciocia rozpoczęła hymny pochwalne na cześć jego.

— Wiesz Elsiu, przypomina on mi twojego hrabiego v. Spangenberg, tego, co ci tak nieodstępnie towarzyszył na wycieczkach w saskiej Szwajcaryi. *Il a peut-être moins d'esprit... mais c'est un très bon garçon.*

— Tem lepiej dla tych, z którymi obcuje — odparła Elsia. — Dowcip służy ludziom często tylko do czernienia drugich — dodała, patrząc na mnie znacząco.

— Do czernienia? — zapytałem zdziwiony, osłupiały. Pojmowałem przed chwilą surowe spojrzenie Elsi, ale przez myśl mi nie przeszło, by mogła ujmować się za Guciem; sądziłem, że wyrzucała mi tylko małą scenę, której omal nie wywołałem w jej obecności.

— Tak, do czernienia — odpowiedziała. — Na to nie potrzeba nawet wiele dowcipu, dość jest powtórzyć pierwszą lepszą plotkę.

— Ach, co to, to prawda — podjęła ciocia. — Jak nieznośny ten pan Dominik był wczoraj z tem swojem opowiadaniem o tej jakiejś karczemnej scenie między oficerami a Klonowskim! *Qui est-ce que celà regarde?* Wiadomo przecież, że w wojsku służą różni ludzie, *et souvent, ce sont des malotrus...*

— Pan Borodecki wie, dlaczego co mówi — powiedziała Elsia z dziwnym przekąsem.

— Zapewne! Powiem ci nawet *ma chère*, że pan Borodecki radby bardzo, abym wypowiedziała dom Klonowskiemu. Uważam oddawna, że jesteś w jego guście...

inaczej nie rozumiem, dlaczegoby mu miał zawadzać Klonowski.

Jeżeli to było prawdą, co mówiła ciocia, to pan Dominik miał bardzo dziwny sposób objawiania swego „gustu“. Od dwóch lat, był trzy czy cztery razy w domu swojej kuzynki, a na ulicy kłaniał się jej z daleka i gubił się natychmiast między przechodniami.

— Czy pani dobrodziejka wątpi o prawdziwości zajścia, które miał Klonowski w Przemysłowicach? — zapytałem.

— Ani wątpię, ani nie wątpię, i wcale mię to nie obchodzi. *C'est un jeune homme très-bien reçu*, i to w najlepszych domach. Mogą sobie mówić, co chcą... Wszak o panu Witolskim, naprzykład, opowiadali także to i owo, a pokazało się w końcu, że wszystko było nieprawdą, bo i marszałkiem go wybrali i ożenił się bogato.

— To są zapewne niewątpliwe dowody — odrzekłem ironicznie, badając wzrokiem Elsię.

— Pan Edmund podejmuje się stanowczo roli bociana — odparła. Tymczasem podniosła się pani Leszczycka i oświadczyła, że musi pójść położyć się trochę, z powodu swojej migreny. Raczyła atoli poprzednio zezwolić, bym przyszedł na herbatę.

— Panno Elwiro — odezwałem się, gdy odeszła — sądzę, że panią wrodzona dobroć serca unosi za daleko w obronie Klonowskiego. Są pewne rzeczy, których bronić niepodobna.

— A są pewne, których znosić niepodobna, przedewszystkiem zaś, takie ciągłe opiekowanie się kimś, takie narzucanie mu swojego zdania! Pan sądzisz, że ja idę za daleko, a ja sądzę, że wy wszyscy idziecie za daleko...

— Kto wszyscy?

— Kto? Pan, Józio, moi rodzice, p. Borodecki, jednem słowem, wszyscy. Czy ja nie mam już ani szczypty własnego rozumu, ani szczypty własnej woli? Jedna tylko ciocia, która nie usiłuje mię krępować, bo ani nie ma prawa do tego, ani go sobie nie przywłaszcza!

Wszystko to było powiedziane cierpko, ostro, szybko, jak w spazmatycznym napadzie. Zbłądziłem może, że nie starałem się załagodzić tej burzy, może chwilowej, ale byłem szczególnie podrażniony tą mową, w której widocznie były wpływy pani Leszczyckiej i całego jej otoczenia.

— Czy to, co pani mówisz o „nas wszystkich“, ma znaczyć, że stawiamy zapory między panią a Klonowskim?

— Niema mowy o zaporach, ja nie znam zapór!

— Więc, o cóż chodzi? — zapytałem chłodno. Niebaczny, nie wiedziałem, że w pewnych chwilach nic tak nie może podrażnić rozdrażnionej kobiety, jak rozumne i chłodne zapytanie. Ona chciała widzieć mię trawionego zazdrością, przygnębionego rozpaczą, szalonego bolem, chciała, bym drżał na myśl, że sprzyja Klonowskiemu — a ja tymczasem, rozprawiwszy się z nim przy niej, a bez niej, pytałem ją zimno, o co chodzi? Jak gdyby ona mogła powiedzieć mi, o co jej chodziło!

— Pan mię pytasz, o co chodzi, pan, który przed chwilą zrobiłeś taką scenę! Czy pan sądzisz, żem nie zrozumiała, co to miało znaczyć? Chciałeś pan zrobić Klonowskiego niemożliwym, wypędzić go, wygryźć!

— Chciałem poprostu, nie podać mu ręki: czy chciałabyś pani, abym postąpił przeciwnie? Nie przypuszczałem ani na chwilę, bym potrzebował dopiero „wygryzać“ Gucia z obecności pani; nie podjąłbym się nawet tej czynności, gdyby ona miała oznaczać, że w nim uznaję rywala.

— Pan jesteś, jak widzę, wybrednym co do rywalów!

— Jestem, panno Elwiro. Swojego czasu, byłbym się chętnie bił na noże z p. Borodeckim, i czułem się nieszczęśliwym, gdyś pani spojrzała na niego. O Gucia, nie potrafiłbym być zazdrośnym.

— Bardzo mię to cieszy, żeś pan tak łaskaw, nie mordować mi mojego narzeczonego.

— Narzeczonego?!!

— Tak, mój panie. Pan i Józio kopaliście pod nim dołki, ojciec mój nie pytając się mnie wcale, odmówił jego

ojcu, a ja powiedziałam mu przed chwilą, że jeżeli chciał mojej ręki, to powinien był udać się do mnie. On też oświadczył mi się natychmiast w obecności cioci...

— I pani przyjęłaś go?

— Żądałam czasu do namysłu. Trzech dni.

— To żart! — zawołałem, śmiejąc się.

— Proszę spytać się cioci — rzekła, wskazując panią Leszczycką, która w tej chwili weszła do pokoju.

— O co chodzi, maszerciu?

— Pan Edmund nie chce wierzyć, że Klonowski oświadczył się o moją rękę, i że żądałam trzech dni czasu do namysłu.

— *Mais, ma chère*, cóż p. Edmundowi do tego? Swoją drogą, nie chcę ci narzucać mojej rady, ale byłabyś mojem zdaniem lepiej zrobiła, gdybyś była dała słowo od razu. Panie Poularde, może pan będzie łaskaw zostać u nas na obiedzie; chciałabym poradzić się z panem, który tak dobrze znasz Starowolskich, jak przełamać ich upór w sprawie tych dwojga zakochanych młodych ludzi.

— O, przełamie on się sam — wymówiłem z trudnością, bo kurczowe drganie ubezwładniało mi prawie szczęki. Przełamie się, bo rotmistrz nie przeżyje tej chwili. Żegnam panie!

— Jakto, pan odchodzi? — zapytała ciocia, patrząc z uśmiechem szatańskim na Elsię. Teraz dopiero zrozumiałem, że znała moją tajemnicę, i że pozorna jej naiwność przed chwilą była tylko wyrafinowanem naigrawaniem się ze mnie. Nie mogłem odrzec ani słowa, wytoczyłem się do przedpokoju, i tam usiłowałem zebrać moje myśli, by nie mieć miny waryata na ulicy. Zaledwie przymknąłem drzwi, usłyszałem głośny wybuch śmiechu p. Leszczyckiej w salonie, potem jakieś przedstawienie zrobione Elsi, a potem, drzwi się otwarły, i Elsia stanęła przedemną. Miałem jakąś mgłę przed oczyma; wśród tej mgły zdawało mi się, że podawała mi rękę. Nie jestem tego pewny.

— Panie Edmundzie — przemówiła. Głos jej był zmieniony, wzruszony.

Milczałem jak głaz.

— Panie Edmundzie, pan przyjdzie wieczór, nieprawdaż? Pan mię źle nie zrozumiałeś!

Skupiłem wszystkie moje siły moralne i fizyczne do uśmiechu i ukłonu, i zdobyłem się na to, że wskazując na drzwi salonu, powiedziałem żartobliwym tonem:

— Ciocia się śmieje, gotowa dostać czkawki. Dajmy pokój temu!

I wybiegłem na ulicę.

Niepodobna mi opisać zmąconych uczuć, które mną władały. Kogokolwiek dotknęło kiedy wielkie nieszczęście, ten wie, że umysł, przygnębiony katastrofą, na dłuższy czas traci swoją sprężystość. Jest się pozbawionym własnej woli, energii, zdolności przedsięwzięcia czegokolwiek; ludzie, słabsi od nas w zwykłych warunkach życia, muszą nas popychać w prawo i w lewo; nie jesteśmy w stanie stawić czoła najdrobniejszym wydarzeniom, toniemy tam, gdzie inni w bród przechodzą. To był stan mojej duszy. Gdybym mógł był oburzać się, szaleć z rozpaczy, miotać się namiętnie, byłbym niezawodnie postanowił tysiąc razy i poprzysiągł nie wracać więcej do Elsi, ale — byłbym z pewnością wrócił. Zamiast wszystkich tych gwałtownych uniesień atoli, czułem tylko ból i smutek niezmierny — nie postanawiałem nic i nie byłem zdolny do żadnego postanowienia, ale czułem, że do niej nie wrócę. Czułem to, bo jakaś próżnia powstała we mnie, urok, pod którym zostawałem tak długo, znikł w jednej chwili; napróżno goniłem myślą za obrazem pełnym czaru, który tkwił w niej tak długo: obraz ten rozwiał się w mgle i przestał mię nęcić i dręczyć, a żal, strasznie mi żal było za temi udręczeniami, żal za miłością, którą jedna chwila wydarła z mego serca. Nie wiedziałem jeszcze, jak potrafię żyć bez tego uczucia, czem zastąpię to, co było dla mnie dotychczas gwiazdą przewodnią i busolą? Do czego nawiążę dalszą nić mojego istnienia?

Chciała, bym wrócił — żałowała może szczerze swojego postępku. Nie zaszło między nami prawie nic, coby

przechodziło zwykłe rozmiary kłótni między zakochanymi. Gucio nie był wcale przeszkodą: nie mogłem brać na seryo jej „trzech dni do namysłu“, wiedziałem bowiem, że go nie kochała, i że jej dziecinny upór, podżegany przez ciotkę, ustąpiłby, nie tyle może wobec stanowczej woli rodziców, ile wobec przykrości, jakąby im sprawił taki wybór ich córki. W ostatniem jej postępowaniu z Guciem, który przedtem nie występował jakoś nigdy dość wybitnie jako kandydat do jej ręki, główną rolę odgrywała chęć popisywania się czas jakiś w „świecie“ tak powszechnie pożądanym konkurentem, i zwrócenia na siebie uwagi uroczystem daniem mu kosza. Ztąd żal, iż ojciec bez pytania się jej dał odmowną odpowiedź Klonowskiemu, ztąd zabawne jej rekryminacye. Obok tego, dziś, po zimnej rozwadze domyślam się, że chciała mię wprawić w zazdrość — wszak dnia poprzedniego jeszcze, gdyśmy rozmawiali o tem nieprzyjemnem uczuciu i gdy twierdziłem, że nie w każdym wypadku byłbym zazdrośnym, powiedziała mi: „zobaczymy!“ Był w tem niepospolity brak serca, ale mógłbym jej był przebaczyć z łatwością, że próbując swojej władzy, jak dziecko próbuje broni, co mu wpadła w ręce, igrała ze mną — byleby była igrała sama dla siebie, albo zresztą dla podzielenia się wrażeniami i spostrzeżeniami z jaką zaufaną przyjaciółką. Mało jest kobiet, któreby nie miały upodobania w takich bolesnych igraszkach i którymby do nich brakło odwagi. Ale wtajemniczając panią Leszczyckę w to, co zaledwie jej samej wyjawić śmiałem, Elsia nietylko chciała pastwić się nademną i przywieść mię do rozpaczy — narażała mię ona jeszcze na najdotkliwsze upokorzenie, jakiego doznać mogłem, a narażała mię na to z całą świadomością swojego czynu. Wyobrażam sobie, że nawet bez śmiechu i dotkliwych dla mnie żartów nie mogła opowiedzieć pani Leszczyckiej, jak mocno jestem zakochany. Wiedziała, że za parę godzin wszystkie przyjaciółki jej ciotki dowiedzą się o tej mojej niesłychanej śmiałości, że stanę się celem najstraszliwszych szyderstw, których byłbym uniknął jedynie wówczas, gdyby przyznała, że

miałem pewne prawa liczyć na jej wzajemność. Nie wahała się narazić mię na to, by mi pani Leszczycka z wysokości swojej dumy arystokratycznej dała do poznania, że jestem tylko „młodym człowiekiem do posyłek“, i że jeśli miałem śmiałość marzyć o jej siostrzenicy, to śmiałość ta była tak wielką, tak bezprzykładną, iż nawet gniewać się o nią nie można i można ją tylko — pogardliwie ignorować.

W innem otoczeniu, w Starej Woli naprzykład, byłyby w charakterze Elsi wzięły niewątpliwie górę te popędy, które jej dyktowały listy jej do Herminy. W domu ciotki nauczyła się mieć dla gromadzącego się tam światka taką twarz i takie serce, z jakiemi najlepiej w tym świecie — a od czasu do czasu sprawiało jej przyjemność przybieranie innej postawy wobec osób, któreby takową ocenić umiały, a do takich osób należała Hermina, należałem czasem i ja. W chwilach goryczy, którą czułem po zerwaniu z Elsią, przychodziło mi nieraz na myśl wyszukiwać pewną analogię między jej postępowaniem ze mną a znanym charakterem mojego opiekuna, p. Klonowskiego. Sądzę jednak, że szedłem za daleko w tem porównaniu; na wszelki wypadek, dwulicowość u niej nie była rozmyślną, wystudyowaną, była ona raczej skutkiem kaprysu, następstwem sprzeczności wrodzonych lepszych instynktów a gustów i skłonności nabytych przez wychowanie i przejętych od otoczenia. Jestem przekonany, że mię kochała w pewnych chwilach, a w innych musiałem jej być tak nieznośnym, jak jaki przykry obowiązek, którego radzibyśmy się pozbyć, gdyby nam się udało zrobić transakcyę z własnem sumieniem.

Dość, że dla mnie wszystko już było skończonem i zerwanem niepowrotnie — włóczyłem się tak kilka dni po mieście, nieprzytomny, odurzony i przygnębiony, unikając zdaleka wszystkich znajomych domu p. Leszczyckiej, z obawy spotkania się z jakim złośliwym uśmiechem. Wybierałem się napisać list do Herminy i opowiedzieć jej, co się stało, a nie miałem na tylo energii, by się zabrać, chociażby do tej drobnej pracy. Nareszcie przypomniałem sobie, że już bardzo dawno nie miałem listu z Żarnowa;

począłem niepokoić się tem, bo wiedziałem z dzienników, że grasowała tam od kilku tygodni straszliwa epidemia. Jakieś czarne przeczucia ściskały mi serce, urozmaicając w przykry sposób głęboki mój smutek. Pewnego dnia, snując się zwykłym trybem po chodnikach, wstąpiłem przypadkiem do sklepu, dla kupienia jakiegoś drobiazgu. Zaledwie się tam znalazłem, zatrzymała się przed sklepem kareta, z której wysiadły Elsia i panna Wanda Marszewska, jej przyjaciółka. Niepodobna było uniknąć spotkania — ukłoniłem się tedy, ile możności grzecznie, zimno i niezgrabnie. Przypatrzyłem się Elsi — o dziwo! nie wydawała mi się już i w połowie tak piękną, jak dawniej. Być może, że defigurował ją baszłyk — zapewne dlatego chciała kupić inny. Panna Marszewska zawezwała mię na rzeczoznawcę, obstawała bowiem przytem, że Elsi najlepiej w czerwonym kolorze. Była to złośliwość z jej strony, bo Elsia była jasną dość blondynką i czerwony baszłyk jak najgorzej ją ubierał. Wyjaśniłem moje zdanie w tej mierze tak obojętnym tonem, że sam się dziwiłem mojemu spokojowi, i ukłoniwszy się, chciałem wyjść ze sklepu. Elsia spoglądała na mnie ciekawie, ale przez cały czas nie mówiła ani słowa. Dopiero gdy wychodziłem, zapytała mię znienacka:

— Kiedyż pan już raz będzie u nas? Mama przyjeżdża jutro!

— Nie omieszkałbym złożyć jej mojego uszanowania, ale wątpię, by mi czas pozwolił, bo wyjeżdżam do Niemiec i jestem zajęty przygotowaniami do podróży...

— A, tak! — rzekła obojętnie, i odwróciła się — ale przy tej sposobności spotkały się nasze spojrzenia i dziwiłem się, jak silny wyraz nienawiści mógł zmieścić się w tych jasnych oczach, które niegdyś były całym światem dla mnie!...

Poszedłem do domu, trawiony i trapiony czarnemi myślami. Chciałem pisać — wtem, otworzyły się drzwi i pojawił się w nich niewielki żyd w chałacie, z szpakowatą brodą. Zniecierpliwiony i myśląc, że to, jak zwykle w ho-

telach, faktor z propozycyami rozmaitych usług, ofuknąłem go, by mi dał spokój.

— No, co spokój? Jak tu dać spokój, ja przychodzę po moje pieniądze!

— Jakie pieniądze?

— Przecież ja mam pański weksel! O, tu jest! termin był już przed trzema miesiącami, wielmożny pan nie zapłacił, i nie był we Lwowie, ja musiałem zaskarżyć do sądu i ogłosić edykt w gazecie!

Teraz dopiero zrozumiałem, o co chodzi. Był to ów weksel, który podpisałem wyjeżdżając ze Lwowa, dla zrobienia przysługi Guciowi.

— Ależ ja od ciebie nie brałem pieniędzy — czemu nie idziesz do pana Klonowskiego?

— Ja był u niego już z dwadzieścia razy, małom nóg nie połamał, tak chodzę i chodzę; ale co jemu zrobić, on nie płaci, i on jest małoletni.

— To idź do starego... wszak jest podobnoś we Lwowie.

— *Wie hajst* starego? Stary nie zapłaci; pan'eś podpisał weksel, to pan zapłaci, a jak nie, to ja będę robić dalsze kroki...

Nie było rady z żydem, wszelkie przedstawienia nic nie pomogły. Żądał tysiąc złr. i jeszcze oprócz tego około dwieście tytułem różnych procentów i kosztów. Miałem zaledwie paręset złr. gotówki — resztę moich pieniędzy, jak już opowiedziałem, ulokowałem w akcyach fabryki, która obiecywała tak wielkie zyski. Zaproponowałem Szajlokowi zapłatę w tych papierach — ale aż odskoczył, klnąc się na duszę, że moje akcye, za które zapłaciłem przecież po 200 złr., niewarte i pięciu złr. sztuka. Przypuszczałem, że chce mię oszukać, kazałem mu przeto przyjść za godzinę i poszedłem do kantoru dowiedzieć się, jak stoją moje akcye. Niestety, dowiedziałem się, że są bez żadnej prawie wartości. Wytłómaczono mi, że ks. Blaga i p. Klonowski, nabywając w imieniu towarzystwa akcyjnego ową fabrykę od pierwotnego jej właściciela, zapłacili mu cenę kupna

akcyami, na które udzielili mu pożyczki gotówką w jakimś banku, który założyli. Później wypowiedzieli mu tę pożyczkę i wystawili naraz 100 sztuk akcyj na licytacyę, rozgłosiwszy poprzednio, że fabryka idzie jak najgorzej i że towarzystwo prawdopodobnie zbankrutuje. Dzięki tej operacyi, udało im się nabyć owe akcye po 10 zł. sztukę, a ktokolwiek prócz nich posiadał takie papiery, usiłował się ich pozbyć, ale nie było kupca. Tym sposobem, książę Blaga i p. Klonowski stali się *de facto* właścicielami fabryki, ja zaś jako posiadacz akcyj, reprezentujących niby 2000 złr., posiadałem w istocie tylko 50 złr., i to bardzo wątpliwych.

Kłopot mój był niezmierny — żyd nie chciał się ustąpić i nalegał o zapłatę. Pierwszy raz w życiu miałem do czynienia z podobną sprawą i nie wiedziałem, co począć. Po długich korowodach zdecydował się żyd nareszcie zaczekać nazajutrz do południa; ja zaś położyłem się spać z tak przykrem uczuciem jak wówczas, gdy mię po raz pierwszy w Hajworowie służący pędził do oficyny.

Przebudziłem się pod nieokreślonem a przykrem wrażeniem snów, które musiały trapić mię w nocy, i bez najmniejszego pojęcia o tem, jak załatwić sprawę z niespodziewanym moim wierzycielem. Nim zdołałem ubrać się, miałem go przed sobą; domagał się natarczywie pieniędzy. Po długich i arcynieprzyjemnych targach, żyd widząc, że w istocie nie posiadam potrzebnej kwoty, zaproponował mi, abym mu dał, co dać mogę. Wypłaciłem mu tedy 200 złr., on zaś zobowiązał się poczekać miesiąc na resztę i zgrzeczniał niepospolicie. Wytargował, dzięki tej zmianie frontu, jeszcze kilka reńskich na piwo, czy na miód, i poszedł. Odetchnąłem nieco, ale nie mogłem pozbyć się wrażenia, że wisi nademną jakieś nieszczęście. Przeczucie to było tak silnem i niepokojącem, że chwilami walczyło zwycięsko z ogólnym bolem mojego serca. Dręczony hallucynacyami, tem bardziej zastanawiającemi, że prześladowały mię one w biały dzień, rano, kiedy umysł człowieka bywa mniej skłonnym do obaw i przywidzeń, zdecydowałem się

wreszcie napisać kilka słów do Herminy, aby domagać się od niej usilnie wiadomości z Żarnowa. Zerwania z Elsią nie czułem się jeszcze na siłach opowiedzieć lub wytłómaczyć mojej siostrze. Bolało mię ono jeszcze zbyt silnie, a nadto, Hermina zajęła takie stanowisko między mną a Elsią; wyobrażenia jej o świętości i nierozerwalności węzła, łączącego serce z sercem, były tak idealne, że nie miałem odwagi przyznać się przed nią, iż po długich latach szałów i marzeń, nagle, w jednej chwili, przestałem kochać się w pannie Starowolskiej. Prawdę powiedziawszy, sam wówczas jeszcze nie zdawałem sobie dokładnie sprawy z powodów tej nagłej zmiany we mnie; powoli dopiero, badając się z uwagą, nabyłem przekonania, że draśnięta do krwi moja miłość własna dokonała tego cudu. Postanowiłem przeto na razie odłożyć moją historyę na później. Zaledwie wziąłem pióro do ręki, zapukał ktoś do drzwi. Był to listonosz.

Machinalnie wziąłem z rąk jego dwie koperty, które mi podał, i spojrzałem na adres. Na jednej z nich było pismo Herminy — drobny szczegół, którego dostrzegłem w adresie, odjął mi odwagę złamania pieczątki. Hermina przestrzegała zawsze wzorowego porządku w swojej korespondencyi: tym razem atrament zalał był kopertę w kilku miejscach, jak gdyby pisała po zwilżonym papierze. Nie wiem, dlaczego wydało mi się to wymowniejszem od czarnych pieczątek i innych oficyalnych oznak żałoby. Raz przecież trzeba było położyć koniec obawom i przeczuciom; zdecydowałem się rozedrzeć kopertę i wyjąłem z niej, niestety, potwierdzenie najczarniejszych przypuszczeń, które mię trapiły. Była to drukowana kartka, donosząca, że Wincenty i Konstancya Wielogrodzcy po kilkogodzinnych cierpieniach, jednego i tego samego dnia, padli ofiarą okropnej epidemii. Wypadek ten zdarzył się jeszcze przed tygodniem—miałem tedy tę smutną pociechę, że wiadomość o rezultacie mojego procesu z Klonowskim nie zatruła ostatnich chwil mojego dobroczyńcy...

Kiedy straciłem matkę, los łaskawy pozwolił mi stracić także przytomność i odzyskać ją wśród fizycznego osłabienia, które ukołysało boleść, rozdzierającą moje serce w rodzaj

głębokiego smętu i przygnębienia. Ach, jakże pragnąłem w tej chwili, by ciężka niemoc odjęła mi znowu świadomość tego, co się stało koło mnie! Nie stało się jednak zadość temu mojemu samolubnemu życzeniu, i poczęły mną miotać, wraz ze szczerym smutkiem i żalem za tymi, co mi zastępowali rodziców, ciężkie wyrzuty sumienia, które miewałem i dawniej, a które teraz spotęgowały się tak, że sam sobie wydawałem się potworem. Oni tak kochali Herminę — oni konając, ją tylko jednę mogli mieć w myśli, a szlachetne ich dusze cierpiały tak srodze, widząc to biedne, młode dziewczę tak osamotnione, tak bez opieki i punktu oparcia rzucone w świat, pełen głupoty i złości! A ja, tymczasem, biegałem po sprawunkach dla pani Leszczyckiej i starałem się wyczytać moją przyszłość w uśmiechu Elsi, lub w chmurce na jej czole, oszukując pokładane we mnie nadzieje, pamiętając o Herminie prawie o tyle tylko, o ile mój filonowski romans z Elsią znajdował w niej opiekunkę i pośredniczkę! Był to niewątpliwie egoizm, posunięty do ostatnich granic, egoizm, połączony z wielką niewdzięcznością, i źle wobec własnego sumienia usprawiedliwiony tem, że Hermina sama zaszczepiła go i wypielęgnowała w mojej duszy. Teraz, jedna tylko jasna myśl wśród tego chaosu przykrych uczuć nastręczała mi się rozkazująco: obowiązkiem moim było pospieszyć do Żarnowa, podzielić smutek Herminy, zająć się jej dalszą egzystencyą...

Prócz kartki pośmiertnej, znalazłem w kopercie krótki bilecik od niej. „Jestem u państwa Goldmanów — pisała — bądź spokojny o mnie. Zlituj się, zaklinam cię, nie przyjeżdżaj teraz — ta straszna choroba grasuje tu jeszcze okropnie. Umyślnie wstrzymałam się tak długo z pisaniem, bo sądziłam, że to przeminie — ale niema końca pogrzebom i dzwonom. Pamiętaj, że prócz ciebie, nie mam już nikogo... raz jeszcze błagam cię, nie przyjeżdżaj teraz. Zginęłabym z trwogi; nie uwierzysz, jak po tej podwójnej katastrofie ściga mię myśl, że jakaś fatalność chce, bym przeżyła wszystko, co mi jest drogiem. Boję się przywiązać nawet do drobnostki, do kwiatka... zwiądłby pewno za to, żem go polubiła.

I ty, mój bracie, nie jesteś szczęśliwy — widzę to z listu, który ci dołączam — miałżeby to być jeszcze jeden objaw fatalności, która mnie ściga? Jeżeli mi co dobrego życzysz, dołóż wszelkich starań, aby się to pomyślnie dla ciebie załatwiło; nie unoś się chwilową goryczą, abyś później nie doznał żalu i nie zatruł sobie życia. Ty musisz cierpieć, Mundziu — ach, czemu nie jestem między wami, abym załagodziła, jeżeli jest co do załagodzenia. Napisz mi wszystko jak najobszerniej, i jeszcze raz zaklinam cię, nie jedź do Żarnowa, póki ci nie napiszę, że cholera ustała.“

Nie było nic do załagodzenia, tak dalece nic, że odrzuciłem pogardliwie na bok list Elsi, przysłany mi przez Herminę; nie miałem wcale ciekawości przeczytać, co zawierał. Za chwilę jednak pomyślałem, że dobrze będzie wiedzieć, co napisała Herminie i jak ubarwiła prawdę. Przejrzałem jej list, składał on się z kilku kartek narzekań, wypisanych zapewne z jakiejś książki: na świat, na los, a w szczególności, na trudność, dania się ludziom do poznania w takiem świetle, na jakie się zasługuje. Następowała znana już historya o cioci Elżbiecie i jej dwudziestu kilku tysiącach, potrzebnych do ocalenia Starej Woli, a nakoniec wzmianka, że „panu Edmundowi jakaś mucha siadła na nos“ i że jest dziecinnym w swoich wymaganiach, a zazdrośnym, jak Hiszpan, Włoch lub Turek!..

Sprawiło mi to pewną satysfakcyę, gdy spostrzegłem, że Elsia bardzo znacznie, i to w kardynalnym punkcie, mijała się z prawdą. List jej pisany był nazajutrz po scenie, która mi otworzyła oczy, a więc pisany w chwili, kiedy Elsia już od dwóch dni wiedziała o nieodwołalnem postanowieniu rotmistrza co do Gucia Klonowskiego i pani Leszczyckiej — a mimo to, opowiadała Herminie tę samą bajeczkę, którą mnie zbyła, gdym jej wyznał moją miłość i moje nadzieje. Nie wspominała też ani słowem o oświadczynach Gucia i o odpowiedzi, którą mu dała — a cały jej list tchnął chęcią przedstawienia się Herminie w charakterze młodej osoby, pełnej uczucia i poświęcenia, a srodze zapoznanej. Odkryłem jeszcze coś więcej: Elsia nie wierzyła w bezin-

teresowność Herminy; przypuszczała, że ona kocha się we mnie, zamiast kochać mię jak siostra. Szczery udział Herminy w powodzeniu moich spraw sercowych brała za akt zamaskowanej zazdrości, przedsięwzięty w chęci może dowiedzenia się o właściwym stanie rzeczy i wichrzenia, gdyby się dało. To też w wielu zwrotach jej pisma dostrzegłem źle utajonego tryumfu nad mniemaną rywalką. Były to pociski, które chybiały celu, ale złośliwy zamiar był aż nadto widoczny. Kto wie, czy ta chęć zranienia Herminy, to mniemanie, że mnie jej wydarła, nie były głównym bodźcem do tych drobnych a wiele znaczących półsłówek i półuczynków, któremi przykuwała mię do siebie! Dziwna rzecz, jak teraz jasno widziałem to wszystko, jak zupełnie podzielałem zdanie Józia o jego siostrze, i jak zapamiętale biłem się w czoło, powtarzając sobie: O, ty głupcze!

Nie było chwili do stracenia — musiałem pędzić do Żarnowa, pójść najprzód ułożyć się z p. Pimmelesem o odroczenie mojego wyjazdu do Niemiec na kilka dni, kupić miejsce w dyliżansie, który odchodził wieczorem, i zrobić wizytę pani Starowolskiej — bo chociaż powiedziałem Elsi, że nie będę u niej, przyzwoitość i obowiązek wdzięczności nakazywały mi nie rozciągać żalu do Elsi na tych, z których strony doznałem tyle dobrego. Zebrałem się szybko i miałem już kapelusz na głowie, gdy po raz trzeci zapukał ktoś do drzwi.

Znowu żyd! Tylko tamten był mały, chudy i szpakowaty, ten zaś był słuszny, otyły, rudy i jednooki.

— Czego chcesz? Ruszaj ztąd!

— Nu, co ruszaj? Ja przychodzę po moje pieniądze!

Jota w jotę ta sama śpiewka, co wczoraj, a co gorsza lub zabawniejsza, ten sam weksel. Pokazało się, że mały żyd był tylko faktorem, a duży, właścicielem wekslu. Pokazało się, że tamten schował dwieście złr. do własnej kieszeni, a ten przyszedł z większą jeszcze natarczywością upominać się o całą kwotę. Pokazało się, że kto płaci *à conto* należytości wekslowej, powinien zanotować na wekslu, co zapłacił. Ale niestety, wszystko to pokazało się zapóźno, a żyd nie

chciał ustąpić. Znękany tyloma nieszczęściami i cierpieniami, przejęty niecierpliwością załatwienia wszystkiego, czego potrzeba było do mego wyjazdu, rozjątrzony nakoniec nieznośną gadaniną i impertynencką postawą żyda, równie jak oszustwem, którego padłem ofiarą, powiedziałem mu, że go wyrzucę, jeżeli mię nie uwolni sam od swojej obecności. Żyd stawiał się zuchwale, w pasyi porwałem z szafki mój rewolwer — nota bene, nienabity, i pokazałem mu zbliska tę niemiłą maszynkę. Żyd wyleciał na kurytarz, krzycząc w niebogłosy — sąsiedzi moi powybiegali ze swoich pokojów na ten hałas, zbiegła się służba hotelowa i wyprowadzono mojego prześladowcę na ulicę. Ale przed bramą czekał na mnie i szedł za mną krok w krok, krzycząc i zwracając powszechną uwagę na tę scenę. Łatwo sobie wyobrazić mój kłopot—ktokolwiek przechodził ulicą, widział i rozumiał to tak, że jestem targany przez wierzycieli, zwłaszcza, gdy jak nieszczęście, tak i żyd nie chodzi nigdy sam i mój dręczyciel znalazł natychmiast kilku pejsatych towarzyszy. W tej ciężkiej chwili, na przechodzie przez ulicę, najechała na nas świetna kawalkata: elegancki jeździec, elegancka dama i elegancki groom, wszystko na pięknych, rasowych koniach, ze stajni Gucia: był to bowiem on z Elsią. Chciałem przejść szybko, by ustąpić z drogi — pejsata moja świta poskoczyła za mną i główny jej członek uchwycił mię za rękaw.

— Widzi pani, *meiner Sell'* to Moulard! — odezwał się Gucio, pokazując mię szpicrutem.

Spojrzałem na nią, mimowoli. Obróciła się na siodle i parsknęła mi w oczy śmiechem.

— *Curios!* — dodał Gucio, śmiejąc się równie głośno — i ruszyli dalej szparkim kłusem.

Żydzi nie dali mi czasu oddawać się wrażeniom tego spotkania — potrzeba było myśleć o tem, jak się ich pozbyć. O policyi w takich razach we Lwowie niema mowy, obywatele rzeszy rakuskiej skazani są na *selfhelp!* Na szczęście nadjechał fiakier, kazałem mu stanąć. Bracia starozakonni obstąpili mię w ścisłym szeregu i mieli ochotę nie dać mi wsiąść; ale woźnica, mazur, snać rutynowany w takich

wypadkach, rozpędził ich biczem, obejrzał się, czy siedzę, i ruszył cwałem, roztrącając bardziej natarczywych.

Uwinąłem się szybko z mojemi interesami, u p. Pimmelesa i na poczcie, a dowiedziawszy się, że pani Starowolska jeszcze nie przyjechała, i mając parę godzin czasu przed sobą, wstąpiłem do p. Borodeckiego, aby zasięgnąć jego rady, co do napaści żydowskiej.

— O, znam ten weksel — powiedział mi — przynoszono go do mojej kancelaryi, ale ponieważ miałem powody przypuszczać, iż jest on już własnością starego Klonowskiego, i ponieważ prowadzę procesa przeciw Klonowskiemu, więc nie chciałem się podjąć prowadzenia procesu. Przyznam się tylko, że nie uważałem, iż pan byłeś współakceptantem. Nie pojmuję, jak pan mogłeś postąpić tak lekkomyślnie. Dawać akcept Guciowi Klonowskiemu, któremu żaden żyd nie chce już pożyczyć grajcara, bo ma więcej długów, niż włosów na głowie, a stary nie chce ich płacić! Dziwiłem się, że wykupił ten weksel, ale teraz rozumiem, dlaczego to zrobił!

— Ha, stało się — odrzekłem — radź teraz mecenasie, co począć.

— Trudna to bardzo rada: podpisałeś pan wprawdzie, będąc małoletnim, ale zarzuty nie były wniesione w przepisanym terminie i teraz egzekucya już jest prawomocną. Staraj się pan tylko, aby nie mieli na czem poszukiwać pretensyi, później, będzie można deponować należytość i wytoczyć proces... To szczęście pańskie, że areszt za długi jest zniesiony...

Niewiele wyniosłszy pociechy z tej rozmowy, wróciłem do hotelu, aby spakować moje rzeczy. Dyliżans odchodził za pół godziny, kazałem sprowadzić fiakra, znosić na dół moje tłumoki i podać sobie rachunek.

W tej chwili, jakiś niezwykły rumor na ulicy zwrócił moją uwagę na siebie. Przed bramą hotelu było wielkie zbiegowisko ludzi, wśród którego dostrzegłem dość sporą liczbę żołnierzy policyjnych, przypatrujących się pilnie hotelowi, jak gdyby stary ten gmach objawił nagle tendencye

niezgodne z całością i bezpieczeństwem monarchii i społeczeństwa.

Nowe pukanie do drzwi odwołało mię od okna. Nieznośny dzień, ciągle ktoś pukał, a każdy ze złą nowiną. Otworzyłem: wszedł jegomość w urzędowej furażerce, a za nim pojawiło się jeszcze kilku żołnierzy policyjnych, wraz z moim jednookim, tłustym żydem.

— Czy pan jesteś pan Edmund Moulard, inżynier?

— Tak, panie.

— Z polecenia tutejszego sądu zmuszony jestem pana aresztować. Proszę iść ze mną.

— Aresztować, mnie? Za co?

— To nie jest moją rzeczą; dowiesz się pan o tem w sądzie.

— Ależ panie, to chyba pomyłka, to nie może być.

Urzędnik ruszył ramionami. W tej chwili mój rudy żyd zbliżył się do mnie.

— To ja kazałem pana aresztować, jako *fluchtverdächtig* (podejrzanego o zamiar ucieczki). Niech pan zapłaci, a ja pana każę puścić.

— Ależ ja nie mam tyle pieniędzy!

— Niech pan da, co pan ma. Nu, czego tu się namyślać?

— Dobrze, ale napiszę na wekslu, co płacę.

— *Herste!* Co pisać na wekslu? Ja coś muszę mieć za moją fatygę, i za grzeczność, którą robię panu! Jak pan zapłaci wszystko, to ja panu oddam weksel.

Dobyłem skwapliwie pugilaresu i wytrząsłem na stół wszystko, co w nim było. Znalazło się trzysta kilkadziesiąt reńskich, które żyd porwał natychmiast.

— Ostrzegam pana — rzekł urzędnik — że ten... „kupiec“ nie ma prawa wpłynąć na pańskie uwolnienie natychmiastowe. Mam rozkaz sądowy, w którym nie ma wzmianki o niczem, tylko gołosłowne polecenie aresztowania pana. Rozkaz ten muszę wypełnić.

— Ależ... w takim razie, możeby pan kazał żydowi, oddać mi pieniądze!

— Tak daleko nie sięga moja władza — rzekł urzędnik, ruszając znowu ramionami. — Proszę pana z sobą.

— Natychmiast; pozwolisz pan jednak, bym wziął z sobą moje rzeczy...

— I owszem...

— Oto rachunek, panie! — odezwał się w tej chwili garson hotelowy. — Czterdzieści i dwa reńskie, siedmdziesiąt pięć centów!

Sięgnąłem do kieszeni, ale przypomniałem sobie, że była próżna. Żyd zabrał wszystko, co miałem. W kamizelce znalazłem kilka „szóstaczków“. To był cały mój majątek. Potrzeba było wyrzec się przyjemności zabrania z sobą tłumoków. Garson był przynajmniej o tyle ludzkim, że pozwolił mi zabrać z sobą pakę z książkami i parę sztuk bielizny, jako też, że kazał mi to wszystko zanieść do fiakra. Urzędnik zwrócił moją uwagę, że jeśli chcę jechać, muszę sam zapłacić za „furę“, bo w budżecie państwa niema na to preliminowanej kwoty. Fiakier, którego zamówiłem, aby pojechać na pocztę, czekał już pół godziny: kasa moja wystarczyła zaledwie, aby mu wynagrodzić czas stracony. Trzeba było iść pieszo na policyę, a ztamtąd do lokalu więziennego, i powiedzieć „Bóg zapłać“ żołnierzowi, który z grzeczności niósł moją pakę z książkami. Ponieważ było zapóźno, by mię policya mogła oddać sądowi, odprowadzono mię na tę noc do aresztu policyjnego.

ROZDZIAŁ V.

Więzienie, w którem mię na tę noc osadzono, i całe położenie, w jakiem się zajdowałem, przypominały mi żywo chwilę, kiedy Klonowski oddał mię był do „niższego“ konwiktu w Ławrowie. Zdawało mi się, że klucznik, który mi wyznaczył do spania drewniany tapczan wraz z siennikiem i słomianą poduszką nader wątpliwej czystości, musi koniecznie nazywać się Mykietiuk; miałem nawet wielką ochotę

zapytać się go, czy się tak nie nazywa, wyglądał bowiem zupełnie, jak gdyby był starszym bratem byłego *calefactora* ławrowskiego. Towarzystwo moje w celi było okropne; było tam dwóch włóczęgów w bajeczny sposób brudnych i obdartych, których miano w drodze przymusu odstawić na miejsce urodzenia, trzeci zaś był to jakiś żyd, którego spekulacye dojrzały już snać były do tego punktu, gdzie interwencya sądu karnego staje się nieuniknioną. Oprócz zabijającej woni i niechlujstwa, o jakiem nie może i w przybliżeniu mieć pojęcia ten, co nie widział nigdy aresztu policyjnego, dokuczała mi jeszcze ciemność. Rząd nie oświetla tych przybytków publicznego bezpieczeństwa; strażnicy tolerują wprawdzie światło, ale więźniowie muszą je sobie sami kupić. Tymczasem ja resztę mojej drobnej monety oddałem fiakrowi, i nie miałem za co kupić świecy. Tak to, w więzieniu równie jak na świecie, najgorszym rodzajem niewoli jest zawsze brak środków materyalnych. Towarzysz mój żyd był jedynym pomiędzy nami właścicielem drobnej monety; to też wkrótce przyniesiono mu mikroskopiczną świeczkę łojową, którą on przytwierdził do zawiasów okna, i dobywszy książki hebrajskiej, począł mruczeć z niej różne modlitwy. Czuł on się niezawodnie tak czystym w swojem sumieniu, że mniemał, iż może rozmawiać bezpośrednio z bogiem Abrahama i Mojżesza. Przypominam sobie, że myśl ta przyszła mi wraz z napadem szalonego jakiegoś humoru: robiłem porównania między rozmaitemi wyznaniami religijnemi i katolicyzm wydał mi się religią najodpowiedniejszą dla więzień, bo przypuszcza on pośrednictwo świętych i aniołów między najwyższą istotą a zbrodniarzami. Z nudów usiłowałem nakoniec czytać przy słabym blasku pobożnej łojówki mojego towarzysza niewoli. Ten nie pozwolił mi jednak zbliżyć się do swojego światła; wyjąłem na los szczęścia pierwszą lepszą książkę z mojej paki i natężyłem oczu, by czytać daleko od świecy. Była to książka, przeznaczona na zwalczanie indyferentyzmu religijnego, napisana w duchu kościoła anglikańskiego, a darowana mi przez p. Holyday w Bednarówce. Otwierałem ją

w kilku miejscach; nie sposób było przeczytać dwóch stronnic do końca. Na wzór wszystkich teologów, anglikańscy także, aby przekonać niedowiarka, nie walczą jego argumentami, ale zstępują z pola racyonalizmu, i z ksiąg Objawienia usiłują udowodnić, że było objawienie. Mr. Holyday byłby się rozgniewał mocno, gdyby był widział, jak po kilku bezowocnych próbach odłożyłem na bok jego książkę, z zamiarem nieotwierania jej więcej, a natomiast począłem przeglądać przeszłoroczny numer dziennika *Times*, w który zawinął był swoje budujące dzieło. I tu niewiele znalazłem zajmującego, zwłaszcza że numer był podarty i z wszystkich ciekawszych artykułów zostały tylko fragmenta. Wtem, wśród anonsów, jeden zwrócił moją uwagę na siebie. Przypatrzyłem mu się lepiej, i ku wielkiemu zdziwieniu współlokatorów więzienia, zeskoczyłem z mojego tapczanu, zaklinając żyda, aby mi pozwolił przeczytać tylko kilka wierszy, nadzwyczaj ważnych. Żyd zapytał mię szorstko, dlaczego sobie nie sprawię świecy, skoro chcę czytać. — Bo nie mam pieniędzy, była naturalna moja odpowiedź. — Nu, pan ma rzeczy; niech pan mi sprzeda, ja dobrze zapłacę! — Skończyło się na tem, że znakomity ten spekulant, którego talent niewdzięczne społeczeństwo zamknęło w ciasnym obrębie czterech ścian więzienia, kupił u mnie nowiutką, cienką koszulę za sumę 42 ctów i za resztę swojej łojówki. Wszedłszy w posiadanie tej ostatniej, umieściłem ją tak, by mi jak najlepiej służyła, i wyczytałem:

„Anna M'Cruisher, zamężna Moulard, z Bally-leigh-Castle, w hrabstwie Kerry, w Irlandyi, lub jej dzieci, jeżeli są, wezwani są zgłosić się do p. Crisparkle, Esq., Staple Inn, w Londynie".

Jakiemuż to przypadkowemu zbiegowi okoliczności zawdzięczałem tę pierwszą w mojem życiu wiadomość z rodzinnej ziemi mojej matki. O ojcu moim wiedziałem, że nie miał żadnej rodziny; o krewnych moich w Irlandyi miałem tylko kilka niedokładnych wspomnień, opartych na opowiadaniu mojej matki. Mieć rodzinę, było to czemś tak

nowem dla mnie, tak mało licującem z dotychczasowem mojem położeniem, że myśl ta zaledwie mogła pomieścić się w mojej głowie. Rozważywszy zaś treść anonsu, nie mogłem wątpić, że pochodził on od tych krewnych, którzy niezadowoleni byli z mojej matki z powodu jej zamążpójścia, i od tego czasu zerwali z nią wszelkie stosunki. Wszak autor anonsu nie wiedział, czy Anna M'Cruisher żyje lub nie i czy miała dzieci; wiedział natomiast, że była zamężną Moulard, ale męża jej do zgłoszenia się wcale nie wzywał. Postanowiłem sobie, skoro będę wolny, zgłosić się do p. Crisparkle, i dowiedzieć się, o co chodzi. Na teraz wszelkie inne kroki, prócz tego projektu, były czystem niepodobieństwem.

Przepędziłem noc bezsenną, która mi się wydała przedsmakiem piekła. Ostatnie zdarzenia, które mię dotknęły, odebrałyby mi były sen nawet w wygodnem łóżku; w tem miejscu zaś, gdzie zostawałem, i najszczęśliwszy człowiek zasnąćby nie potrafił. Nazajutrz zaprowadzono mię do sądu, gdzie dowiedziałem się, że jakkolwiek zniesiono areszt za długi, pozostał jeszcze paragraf, dozwalający uwięzić tymczasowo dłużnika, podejrzanego o zamiar ucieczki. Otóż jakiś p. Pinkas, właściciel akceptowanego przezemnie weksłu, uzyskawszy prawomocną egzekucyę swojej pretensyi, udowodnił sądowi, że wziąłem paszport do wyjazdu za granicę, i na tej podstawie uzyskał to, iż mię przyaresztowano. Pytałem sędziego, jak długo mogę siedzieć w ten sposób, i co mam uczynić dla mojego uwolnienia. Odpowiedzią było obojętne ruszenie ramionami, wraz z radą, że najlepiej jest spłacić weksel, albo deponować pieniądze w sądzie, a zresztą, wziąć adwokata. Rozjątrzony tą zimną krwią Temidy, opowiedziałem jej przedstawicielowi jak najdokładniej, w jaki sposób stałem się dłużnikiem p. Pinkasa, i ile już zapłaciłem wczoraj i przedwczoraj na rachunek weksłu, za który Gucio Klonowski wziął pieniądze. Na tej podstawie spytałem, czy to być może, aby prawo więziło ludzi niewinnych, i nie dawało im sposobu uwolnienia się bez adwokata, którego nie każdy przecież opłacić jest w stanie. Pan sędzia

uśmiechnął się i odparł mi, że każdy uwięziony twierdzi, iż jest niewinnym, że robienie długów, których się spłacić nie może, bywa w pewnych razach uważanem jak zbrodnia lub wykroczenie, i że nakoniec sądowi nic do tego, czy kto podpisał weksel za siebie, czy na to, aby zaręczyć za drugiego. Po tem niepocieszającem oświadczeniu, kazał mię napowrót odprowadzić do więzienia; tym razem atoli, dano mi jakąś przyzwoitszą celę, gdzie znalazłem się w towarzystwie jakiegoś kupca, który właśnie po raz szósty zbankrutował był, rozpocząwszy każdym razem swój handel bez własnego kapitału, wyprzedawszy towary, i zawiódłszy swoich wierzycieli. Obecnie układał zapewnie plan siódmej kampanii, w tym samym rodzaju, i zamyślony był tak mocno, że nie rozmawiał ze mną wcale, co mi było bardzo na rękę.

Walczyłem sam z sobą: z jednej strony niepokój o Herminę, wrodzone każdemu człowiekowi pragnienie wolności, a nareszcie interes, który mi nakazywał nie zaniedbywać spraw p. Pimmelesa; z drugiej zaś strony przemawiał jakiś dziwny upór, który obudził się we mnie w skutek tego, iż rozjątrzyło mię postępowanie sądu, jakkolwiek domyślałem się, że postępowanie to było ściśle legalne. Postanowiłem nie zrobić ani kroku, póki mię sami nie uwolnią. Wykonanie tego postanowienia utrudnione było wprawdzie z jednej strony tysiącznemi niedogodnościami, których doznawałem w więzieniu, a które po największej części pochodziły z braku pieniędzy; przyzwyczajony byłem oddawna do pewnego komfortu, a tu potrzeba było kontentować się wiktem więziennym, spać na pościeli więziennej i obchodzić się bez świeżej bielizny. Lecz aby odzyskać wolność, lub przynajmniej zrobić co dla jej odzyskania, potrzeba było udać się do jedynego adwokata, którego znałem, a tym był p. Borodecki. Otóż tyle jest śmieszności w naturze ludzkiej, że wszystkie inne względy milkły u mnie na myśl, że znajdę się upokorzonym, źle ubranym, brudnym, wobec pewnego siebie i eleganckiego p. Dominika, i że korzystając z jego rady, nie będę w stanie zapłacić mu za nią. Gdyby p. Do-

minik był moim przyjacielem, byłbym zapewne nie miał tych skrupułów, ale byliśmy zaledwie dobrymi znajomymi, a dzięki jego sztywności, nie mogliśmy nigdy przełamać pewnych lodów w naszem obcowaniu.

Tak upływał jeden dzień po drugim, już przeszło tydzień byłem nietylko w więzieniu, ale też i pozbawiony najmniejszej wiadomości z świata, który był poza kratami. Nareszcie, pewnego poranku, towarzysz mój, poszóstny bankrut, wypuszczony został na wolność; nie wiem, czy złożył kaucyę, czyli też sąd nie odkrył, jak mówią prawnicy, „przedmiotowej“ lub „podmiotowej istoty czynu“ w jego przewinieniu. Faktem udowodnionym było tylko, że jego wierzyciele stracili wszystko, co mu powierzyli, że on nie miał majątku, na którym mogliby posznkiwać swojej straty. Okoliczność ta wprawiła mię w gorszą jeszcze melancholię, ale zamiast powiększyć pragnienie wolności, spotęgowała tylko mój upór. Po prostu wpadłem w jakiś stan nerwowo-chorobliwy — zdaje mi się, że gdybym był miał sposobność, byłbym niezawodnie spełnił jakiś czyn niesłychanie tragiczny, który dodałby niemało interesu opowiadaniu niniejszemu. Ale cóż mogłem zrobić nadzwyczajnego, jak tylko siedzieć zawzięcie i zadziwiać klucznika moją małomownością? Było w tem coś dziecinnego: mściłem się sam na sobie za wszystko, czego doznałem od drugich. Około południa wszedł klucznik z oznajmieniem, że mam iść do dozorcy więzienia, gdzie jest ktoś, co chce mówić ze mną. Zachmurzony i nieludzko usposobiony, poszedłem z nim. Wpuścił mię do pokoju, gdzie pierwszą osobą, którą spostrzegłem, był p. Borodecki. Chciałem się cofnąć; klucznik myśląc może, że chcę uciekać, nie puścił mię; rad nierad musiałem przywitać się z p. Dominikiem, który postąpił szybko na moje spotkanie, podając mi rękę.

— Panie Edmundzie — zawołał — czy to się godzi, nie dać przyjaciołom najmniejszej wiadomości o tem, co się stało! Chodźże pan ztąd już raz: przyjechał ktoś, co chce widzieć się z panem!

— Ja nie mam niestety przyjaciół, a pójść nie mogę, bo mnie nie puszczą.

— Ależ jesteś pan wolny; właśnie p. dozorca otrzymał rozkaz uwolnić pana natychmiast.

— Rozumiem. Przyjechał ktoś, pewnie Hermina. Złożyła pieniądze, by mię uwolniono. Było to tylko nowym dowodem jej dobrego serca, ale ja tego nie chcę. Ja ztąd nie pójdę.

P. Dominik przypatrzył mi się ciekawie i uśmiechnął się, co powiększyło jeszcze mój chorobliwy zły humor.

— Pan jesteś cierpiącym, panie Edmundzie — rzekł do mnie — ale iść ze mną pan musisz. Prawo jest równie nieubłaganem, gdy uwalnia, jak wówczas, gdy więzi.

— Ależ ja nie chcę, by za mnie składano pieniądze, ja się ztąd nie ustąpię!

P. Dominik i dozorca popatrzyli na siebie nawzajem, a ten ostatni rzekł jowialnie:

— Proszę pana, tu niema hotelu: skoro mi sąd rozkazał uwolnić pana, to niewolno mi ani chwili dłużej zatrzymywać pana w tem miejscu.

— A gdybym mimo to chciał zostać?

— To jabym pana musiał kazać wyprowadzić z więzienia.

Na taki argument nie było odpowiedzi, musiałem ustąpić. Wyszedłem z p. Dominikiem i wsiedliśmy do dorożki, która czekała na ulicy.

Na świeżem, wolnem powietrzu ochłonąłem cokolwiek i począłem żałować tego, com powiedział w dziwacznym moim humorze, a p. Dominik złajał mię po przyjacielsku za moje cierpkie słowa, zapewniając mnie o swojej życzliwości i wyrażając się z jak największem uwielbieniem o Herminie, która na wiadomość o mojem uwięzieniu pospieszyła natychmiast do Lwowa w towarzystwie pani Goldmanowej. Wiedziała przypadkiem z moich listów, że istnieje adwokat Borodecki, którego znam, i udała się wprost do niego.

— Trzeba panu zaś wiedzieć — mówił pan Dominik — że ta mała jędza, panna Starowolska, pospieszyła donieść pannie Herminie obrzydliwą plotkę, którą zrobiono z powodu pańskiego uwięzienia, i o której autorstwo posądzam Gucia Klonowskiego. Nie mając innej wiadomości, prócz tej, panna Hermina zaalarmowana była w okropny sposób.

— Jaka plotka, i o czem pan mówisz, panie Dominiku?

— Niech to pana zbyt nie martwi, co panu opowiem; świat jest taką kanalią, że w istocie niewarto sobie robić nic z tego, co on powtarza, i w co wierzy. Mało kto z nieprawników wie, że istnieją jeszcze niektóre zabytki ustawy o areszcie za długi; większość mniema, że dziś już można być uwięzionym tylko wtenczas, gdy się jest obwinionym o jaką zbrodnię. Ztąd, wszyscy wierzą bąkowi zręcznie puszczonemu, jakobyś pan sfałszował podpis Klonowskiego na wekslu.

— Ja?

— Bądźże pan spokojnym, przecież znam całą sprawę równie dobrze jak pan, i przedemną nie potrzebujesz pan tłómaczyć się, ale potrzeba będzie zrobić coś, by nie szerzono tej potwarzy. Pomyślimy o tem później. *A propos*, panie Edmundzie — dodał p. Borodecki, jakby dla odwrócenia mojej uwagi od tego niemiłego przedmiotu — co to za przecudnie piękna osoba, ta panna Wielogrodzka! Kiedy miałem przyjemność towarzyszyć jej i pani Goldmanowej do hotelu, gdzie te panie zajechały, wszyscy stawali na ulicy i oglądali się, aby się jej lepiej przypatrzyć. Co za wzrost, co za kibić, a jakie oko! Nie wiem co podziwiać w niej więcej, czy piękność, czy rozum i serce, malujące się w każdem słowie. Państwo wychowaliście się razem, wszak prawda?

— Jesteśmy rodzeństwem, wprawdzie tylko przybranem, ale brat i siostra nie mogliby lepiej kochać się nawzajem.

— Brat i siostra! — powtórzył p. Dominik w zamyśleniu. — Czy nio weźmiesz mi pan za złe jednego zapytania?

— Proszę bardzo.

— Chciałem wiedzieć, na jakiej stopie pan stoisz z panną Elwirą. Mówiłeś mi pan ostatnim razem, żeś pan z nią zerwał. Czy nie zaszła recydywa?

— O, wszystko oddawna skończone między nami. Stoję na stopie człowieka, który spadł z gwiazd, wśród których bujał, i dziwi się, że nie skręcił karku.

— Tem lepiej. Mam nadzieję, że przynajmniej jedna istota, która zasługuje na to, będzie szczęśliwą. Nie mówię tego bynajmniej, jakobym chciał panu pochlebiać, ale dlatego, że jest się szczęśliwym, gdy się osiągnie to, czego się pragnie.

— Nie rozumiem pana, panie Dominiku.

— Panie Edmundzie — odparł, biorąc mię za rękę — panna Hermina kocha pana więcej, niż rodzona siostra. Nie mam prawa wdawać się w cudze, a tak delikatne sprawy, ale mimowoli musiałem zrobić to spostrzeżenie.

— Co pan mówisz! Hermina, jak dobra, kochana siostra, pomagała mi, ile jej sił było, romansować z Elsią, kochała się w niej prawie tak mocno, jak ja. Wiesz pan, że jestem w kłopocie, jak jej to wyznać, że przestałem kochać się w Elsi; boję się, że weźmie mi to za złe.

— Ja panu więcej powiem: panna Hermina przywiozła z sobą dwadzieścia kilka tysięcy złr., bo Elsia napisała jej to wszystko, co i panu opowiadała o sumie Klonowskiego, o względach dla p. Leszczyckiej, jako jedynej przeszkodzie do waszego szczęścia, i tam dalej. Z wszystkiemi temi pieniądzmi w torbeczce, obiedwie te panie z Żarnowa wpadły dziś rano do mojego biura, i opowiedziały mi, co się stało. Posłałem do sądu, i dowiedziałem się o przyczynie pańskiego uwięzienia, o którem zgoła nie wiedziałem, bo kilka dni nie byłem we Lwowie. Więc dowiedziałem się z ust panny Herminy o plotce Elsi, potem doręczyła mi najpierw sumę, którą potrzeba było deponować na weksel Klonow-

skiego, a następnie chciała panna Wielogrodzka kupować sumę na Starej Woli i cofać licytacyę. Byłem zmuszony sumieniem mojem, jako rzecznik, zapytać się, zkąd ta ochota do nabywania sum hipotecznych, tak niezwykła u panien, i wówczas panna Hermina, uważając mię słusznie za przyjaciela pańskiego, opowiedziała mi, że pragnie tym sposobem usunąć przeszkody, dzielące pana od Elsi. Odparłem, że o ile mi wiadomo, romans ten jest zerwany, a raczej, że pan zerwałeś z panną Starowolską.

Miałem w życiu sposobność obserwowania niejednej kobiety i nie mogłem pomylić się co do wrażenia, jakie zrobiła ta niespodziewana wiadomość na umyśle panny Herminy. Panie, to była walka, wielka walka wewnętrzna, która malowała się w jej pięknej twarzy, a znaczenie tej walki zrozumiałem odrazu, znając po części wasze stosunki. Wychowaliście się razem, panna Hermina kochała pana jak siostra, kiedy pan zakochałeś się w Elsi, życzyła panu jako siostra jak najlepszego powodzenia, pomagała panu; ale wśród tego wszystkiego mimo jej wiedzy powstało w niej inne uczucie, którego zapierała się sama przed sobą, a wszedłszy już raz w ten kierunek siostrzany, łudziła się dobrowolnie, jak to kobiety umieją. Na wiadomość, żeś pan uwolnił swoje serce od więzów, które je krępowały, wybuchło to drugie uczucie, tak mocno tłumione; ale kazała mu zamilknąć, wyparła się go, a może schowała je tylko na dnie serca...

— Panie Dominiku, podobnoś czytałeś pan w wyrazie jej twarzy, jak Champollion w owych hieroglifach, które skomponował jego kopista, zniszczywszy przypadkiem oryginał!

— Mów pan, co pan chcesz, ja jestem przekonany, że się nie pomyliłem, a z czasem przekonasz się pan o tem. Całe postępowanie panny Herminy, tak, jak je widziałem, nosi na sobie cechę egzaltacyi szlachetnej, wzniosłej, ale niemającej nic wspólnego ze spokojną, chłodną, że tak powiem, miłością siostry. Nie to, co zrobiła dla pana, bo to zrobiłaby i siostra, ale to, *jak* zrobiła, *jak* mówiła, *jak* się

zachowywała, uprawnia mię do następującej konkluzyi prawniczej: „Na podstawie zbiegu okoliczności i zachowania się w czasie śledztwa, oskarżam pannę Herminę, że jest zakochaną w panu Edmundzie“.

Nie wiedziałem, co sądzić o wniosku p. Borodeckiego, i zadumałem się głęboko nad jego słowami. Przypomniała mi się owa scena w altanie w Żarnowie, gdy nas komornikowa zostawiła samych, i gdy mi przyszło na myśl, że mię „światem gonią mary“, podczas gdy powinienbym bliżej trzymać się zagrody. A gdyby tak było, jak mówił p. Dominik? Gdybym, nie wiedząc o tem, deptał, ranił i wyzyskiwał najlepsze, najofiarniejsze serce pod słońcem, zaprzęgał je w służbę moich kaprysów; gdybym dla uczuć, które tak łatwo uleciały przy pierwszem zetknięciu się z rzeczywistością, wzgardził i zapoznał uczucia tak wielkie i prawdziwe? Czarno mi się robiło w duszy na to przypuszczenie; odpychałem je ile możności, ale wracało znowu...

— Ale, ale, panie Edmundzie — zagadnął mię znowu p. Dominik — czy pan nie miałeś z sobą żadnych rzeczy w więzieniu? Nie widzę żadnego kuferka, ani nic podobnego, oprócz tej paczki z książkami.

Zarumieniłem się i z wielkiem tylko przezwyciężeniem mojej ambicyi opowiedziałem p. Borodeckiemu przygody finansowe, które towarzyszyły mojemu uwięzieniu. Śmiał się i gniewał się naprzemian, a w końcu zmusił mię do przyjęcia pożyczki, dzięki której mogłem zapłacić mój rachunek w hotelu i przebrać się, aby nie nastraszyć Herminy moją powierzchownością, w wysokim stopniu zmizerowaną przez pobyt w więzieniu i brak wszelkich akcesoryów toaletowych. Uskuteczniłem to, jak najprędzej mogłem i pośpieszyłem do Herminy. U drzwi jej uczułem dziwne bicie serca, a kiedy wszedłem, jedno i to samo zjawisko dało się dostrzedz u nas obojga. Byliśmy zmięszani, i nie wiedzieliśmy, jak się przywitać. Przed czterma, przed dwoma może laty, byłaby mi się rzuciła na szyję; przed godziną jeszcze, gdyby była tego nie uczyniła, ja byłbym przystąpił do niej i byłbym ją pocałował w twarz, bez ceremonii, bez zakło-

potania. Teraz, podaliśmy sobie ręce, i nie wiedzieliśmy, co począć z sobą, choć radość szczera błyszczała w naszych oczach.

Nie, p. Dominik nie był wcale tak złym fizyognomistą, i nie czytał hieroglifów tak dowolnie i fantastycznie, jak Champollion!

Jakie było powitanie, takie też i całe to pierwsze widzenie się nasze; nie było wprawdzie chłodu między nami, ale i mnie i Herminie odejmowała swobodę myśl, że jest przedmiot, o którym powinnibyśmy może byli pomówić, a który natomiast starannie omijamy. Czuła to nawet pani Goldmanowa, która towarzyszyła Herminie w jej podróży do Lwowa i przypisywała zapewne zakłopotanie nasze swojej obecności, bo wyszła pod pierwszym lepszym pozorem do drugiego pokoju i zostawiła nas sam na sam. Hermina obsypywała mię gorzkiemi wyrzutami z powodu, że nie doniosłem jej ani słowa o mojem uwięzieniu i o innych rzeczach, które mię obchodziły; nie mogła ona pozbyć się przywidzenia, że wszystko da się jeszcze naprawić między mną a Elsią, i nie posiadała się ze zdumienia, gdy jej opowiedziałem wszystkie szczegóły postępowania Elsi w tej sprawie. Opowiadanie moje brzmiało w istocie dziwnie w zestawieniu z dwoma ostatniemi listami, które Elsia pisała do Herminy. Jeden z nich czytałem jeszcze przed mojem uwięzieniem, drugi stał się przyczyną przyjazdu Herminy do Lwowa. Zawierał on krótkie doniesienie, że „pan Edmund narobił okropnych rzeczy, sfałszował, jak mówią weksel młodego Klonowskiego i jest uwięziony.“ Do miłej tej nowiny dołączoną była konkluzya, że „teraz już wszystko, oczywiście, skończone jest między nami“. Jak gdyby wszystko nie było skończone oddawna! Ale nie pierwszy to raz odkryłem, że Elsia mijała się z prawdą, albo że z dwóch wersyj, które dochodziły jej uszu o jakimś wypadku, rozmyślnie dawała wiarę mniej prawdopodobnej, lecz na razie dogodniejszej. Wyłuszczyłem to wszystko Herminie, objaśniłem jej, jak dalece łuski spadły mi z oczu, i zapytałem się jej, czy mogłaby przypuszczać, bym po tem wszystkiem

kochał się jeszcze w Elsi? Chciała mi coś odpowiedzieć, i wstrzymała się — począłem nalegać na odpowiedź.

— Boję się powiedzieć ci, co myślę, bo powiesz może, że mam głowę nabitą francuskiemi romansami, a jednak... jednak, zdaje mi się, że czuję, lub czułabym to, co myślę w tej chwili.

— Powiedzże mi już raz, co myślisz, wszak wiesz, ile mi zależy na twojem zdaniu w tej mierze.

— Ja myślę... że jeżeli kocha się kogoś bardzo a bardzo mocno, jeżeli go się kocha tak, jak ja to pojmuję, to chociażby ten ktoś zrobił coś strasznie złego...

— Nie przestałabyś go kochać!

Herminę opanowało wzruszenie tak silne, że nadaremnie odwróciła się odemnie i odeszła, aby je ukryć. Zrozumiałem ją — to, co powiedziała, nie było francuską historyą o kochankach złoczyńców, było to historyą jej własnego serca. Kiedy jej Elsia doniosła, że zostałem zbrodniarzem, nie uwierzyła jej może, ale nim nabyła pewności co do powodów mojego uwięzienia z ust p. Borodeckiego, rozważała zapewne, coby się stało, gdyby doniesienie Elsi było prawdziwem, i serce jej powiedziało, że kochałaby mnie zawsze... Wyznanie to z jej strony było mimowolne, i leżało nie w słowach jej, ale w tem wzruszeniu, którego doznała. Nie mogłem już wątpić o trafności spostrzeżeń p. Dominika co do natury uczuć Herminy, i nowe to odkrycie przywaliło mię swojem brzemieniem. Ja, który przez tyle lat łudziłem się nadzieją, że mię będzie kochać wybredna i na wielką damę wychowana Elsia — ja, który na gruncie duszy miałem przekonanie, że jestem godnym tej miłości, tak upragnionej, i że Elsia w swoim świecie, mając tylu młodych ludzi do wyboru, godniejszemu odemnie nie może dać serca — ja, który uważałem za rzecz zupełnie naturalną, że Hermina miała dla mnie przywiązanie siostry, czułem się tak mało godnym miłości jako jej kochanek, jako jej mąż, że w tej chwili dopiero poznałem, o wiele wyżej Hermina stała zawsze w mojem wyobrażeniu od Elsi. Nieraz, i dawniej, przyznawałem to, jakkolwiek z niechęcią,

widziałem dokładnie, jak dalece, pod każdym względem, Elsia ustępuje Herminie; ale wówczas kochałem się w Elsi, a myśl o tem, że kochać mię może Hermina, nie powstała nigdy w mojej głowie. Porównanie, które robiłem między niemi, było czemś podobnem do tego, jak kiedy kto porównuje rzecz nierozłączną od siebie z rzeczą obcą, n. p. swoją fizyognomię z twarzą człowieka bardzo pięknego. Tamta twarz piękniejsza, to prawda, ale ta — moja, a więc milsza: oto, co na dziesięciu śmiertelnych, dziewięciu powie niezawodnie w takim przypadku. Ale zdarza się, że człowiekowi i własna twarz zbrzydnie i stanie się nieznośną, że odkryje w niej tyle szkarady, iż źwierciadło będzie dla niego narzędziem tortury; powiedźcie mu w takiej chwili, że jakim cudem może pomieniać się na twarze, dajcie mu tamtą drugą, o której przyznawał, że piękniejsza, a uczucia jego będą tylko jedną tysiączną częścią tego, czego ja doznałem w chwili, gdy Hermina odwracając się odemnie, wyszła do drugiego pokoju, dając mi do zrozumienia, że kocha mię więcej, niż ja kiedykolwiek kochałem Elsię. Nadużyję może mojego porównania, chromającego, jak każde inne, ale powiem, że tak jak człowiek, któremu brzydką i nieznośną twarz zmieniono na piękną, nie byłby pewnym odrazu, czy zdoła przyzwyczaić się do nowej swojej fizyognomii, i polubić ją tak, jak niegdyś lubił tę, z którą się urodził; tak też i ja nie mogłem na razie zdać sobie sprawy z tego nowego mojego stosunku do Herminy.

Czy kocham ją, jak ona mnie? Oto pytanie, które sobie zadałem. Czy jest w uczuciach moich dla niej coś podobnego do stanu duszy, w jakim byłem, podczas gdy szalałem za Elsią? Nie — stanowczo nie. Obecność Elsi miewała dla mnie zawsze coś, co mię dręczyło prawie tyle, ile mię upajało. Spojrzenie jej, zwłaszcza to spojrzenie, które umiała zrobić szczególnie znaczącem i głębokiem, to spojrzenie, którem od czasu do czasu przykuwała mię coraz mocniej do siebie i robiła swoim niewolnikiem, ono chwytało mię za serce i ujmowało, ale był w niem zawsze odblask czegoś nieujętego, niezrozumiałego, niedoścignionego.

Czy ją widziałem we śnie, czy na jawie, miała dla mnie zawsze coś z błędnego ognika w sobie, coś, do czego jak dziecko wyciągałem dłonie, i co w tej samej chwili nikło, aby zabłysnąć znowu o sto kroków dalej. Nic podobnego nie doświadczałem nigdy z Herminą. Ciągnęło mię coś do niej, odkąd ją znałem, ale ciągnęło, nie porywało. Obraz jej tak powoli, tak słodko, tak łagodnie osiadał nieraz na moich powiekach, gdy daleko od niej, pamięcią zwracałem się ku niemu; powoli też, słodko i łagodnie, opanowała ona moją duszę i władała nad nią jeszcze od naszych lat dziecinnych. Był w tem dla mnie urok pełen swobody, wolny od wszelkiej dręczącej przymieszki. Herminę mógłbym był zastać w żywej, serdecznej nawet rozmowie z panem Borodeckim, mógłbym był widzieć ją w walcu zawieszoną na jego ramieniu, jak niegdyś Elsię, a nie doznałbym najmniejszego niepokoju, nie dlatego, by mi było obojętnem, czy pan Borodecki nie wyruguje mię z jej serca, ale dlatego, że czułem mimowoli, iż nikt mię ztamtąd nie wyruguje. Zapytywałem sam siebie, jakieby to na mnie sprawiło wrażenie, gdybym miał powód do mniemania, że Hermina kocha tego — tak strasznego niegdyś dla mnie, pana Borodeckiego. Usiłowałem wmówić w siebie, że tak jest w istocie, i uczułem ból dotkliwy w tej chwili — musiałem odpychać tę dowolną hipotezę, bo była mi nieprzyjemną. A więc — chyba kochałem się w Herminie, ale jak pogodzić z tem mój szał za Elsią, który rozwinął się i doszedł do takiego stopnia obok tej spokojnej, głębokiej, nieromantycznej miłości? Jak nabyć pewności, że coś podobnego nie powtórzy się, a zwłaszcza, jak dać tę pewność Herminie? Jak jej powiedzieć: przed tygodniem szalałem za tamtą, teraz czuję, że kocham ciebie i że będę cię kochał całe życie? Wzdrygałem się przed takiem wyznaniem, pojmowałem, że go Hermina nie przyjmie, że nie zdoła uwierzyć w to, co jej powiem, i że przejrzy mię na wskróś i zrozumie, jak mało jestem pewny siebie w tej sprawie. Należało koniecznie zostawić rzecz czasowi i zastanowić się dobrze nad sobą samym, zanimbym się odważył związać na wieki to szlachetne, kocha-

jące serce z tem, z którego Gucio Klonowski starł niedawno obraz Elsi...

Doszedłem do tej konkluzyi, gdy weszła pani Goldmanowa i rozpoczęła ze mną rozmowę. Mówiliśmy o smutnych wypadkach, które przeraziły rodzinne moje miejsce, o śmierci zacnych moich opiekunów i dobroczyńców, o niczem wesołem, jednem słowem. Pani Goldmanowa była kobietą bardzo dobrego serca, chrześcianką z obyczajów, chociaż żydówką z wyznania. Najlepszym tego dowodem były jej pasierbice — dr. Goldman miał bowiem dwie córki z pierwszego małżeństwa. Można zejść świat wzdłuż i wszerz, a nie znaleść drugiej, tak dobrej macochy, tak usilnie starającej się o to, by dzieciom męża zastąpić rodzoną matkę. Przytem słynęła p. Goldmanowa z tego jeszcze przymiotu, że nigdy nic nie obwijała w bawełnę, i cięła każdemu prawdę w oczy. Doświadczyłem tego na sobie. W toku rozmowy wyrwała mi się uwaga, co teraz zrobić z sobą może Hermina.

— To pan mnie pytasz o to — rzekła surowo pani Goldmanowa — sądziłabym, że to jest pańską rzeczą pomyśleć o tem! Czasby już raz mieć rozum, panie Edmundzie, ustatkować się i uczynić zadość obowiązkom.

— Mam nadzieję, że mi się to uda — odpowiedziałem z uśmiechem — lecz niechaj pani konsyliarzowa uwzględni, że idę prosto z kozy...

— Tak, tak, a przed kozą, co było? Dowiedziałam się od Hermińci o tych romansach pana Edmunda! To dobre, kochane dziecko chciało panu nawet kupić tę jakąś hrabiankę za żonę, i dopiero ten przystojny mecenas... jak się nazywa? wytłómaczył jej, że już się obejdzie. No, masz pan szczęście, bo byłabym panu oczy wydarła!

— Nie miałbym ich był i bez tego — odrzekłem — gdyby była potrzeba wydrapania ich...

— Oj, młodość, zielono w głowie, czas, aby dojrzało, panie Edmundzie! Jakżeż — dodała zwracając się do Herminy, która wróciła w tej chwili — czy pan Edmund obiecał, że już będzie grzecznym?

— Nie potrzebował nic obiecywać, on był i jest zawsze dobrym, poczciwym Mundkiem. Dajmy mu pokój, on i tak tyle wycierpiał!

Zbliżyła się do mnie, i oparła głowę na mojem ramieniu, a w głosie jej, wyrażającym współczucie, było coś tak głęboko i mimowoli mówiącego o własnem jej cierpieniu, że uczułem się mocno rozrzewnionym, a dumnym i szczęśliwym, iż zdawała się szukać oparcia i opieki u mnie. Staliśmy tak dość długo, a pani Goldmanowa wpadła w dobry humor, widząc nas złączonych w tej postawie.

— No, ale co pan Edmund teraz pocznie z sobą? — zapytała. — Hermińci nieboszczyk komornik wyrobił w sądzie wieloletność, na kilka miesięcy przed śmiercią. W testamencie jest legat dla pana, nie pamiętam już, w jakich warunkach i jaki. Wszak pisał panu o tem ks. Olszycki?

— Nie wiem o niczem.

— Jakto, przecież moja służąca oddała jego list na pocztę razem z listem Hermińci, w którym była wiadomość o tem smutnem zdarzeniu!

Teraz dopiero przypomniałem sobie, że listonosz doręczył mi wówczas dwa listy, i że w pomięszaniu i pospiechu, drugiego wcale nie odpieczętowałem. Został zapewne w hotelu, gdy mię wzięto do więzienia.

— Ks. Olszycki mówił, że pisze o bardzo ważnych rzeczach ... — dodała p. Goldmanowa — o rzeczach, które mu zapewne powierzył śp. komornik przed śmiercią. To źle, że pan nie otrzymałeś tego listu.

Wytłómaczyłem, w jaki sposób list uszedł mojej uwagi, i skorzystałem z tej sposobności, aby przerwać rozmowę, grożącą bardzo stanowczym zwrotem, dzięki otwartości pani konsyliarzowej. Potrzebowałem czasu na skupienie umysłu, na zastanowienie się i powzięcie postanowienia, nimbym się mógł czuć zdolnym do dokończenia tej rozmowy. Oprócz tego, musiałem czemprędzej widzieć się z p. Pimmelesem i zapewnić się co do mojej przyszłości. Hermina zatrzymywała mię i zapewniała, że wie wszystko, co jest w liście

ks. Olszyckiego; chciała pomówić ze mną o tem. Prosiłem ją, byśmy odłożyli to na kilka godzin później, i wyszedłem.

P. Pimmeles wyjechał, pisarz jego zaś powiedział mi, że po mojem uwięzieniu, nadano komu innemu moją posadę. Byłem więc na razie bez chleba. Co więcej, pierwszy znajomy, którego spotkałem i pozdrowiłem na ulicy, udał, że mię nie widzi. Kilkadziesiąt kroków dalej minąłem kilka osób, znanych mi z widzenia, i słyszałem, jak ktoś z nich wymienił moje nazwisko, a drugi dodał: „A, to ten, co sfałszował weksle! Dziwna rzecz, że już go wypuścili!“ Przyszedłszy do hotelu, musiałem wstąpić do restauracyi, aby odszukać garsona, który miał do czynienia z mojemi rzeczami. Jak gdyby los sprzysiągł się na mnie, i tu doleciała do moich uszu rozmowa, prowadzona w drugim pokoju przez towarzystwo, w którem poznałem głosy: Pomulskiego i ks. Kantymirskiego. Tamten rozpamiętywał niebezpieczeństwo wdawania się z „hołotą“, i jako przykład cytował Klonowskiego, którego podpis miałem sfałszować na wekslu. Książę potakiwał mu, dodawał jednak, że „trafił swój na swego“, bo Klonowski oszukiwał przy kartach i brał za to policzki. Pomulski z uśmiechem zapytał obecnych, czy wiedzą, że Moulard kochał się w pannie Starowolskiej, i że dlatego pewnie podpisywał Klonowskiego na wekslach, aby zrujnować rywala. Kantymirski nadmienił, że Starowolski chciał dać córkę temu Moulardowi. Jakiś hrabia pisujący komedye upatrzył w tem wszystkiem wyborny przedmiot do utworu dramatycznego i zapowiedział, że napisze wkrótce pięcioaktówkę, przedstawiającą, jak to obce żywioły wciskają się między naszą poczciwą szlachtę, wodzą ją na pasku i okradają. Płoniłem się słuchając tej całej gadaniny; chciałem wpaść pomiędzy mówiących i pociągnąć ich do odpowiedzialności, ale na szczęście wstrzymała mię myśl, że pogorszę jeszcze tylko moje położenie, bo każdy, od którego zażądam satysfakcyi, odmówi mi jej i znajdzie potem powszechne uznanie; ja zaś chcąc udowodnić, że nie popełniłem nic niehonorowego, musiałbym powtarzać to tysiąc razy na dzień. Nie potrzebuję rozwodzić się szeroko

nad sposobem, w jaki prowadzą się u nas podobne sprawy honorowe; każdy wie z doświadczenia, że nikt nie wychodzi z nich czysto, ani ten, co odmówił satysfakcyi, ani ten, co mu odmówiono. Kończy się na tem, że kto ma majątek i pozycyę, na tym wszystko przyschnie, a kto nie ma tych warunków, tego cały świat potępi. Uciekłem na górę, do mego pokoju, miotany bezsilną wściekłością. W tej chwili nienawidziłem kraju, w którym się urodziłem, nienawidziłem narodu, którego mową mówiłem, nienawidziłem ludzkości całej. Pojmowałem tego tyrana, co pragnął, aby ludzkość miała tylko jedną głowę, którąby można uciąć jednym zamachem.

Garson schował był list ks. Olszyckiego, znalazłszy go na stole, i oddał mi go na żądanie. List ten pisany był w tym samym duchu, w jakim ks. Olszycki w Żarnowie rozmawiał już raz ze mną o Herminie. Tchnął on przekonaniem, że ożenię się z nią wkrótce, i donosił mi o treści testamentu śp. komornika, którego egzekutorami byli dr. Goldman i ks. Olszycki. Testament opierał się także na przypuszczeniu, że Hermina będzie moją żoną. W takim razie, Hermina była uniwersalną spadkobierczynią, a miałem z nią wspólnie używać dochodów z majątku, wynoszących od 4 do 5 tysięcy złr. rocznie. Gdyby zaś małżeństwo nie przyszło do skutku, Hermina miała wypłacić mi 5000 złr. Oprócz tego dołączał ks. Olszycki kartkę zapieczętowaną, pisaną ręką śp. Wielogrodzkiego, która polecała mi jako rzecz sumienia, bym nigdy nie starał się dowiedzieć o właściwem pochodzeniu i rodzicach Herminy.

Gdy wróciłem do niej, p. Goldmanowa wyszła natychmiast, Hermina zaś posadziwszy mię koło siebie, zapytała, czy znalazłem list ks. Olszyckiego i czy znam treść testamentu komornika.

— Znam — odrzekłem, ze smutkiem śmiertelnym w głosie i twarzy.

— Gdyby ojciec mój żył jeszcze — mówiła ocierając łzy z oczu — byłby niezawodnie przystał na zmianę, którą chcę zrobić w jego ostatniej woli. Rodzice n a s i ułożyli

sobie byli, że mamy koniecznie pobrać się oboje, nie wyobrażali oni sobie inaczej naszej przyszłości, i w testamencie wypadek przeciwny nazwany jest wyraźnie: niespodziewanym. Dlatego też niezawodnie zostałam uniwersalną spadkobierczynią. Wierzysz mi zapewne, Mundziu, że nie wiem teraz, co począć z takiem mnóstwem pieniędzy, mnie i czwartej części tego nie potrzeba. Zróbmy więc tak, jak gdyby ziściło się przypuszczenie rodziców, i podzielmy się tym spadkiem, masz do niego równe prawo ze mną. Przywiozłam z sobą połowę, jest tu czterdzieści tysięcy w różnych papierach; weź to, Mundziu! O, nie sprzeciwiaj mi się w tem, mój drogi, nie rób tego twojej siostrze; myślałabym, że mię już nic a nic nie kochasz!

Zaklęcia jej i błagania były daremne; po dłuższej rozprawie oświadczyłem stanowczo i kategorycznie, że nie przyjmę jej ofiary pod żadnym warunkiem. Zakryła twarz rękami i zaczęła płakać. Uspakajałem ją jak mogłem; nareszcie obiecałem jej, że ile razy będę w potrzebie pieniężnej, udam się do niej. Musiałem jej dać słowo, że tak uczynię.

— Odbierzże teraz przynajmniej twój legat, ten musisz przyjąć, bo jest to ostatnia wola mojego ojca... — Tu poczęła wyjmować papiery z torebeczki, którą trzymała w ręku, i układać je na stole.

— Legat? — zapytałem nieśmiało. — Mnie się nie należy jeszcze ten legat... dany on jest warunkowo.

Spojrzała na mnie, jak gdyby mię nie rozumiała, lub rozumieć nie chciała.

— Hermińciu — odezwałem się — jestem dziś tak złamany, tak dotknięty i wewnętrznym bolem, i tem, czego doznałem od ludzi, że jeżeli to, co ci powiem, będzie brzmiało krótko i sucho, to nie tłómacz sobie tego brakiem uczucia, ale brakiem słów z mojej strony. Widzisz, że cierpię nawet cokolwiek fizycznie, zaledwie zdołam mówić, cierpkość, którą mam w sercu, krtań mi ściska. Chcę ci powiedzieć, że legat komornika przeznaczony mi jest na

wypadek, gdybyśmy się nie pobrali. Mam nadzieję, że wypadek ten nie zajdzie...

Postanowiłem sobie był, nie zdradzać się przed nią, że się domyślam jej uczuć w tej mierze. Postanowiłem był powiedzieć jej, że ją błagam, by spróbowała, czy nie zdoła mię kochać nie jak siostra, ale jak narzeczona. Jej serce udaremniło tę zgóry obliczoną moją obłudę.

— Więc ty mię kochasz, więc mię nie zostawisz samej! — zawołała, pochylając się ku mnie. — Ale nie, to być nie może — dodała natychmiast, zwieszając smutnie głowę — choćbyś mi to powiedział, byłabym pewną, że się łudzisz, że mówi z ciebie współczucie, litość...

— Jestem w trudnem położeniu wobec ciebie, Hermińciu, nie nadużywaj twojej przewagi. Wiem ja dobrze, że masz prawo powiedzieć mi, iż od siedmiu lat, kochając ciebie jako siostrę, kochałem się w innej, szalałem za nią. Masz prawo powiedzieć mi, że nie umiem sobie zdawać sprawy z moich uczuć, że nie kochałem ani Elsi, ani ciebie nie kocham. Do wszystkiego tego masz prawo, a jednak, choć nie umiem ci wytłómaczyć, dlaczego, czuję, że nie mógłbym znieść myśli rozstania się z tobą na zawsze, ani też, byś poszła za mąż za kogo innego. Ale ty musisz mieć pewność, że tak jest w istocie, a pewność tę może ci dać tylko czas. Jeżeli mię nie odepchniesz, wrócę za rok, za dwa, kiedy zechcesz, kiedy pozwolisz... Dziś, gdyby nic więcej nie zachodziło, nie śmiałbym robić cię moją żoną. Jestem bez chleba, bez pozycyi, gorzej jeszcze, jestem paryasem tutaj, człowiekiem napiętnowanym hańbą.

Tu opowiedziałem Herminie moje doświadczenia dzisiejsze, ale gorycz ich zrobiła na niej mniej wrażenia, niż sądziłem.

— Cóż nam to szkodzi, co tacy ludzie mówią! — rzekła. — Niech cały świat powstaje przeciw temu, którego kocham, ja go kocham dla siebie, a nie dla świata.

— Lecz obowiązki moje, a twoje, są zupełnie inne. Ja ci mam dać nazwisko, egzystencya twoja rozpłynąć się

ma w mojej, będą cię znali tylko jako żonę człowieka, o którym mówią, że fałszował weksle...

— Cóż zamierzasz zrobić?

— Rodzina moja w Anglii wzywa mię, abym się zgłosił. Pojadę tam, będę usiłował zdobyć sobie tam jakie stanowisko, a zdobywszy je, wrócę po ciebie, i wyjedziemy ztąd, nieprawdaż, porzucimy te obrzydłe stosunki!

— O nie, nie zrobisz tego, nie zrobisz!

— Jak to, Hermińciu?

— Pojedziesz, ale wrócisz, i zostaniemy tutaj! Kraj jest wielki, obmowa nie dosięgnie cię wszędzie, a czas postawi we właściwem świetle twoich nieprzyjaciół, czas zedrze z nich maskę. Prawda, że ty tego na seryo nie myślałeś, by opuścić kraj na zawsze!

— Ten kraj? Kraj lichych arystokratów, głupich szlachciców i przewrotnych demagogów! Cóż mię z nim wiąże!

— A... ta piosneczka! — I popatrzywszy mi w oczy, znowu oparła głowę na mojem ramieniu, jak to uczyniła rano; ale oparła ją, nucąc melodyę, którą niegdyś dziećmi w Żarnowie śpiewaliśmy z zapałem w ogródku przed domem, ku niesłychanemu zgorszeniu c. k. kreishauptmana.

— Ta piosneczka, i ty!... — odrzekłem, całując ją w czoło; i tak błogo, tak dobrze mi się zrobiło, tak się gdzieś rozwiały wszystkie zgryzoty i zmartwienia tego dnia, jak gdyby lata upłynęły między chwilą, w której literacki hrabia widział we mnie przedmiot do tendencyjnej komedyi, a tym pocałunkiem...

ROZDZIAŁ VI.

Mr. Crisparkle, Esq., Scraple Inn, London, odpowiewiedział natychmiast na list, który mu napisałem z powodu anonsu, znalezionego w *Timesie*. Zażądał autentycznego odpisu dokumentów, dowodzących, że jestem synem Anny

M'Cruisher, oprócz tego zażądał mojej fotografii, a nakoniec i wskazania mu osób znajomych, któreby mogły poświadczyć tożsamość mojej osoby. Wysłałem legalizowane kopie moich dokumentów, i wskazałem dra Goldmana i ks. Olszyckiego w Żarnowie jako ludzi, którzy znali moją matkę i mnie od dzieciństwa, a p. Dominika Borodeckiego jako prawnika, przez którego można zasięgnąć potrzebnych urzędowych informacyj. W skutek tego, w tydzień później, zgłosił się do mnie woźny z banku i doręczył mi pismo, z którego wynikało, iż mam odebrać w tym zakładzie sumę 150 funtów, a równocześnie pisał mi p. Crisparkle, bym się zgłosił do niego; Scraple Inn, Bethnalgreen, London — i nic więcej. Po pięciu dniach fiakier londyński wiózł mię z dworca kolei do Bethnalgreen, i zawiózł mię na rodzaj placu, dość podobnego do małego podwórza brukowanego wkoło, a w środku ozdobionego czterma okopconemi dymem węglanym drzewkami, na których świegotały dwa wróble. Wśród gęstej mgły, przez którą zdawało się, że potrzeba siekierą torować sobie drogę, spostrzegłem, że plac ten otoczony jest ze wszystkich czterech stron dwupiętrowemi domami, zdającemi się tworzyć jeden kompleks, i że pojawienie się fiakra musiało być w tych stronach zdarzeniem dość wielkiej wagi, bo przez mgłę kilka dwunożnych istot gapiło się na mnie dość ciekawie. W jednej z tych istot, na podstawie reminiscencyi z ilustrowanych czasopism, rozpoznałem konstabla, a z *Bädekera* wiedziałem, że chcąc dowiedzieć się czegokolwiek w Londynie, najlepiej udać się do takiego stróża bezpieczeństwa. Zapytałem go tedy o pana Crisparkle, Esquire — a gdy nie mógł zrozumieć, czego chcę, z powodu, iż był Szkotem, nim został konstablem, pokazałem mu adres pisany. „Ao! yes!“ była odpowiedź, poczem wygłaszając „Crisparkle“ mniej więcej jak „Kra-kra!“ wskazał mi dom, gdzie na drugiem piętrze mieszkał właściciel tego pięknego nazwiska. Zostawiłem mój kufer i torbę u fiakra, i wyszedłszy na drugie piętro, dostałem się do wielkiego pokoju zastawionego szafami, w których były papiery, wskazujące, że znajduję się w jakiejś kancelaryi.

Mały jegomość, dość już siwy, otyły, z czerwoną, apoplektyczną fizyognomią i w bardzo wytartym czarnym garniturze, zapytał mię, czego chcę.

— Mr. Crisparkle — odpowiedziałem, wymawiając *i* tak, jak sądziłem, że wymawia się w tem miejscu.

— Możebyś pan — rzecze mały jegomość, patrząc na mnie pogardliwie z dołu do góry — z góry na dół nie mógł, bo byłem o cały łokieć wyższym od niego — możebyś pan raczył rozszerzyć szczęki nieco więcej i wymówić: „Krajspakl".

— I owszem, panie, życzę sobie widzieć pana „Krajspakl" — odrzekłem, medytując w pokorze ducha nad tem, czy nielepiej byłoby w słowie *Crisparkle* dopisać *a* tam, gdzie go nie dostaje, a opuścić *r* i *e* tam, gdzie są zbyteczne, a to w tym celu, by nieznajomi osobiście mojemu adresatowi mogli wiedzieć, nietylko jak on się pisze, ale także, jak się nazywa.

— Pańskie nazwisko?

Podałem mu mój bilet — wyszedł do drugiego pokoju i po chwili wrócił, wskazując mi giestem, że mogę tam wejść. Był to duży frontowy pokój o dwóch oknach, umeblowany z pewnym konfortem, tak, że mógł służyć jednocześnie za biuro i za pokój do przyjmowania gości. Gdy wszedłem, podniosło się od biurka i postąpiło naprzód na moje przywitanie coś nakształt ogromnej tyki od chmielu, na którejby fantazya chmielarza zawiesiła tabaczkowy długi surdut i takież, ale krótkie pantalony. Jeżeli pierwszy jegomość był o łokieć krótszy odemnie, to ten miał swoją czuprynę najmniej dwa łokcie nad poziomem mojej; składała się zaś ona z piętnastu włosów, sterczących sztywnie w piętnastu rozmaitych kierunkach. Na szyi miał ogromny biały halsztuk, w który chowała się spiczasta, gładko ogolona broda, gdy patrzył na dół. Zdarzało mu się zresztą dość rzadko, zwykle bowiem wpatrywał się w najbliższe swoje sąsiedztwo, t. j. w sufit.

— Jak się pan miewa? — zagadnął mię. — Spodziewam się, że masz się pan całkiem dobrze!

— Wybornie, dziękuję panu.

— Chciéj pan usiąść — rzekł, wskazując mi fotel. — To pan jesteś p. *Meulerd?*

— Moulard, Edmund Moulard.

— Nie sądziłem, bym powiedział co innego. — To mówiąc, otworzył sekretarzyk, wyjął z niego kilka książeczek z notatkami, z tych wybrał jednę, włożył na nos ogromne okulary w złotej oprawie, przysunął sobie fotel naprzeciw mojego, usiadł, i zaglądnął do swojej książeczki.

— Maulerd — rzekł — tak, to jest. Zaraz. Rodzeństwo. Masz pan żyjące rodzeństwo?

— Nie mam.

Mr. Crisparkle przemazał ołówkiem coś w swojej książeczce i czytał z niej dalej:

— Podobieństwo. Tak, to jest, podobieństwo. Panie Yawler!

Wszedł mały gruby jegomość z pierwszego biura.

— Chodź pan tu, stań pan tu, koło mnie. Patrz pan tam, i powiedz mi pan, czy widzisz pan podobieństwo.

— Uderzające — rzekł Mr. Yawler.

— Do kogo?

— Do Master Archibalda [1]), syna lorda Kenmare. Jota w jotę tak wyglądał, na miesiąc przedtem, nim skręcił kark na wyścigach w Loughrea. Mój młody panie, czy siedzisz pan dobrze na koniu?

— Siedzę w tej chwili na fotelu — odparłem, zniecierpliwiony dziwaczną tą procedurą.

— Cicho, Yawler — odezwał się p. Crisparkle.—Możesz pan odejść.

Yawler odszedł, ale nie mógł wytrzymać, aby mi po drodze nie szepnąć w ucho, bym się dobrze trzymał na

---

[1]) Master (wymawiaj pełne *a*) panicz, syn pana. Starsi synowie lordów — parów Anglii, Szkocyi i Irlandyi urzędownie mają prawo tylko do przydomku Honourable i noszą nazwisko rodowe, n. p. w tym wypadku: Honourable Archibald M'Cruisher. Z grzeczności atoli mówi się: Master of Kenmare, to jest panicz czyli dziedzic z Kenmare i adresuje się nawet listy w ten sposób.

koniu, bo mam fizyognomię predestynowaną do skręcenia karku, a on zna się na tem, tj. na fizyognomiach.

— Czy oni mię tu sprowadzili na dżokieja?— pomyślałem sobie.

P. Crisparkle tymczasem zaglądnął znowu do swojej książeczki, nakreśliwszy w niej poprzednio coś ołówkiem:

— Francuz. Tak, to jest. Czy pan jesteś Francuzem?

— Nie panie, jestem Polakiem.

P. Crisparkle przemazał znowu coś w swojej książeczce, zamknął ją i odniósł do biurka, poczem wrócił.

— Doskonale!—rzekł—teraz, gdy interesa pokończone, możebyś pan zechciał zjeść ze mną śniadanie?

Nie rozumiałem, jakim sposobem interesa mogły być pokończone, skoro jeszcze nie były zaczęte, jak mi się zdawało. Ale cóż było robić?

Pan Crisparkle, skoro oświadczył, że interesa pokończone, stał się nierównie mniej lakonicznym. Dowiedział się, nie bez pewnej uprzedzającej grzeczności, że nie mam jeszcze mieszkania, i wyprawił p. Yawlera, aby zapłacił fiakra i kazał przenieść moje rzeczy do hotelu, który znajdował się po drugiej stronie podwórza, czy placu, zwanego Scraple Inn. Po chwili pojawił się garson i przyniósł śniadanie, do którego zabrałem się z wilczym apetytem. Wypiłem przytem więcej wina, niż kiedykolwiek w życiu. Gdy p. Crisparkle uważał, że pierwszy głód mój zaspokojony, zapytał mię znienacka, czy wiem, poco przyjechałem do Anglii?

— Domyślam się, że anons, który znalazłem w dzienniku *Times*, pochodzi od tutejszych krewnych mojej matki — więcej nic nie wiem.

— A czy wiesz pan, kto są ci krewni?

— Nie mam o tem dokładnego wyobrażenia. Póki żyła moja matka, byłem za młody, by mię wtajemniczała bliżej w swoje stosunki rodzinne. Słyszałem od niej tylko, że miała brata, który nazywał się Jonathan, i któremu dawano przydomek *Sir;* słyszałem także, że był to człowiek dość twardego serca i cokolwiek skąpy. Wiem także, że

matka moja miała ciotkę, która ją bardzo kochała, i która zwała się Miss M' Cruisher. Ciotka ta umarła na kilka lat przed mojem urodzeniem, i zostawiła mojej matce wszystko, co miała, to jest, około tysiąca funtów szterlingów. Z papierów, pozostałych po mojej matce, wiem nadto, że ojciec jej tytułował się kawalerem [1]) O'Brean i był właścicielem ziemi w hrabstwie Kerry, gdzieś nad samym brzegiem oceanu Atlantyckiego.

— Wiesz pan tedy mniej więcej wszystko, co można wiedzieć. Instrukcye moje nie polecały mi wprawdzie stawiać panu innych zapytań, prócz tych, które postawiłem przed chwilą, ale ponieważ to nie jest godzina urzędowa, i klient mój za to nie płaci, więc równie jak o czem innem, możemy pomówić o tem, co pana obchodzi. Otóż masz pan wiedzieć, że brat pańskiej matki, Sir Jonathan M' Cruisher, kawaler O' Brean, od trzech lat odziedziczył baronowstwo Kenmare, po starszej linii swojej rodziny. Będziesz go pan przeto tytułował milordem; inaczej wziąłby to panu za złe, rozumiesz pan? Zresztą, tytuł ten należy mu się, i jeżeli kto przez sześćdziesiąt siedm lat był tylko zamożnym szlachcicem irlandzkim, to na starość nic dziwnego, że chce jak najczęściej słyszeć nowy swój tytuł. Uczyniłbyś pan bardzo dobrze, gdybyś mu pan dał do zrozumienia, iż jego awans w poczet parów irlandzkich sprawił wielkie i radosne wrażenie tam w Polsce, a mianowicie w pańskiem hrabstwie...

— To jest, chyba w moim p o w i e c i e. My tam w Galicyi mamy tylu hrabiów, że hrabstw dla nich nie nastarczylibyśmy. Robimy ich dyrektorami banków lub teatrów.

---

[1]) Kawaler, *knight* — w Anglii najniższy przed esquirem tytuł szlachecki, niedziedziczny i dodawany zawsze tylko po nazwisku rodowem. W Irlandyi ma on wyższe jakkolwiek przez rząd oficyalnie nieuznane znaczenie i używany bywa dziedzicznie przez naczelników niektórych starych rodzin krajowych z dodaniem nazwy, wziętej od straconego już najczęściej majątku, n. p. *the knight of Gwynne.* Jeden z Fitzgeraldów nosi dotychczas tytuł *knight of Kerry,* a królowa sankcyonując niejako tę popularną godność, nadała mu dziedziczny angielski tytuł baroneta, równie jak tytuł kawalera, uprawniający do używania przydomku *Sir* przed imieniem chrzestnem.

— W istocie? Wiesz pan? Sądzę, żepolubię pana, bo nie lubisz pan arystokracyi, jak ja. Prawdę powiedziawszy, nie lubię i pańskiego wuja, jakkolwiek, a może i dlatego, że jestem jego poborcą i ajentem. Scraple Inn należy do jego majątków, i odziedziczył mię wraz ze swojem baronowstwem; od tej chwili nie przestałem powtarzać mu przy każdej sposobności, że go nienawidzę, i że jest gagatkiem bez serca, bez mózgu, i bez podagry. Ale wuj pański wyobraża sobie, że ma podagrę, jak gdyby jej można dostać z wołowiny irlandzkiej! Od trzech lat nie wstaje z łóżka, i ma się za paralityka, wyjąwszy wtenczas, gdy ugania po pokoju za swoim Daniělem i okłada go pięściami.

— Przedstawiasz mi pan mojego wuja z tak ponętnej strony, że mam ochotę dotrzeć czemprędzej do pierwszego lepszego parowca i wracać za morze, zkąd przyjechałem!

— Nie czyń pan tego. Lordowi Kenmare przyszła fantazya do głowy, a jego fantazye są trwałe, jak pan widzisz ztąd, że od trzech lat leży w łóżku na imaginowaną podagrę, i że od trzydziestu lat wymienia codzień ze swoim Danielem największe grubijaństwa, na jakie zdobyć się może język angielski, w poprawnem wydaniu z nad Shannonu. Trzecia, czy trzynasta, czy trzydziesta jego fantazya, jest czułej natury. Miał kiedyś syna, którego pamiętam dobrze, był to wielki pędziwiatr, ale lubili go wszyscy, a gdy skręcił kark na wyścigach, lat temu dwadzieścia, wszyscy żałowali go niezmiernie, prócz ojca. Ówczesny kawaler O' Brean nie dbał o potomstwo, a na słodyczach ojcowstwa zależało mu tyle, co mnie na przyjaźni wielkiego wezyra w Oude. Odkąd atoli został lordem i położył się do łóżka, przypomniał sobie tego chłopca tak żywo, tak gorąco, że posądziłbym go prawie, iż obudziło się w nim serce, gdybym nie wiedział, że jest to fantazya, stojąca na równi z jego podagrą.

— Jesteś pan strasznym sceptykiem!

— Powiedz mi pan, cobyś pan sądził o starej babce, któraby wpadła nagle w rozpacz z powodu, iż zapomniała odwzajemnić miłość pewnego młodzieńca, gdy miała lat

szesnaście? Bądź co bądź, lord Kenmare, ile razy nie zalewa się miksturami, nie ugania za Danielem lub nie słucha jego narzekań i łajań, fantazuje ciągle o młodym chłopcu, któryby miał rysy jego syna, i któremuby mógł zostawić swój tytuł i swoich trzydzieści kilka tysięcy funtów dochodu. To było powodem poszukiwań, czy przypadkiem odepchnięta przed laty siostra nie zostawiła potomstwa. Fotografia pańska, którą zażądałem i którą pan nadesłałeś, rozstrzygnęła kwestyę. Jesteś pan podobnym jak dwie krople wody do Master Archibalda, co skręcił kark w Loughrea i mam tylko jeszcze polecenie, przebrać pana w taki sam kostium, jaki on nosił, gdy go ojciec widział po raz ostatni. Wdziejesz pan tedy surdut biały z wielkiemi rogowemi guzikami, pantalony *szamoa* w wielkie brunatne kraty, niebieską aksamitną kamizelkę w srebrne i złote kwiaty, szmaragdową krawatę z wielkim węzłem, który ma być krótszy z lewej strony niż z prawej i trzewiki z żaglowego płótna, okładane lakierowaną skórą. Co do nakrycia głowy nie mam instrukcyi. Wszystko to jest gotowe i czeka na pana; potrzeba tylko, aby krawiec przystosował suknie do pańskiego wzrostu, co uskuteczni niezawodnie, nim oznajmię pańskie przybycie lordowi Kenmare.

Dałem zrobić z siebie wszystko, czego chciano, i za parę godzin wyglądałem tak, że śmiech spazmatyczny porywał mię, ile razy spojrzałem w zwierciadło. Brat mojej matki był widocznie dziwakiem z natury, lub starał się nim być, co zresztą sprawiało jeden i ten sam skutek. Wieczór p. Crisparkle zawiózł mię na jednę z ulic sąsiadujących z Grosvenor-Square, w najarystokratyczniejszej części Londynu i wprowadził mię do dużego dość domu, zamieszkanego wyłącznie przez mego wuja. Kręciło się tam wiele służby w liberyi, a wszystko patrzyło na mnie jak na raroga; w istocie bowiem kostyum mój wyzywał w szranki zuchwale i modę, i porę roku... W salonie wyszedł naprzeciw nas kamerdyner w czarnym surducie, z miną człowieka niezmiernie niezadowolonego. Na mój widok wytrzeszczył on oczy, przeżegnał się i wezwał na pomoc któregoś z ir-

landzkich świętych. Domyślałem się, że był to ów sławny Daniel, a w skróceniu Dan, który służył mojemu wujowi za przedmiot ćwiczeń filologicznych i gimnastycznych. Gdy się zbliżyłem do niego, pierzchnął przedemną, jak przed dyabłem, i z wielkim krzykiem poleciał do swego pana, gdzie zastaliśmy go w obronnej pozycyi za łóżkiem, na którem leżał mój wuj w szlafroku i z nogami obwiniętemi flanelą tak, że wyglądały, jak dwa wory z bawełną.

— Czy przestaniesz raz krzyczeć, ty przeklęty bałwanie hotentocki! Lepiej popraw lampę, bo kopci — ozwał się lord Kenmare.

— Coby też nie kopciło w tym pogańskim domu, tu kopcą wszystkie zakamarki, jak nic chrześciańskiego, a umarli spacerują sobie po pokojach, ot tak, jak lord-namiestnik po zamku w Dublinie! O, patrz pan, patrz! — wołał Dan, pokazując mię palcem, podczas gdy jego włosy szpakowate, z natury najeżone, były w dziwnej harmonii z przestrachem, malującym się na jego twarzy. Lord Kenmare popatrzył na mnie i na p. Crisparkle, i zerwał się z łóżka, jak gdyby w istocie nigdy nie cierpiał na podagrę.

— Mój chłopiec! Mój drogi chłopiec! Chodźże, niech cię uściskam!

Lecz nagle twarz jego przybrała wyraz surowy, popatrzył w oczy p. Crisparkle i zapytał go:

— Czy pan jesteś zupełnie pewnym, że ten chłopiec nie jest fałszowany? (że jest *genuine*, jak np. sos Batty'ego).

— Nie nudź mię pan, milordzie — odparł p. Crisparkle. — Masz pan papiery w rękach i wiesz pan tak dobrze jak ja, że jest to p. Edmund Meulerd, czy Moelloer, czy jak tam, niech pana kaci porwą, wraz z Francuzami, z francuzczyzną, i z akcentem francuskim! Nie mówię tego o pańskim siostrzeńcu, specyalnie! Oto jest: Chciałeś go pan mieć w kostyumie, w jakim przed dwudziestą laty wyjeżdżano na skręcenie karku, masz go pan!

— Więc to nie jest Master Archibald, który wstał z grobu? — zapytał Daniel z niedowierzaniem.

— Mówię ci trutniu, milcz, i popraw lampę, przekleństwo na twoje oczy! *(God'dam your eyes!)* — zawołał milord.

— Moje oczy są chrześciańskie oczy, i spodziewam się, że nie będą przeklęte nawet między poganami!

Spojrzenie pogardy, towarzyszące tym słowom Daniela, należało się w trzech czwartych częściach panu Crisparkle, a w jednej czwartej części mnie. Daniel zdecydował się nareszcie wyleźć z za łóżka i poprawić lampę, przyczem uważał jednak, by jak najmniej zbliżać się do mnie. Mimo wszelkiej ciekawości i wszelkiego zajęcia, jakie budzilo we mnie to pierwsze widzenie się z moim wujem, snuły mi się w tej chwili po głowie myśli — historyozoficzne. Patrząc na tego Irlandczyka czystej krwi, wierzącego w duchy, zdawało mi się, że rozumiem, dlaczego ojczyzna mojej matki nie wytrzymała nacisku rasy saksońskiej. Być może, że przypomniała mi się i m o j a ojczyzna... mocno wierząca w różne „duchy". W ogóle, kto kiedykolwiek był „duchem", lub udawał „ducha", ten miewa czasem dziwne wyobrażenia o wierze ludzkiej...

Refleksye te moje przerwał Dan, poprawiając lampę, której światło padło pełnym strumieniem na wyprostowaną postać mojego wuja. Teraz — przyszła na mnie kolej cofnąć się i uczuć coś nakształt dreszczu, jaki wywołuje u nas bądź prosty zabobon i dobroduszna powszednia wiara, bądź też przypadkowy rzut oka w ową nieskończoność, w której zagadkowem łonie spoczywają niedosiągnięte umysłem naszym tajemnice bytu i nicestwa światów, tajemnice, zmierzone niby naszemi cyrklami, zważone na naszych wagach, a jednak... wiecznie niezbadane. Lord Jonathan Kenmare był nader komicznym, póki widziałem tylko jego szlafrok i jego flanelowe nogi, ale gdy zielone szkło lampy oblało trupim blaskiem rysy jego twarzy, znikł cały humor tego oryginalnego spotkania i cała scena przybrała dla mnie wbrew akcesoryom swoim zakrój uroczysty, grobowy, święty... Krótko mówiąc, był on tak podobnym do mojej matki, fizyognomia jego tak wybitnie przypominała mi jej oblicze w chwili, gdy widziane poraz ostatni, na wieki utkwiło

w mojej pamięci — że musiałem być przejęty czcią mimowolną, i że nader boleśnie dotknęła mię karykaturalnym kontrastem swoim następna rozmowa.

— Czy wszystko jest w porządku, p. Crisparkle? — zapytał mój wuj.

— Wszystko.

— I... on nie jest Francuzem?

— Nie. Zrobisz pan zresztą najlepiej, gdy się spytasz jego samego.

— A jeżeli to humbug?

— Lordzie Kenmare — odparł p. Crisparkle — mówiłem panu tysiąc razy, że nie jestem mamką irlandzką, którą można nudzić, ile się panu podoba. Mówiłem panu tysiąc razy, a powtarzam to raz jeszcze, że Józef Crisparkle, Esquire, nie robi interesów nierealnych. Chciałeś pan mieć spadkobiercę naturalnego, któryby nadto był podobnym do pańskiego syna. Pytałem się pana, czy to nie jest prosta fantazya z pańskiej strony, i czy w ostatniej chwili, nie podoba się panu zapisać majątku na rzecz jakiego towarzystwa, zajmującego się dostarczaniem pieluch i papek dla niemowląt Bedżuańskich w południowej Afryce. Przysiągłeś mi pan, że nie. Na tej podstawie zająłem się wyszukaniem tego oto dżentlmana, sprawdziłem wszystkie dokumenta i zanudziłem prawie na śmierć cały personal legacyi austryackiej, nim nabyłem zupełnej pewności w tej mierze. Wszystko było gotowe, i ten pan był już w drodze do Londynu, kiedy nagle przypomniałeś pan sobie, że nienawidzisz Francuzów i to z bardzo ważnego powodu, o ile mi wiadomo, albowiem w dziewiątym roku pańskiego życia wyłoił panu skórę guwerner pański, Francuz, za to, że pan omal nie wydrapałeś oczu matce tego oto dżentlmana. Powiedziałem panu odrazu, że teraz nie czas już na wznawianie takich sporów międzynarodowych; mimo to, dla zaspokojenia swoich uczuć, chciałeś pan dowiedzieć się, czy p. Edmund nie poczuwa się do narodowości francuskiej. Nonsens. Ja, Crisparkle, mógłbym być synem Wielkiego Mongoła, ale ponieważ urodziłem się w Piccadilly, więc jestem i czuję się Angli-

kiem, a ten oto dżentlman, urodziwszy się w Polsce, nie może być Francuzem. Dosyć tedy tych żartów. Oto jest syn pańskiej siostry i kwita.

— Jak sądzisz, Dan — zapytał konającym niby głosem mój wuj, położywszy się napowrót na łóżku i okrywszy starannie swoje nogi — jak sądzisz o tem, co mówi Mr. Crisparkle?

— Sądzę, że pan robisz waryatów ze wszystkich, którzy pana otaczają, i z siebie samego.

— Mówilibyście wszyscy inaczej, gdybym ja nie był takim biednym, chorym nędzarzem, jakim jestem! Ale dobrze. Dobrze już, dobrze, niech będzie tak, jak chcecie. Ten młody człowiek niech będzie moim siostrzeńcem, i niechaj pan, panie Crisparkle, poczyni wszystkie kroki, abym go mógł adoptować natychmiast, i aby otrzymał indygienat Zjednoczonych Królestw. Gdy umrę, będzie piątym lordem Kenmare, i setnym kawalerem O'Brean, i mam nadzieję, że skorzysta ze swojej pozycyi, aby roztłuc czaszkę temu wielkiemu bawołowi, Danielowi. Polecenia moje są dane, dobranoc.

To rzekłszy, wuj mój wyciągnął rękę do pana Crisparkle, i obrócił się do nas plecami. Prawnik ruszył ku drzwiom, ja poszedłem za nim, a Daniel odprowadził nas obydwóch. Doznawałem tego przykrego wrażenia, jakie się miewa, gdy się zwiedza dom obłąkanych. Nie miałem najmniejszego pojęcia o tem, co się ze mną stanie. Różne domysły kręciły mi się po głowie, a między niemi przeważał ten, że p. Crisparkle w spółce z Danielem, mając jakiś własny swój interes w tem, by lord Kenmare miał spadkobiercę, opanowali słaby umysł chorego dziwaka i wymogli na nim to, aby mię sprowadził. Jednym rzutem oka odgadłem smutną rolę, na jaką będę skazany. Gdyśmy byli w drugim pokoju, wuj zadzwonił. Dan wszedł do niego i wrócił natychmiast, prosząc pana Crisparkle jeszcze na dwa słowa do jego lordowskiej Mości. Pan Crisparkle poszedł i wrócił po chwili w najgorszym humorze; pożegnał mię sucho i oddalił się do domu. Zostałem sam na sam z Danielem.

— Wróćże pan jeszcze do niego — ozwał się do mnie stary sługa — kazał pana zawołać. Nie bój się pan — dodał, widząc, że się waham — nie jest on takim złym, jak się wydaje. Idź pan, idź. — To mówiąc, wepchnął mię do pokoju.

— Edmundzie, pójdź tutaj — przemówił wuj do mnie zmienionym zupełnie głosem. Zbliżyłem się nieśmiało. Wziął mię za ręce i począł wpatrywać się we mnie długo i uważnie. Oczy jego, zrazu dość podobne do oczu obłąkanego, przybrały powoli wyraz łagodny, prawie rzewny. Nakoniec, dwie wielkie zły potoczyły mu się po policzkach.

— Mój chłopcze — rzekł — jeżeli masz choćby najmniejszy ślad tego, co nazywają sercem, nie pokazuj tego nigdy ludziom. Uchwycą cię za tę słabą stronę i wyprowadzą cię w pole. Nie sprzedasz dobrze konia, ani nie dostaniesz dobrej żony, skoro się ludzie domyślą, że masz serce. Czy kochasz się?

— Tak panie.

— I miałeś serce dla niej, poznała je w tobie?

— Niebardzo — odparłem — ale będę je miał, będę.

— To źle zrobisz. Będziesz jej sługą całe życie. Ja mam lat siedemdziesiąt, i nikt u mnie nigdy nie odkrył serca. To też...

— To też jesteś pan sam na świecie, o ile wiedzieć mogę...

— Ale ja nie chcę już być sam, ty musisz zostać ze mną. Czy sądzisz, że przywiążesz się do mnie?

— Milordzie, to pytanie jest tak dziwne, jak wszystko, co ci się podobało zrobić ze mną dotychczas. Nie wiem jeszcze, czy nauczę się kiedy myśleć w języku, którym rozmawiamy; odwykłem od niego i zespoliłem się z innym. Jestem pańskim krewnym, ale nie ziomkiem. Cóż tu jeszcze mówić o przywiązaniu?

— Wiesz ty, że mam trzydzieści pięć tysięcy funtów dochodu?

— Wiem. Masz go pan trzydzieści pięć tysięcy razy więcej odemnie.

— Jesteś żebrakiem, i chcesz się żenić?

— Tak.

— Czy bardzo pilno?

— Przeciwnie. Są powody, dla których muszę i chcę poczekać.

— Jak długo?

— Rok, może dłużej.

— Zróbmy układ. Ja chcę, abyśmy nawzajem przywiązali się do siebie, bo... bo byłem złym bratem dla twojej matki, i przyznaję to, chociaż nie mam zamiaru spowiadać się przed tobą. Po dwóch latach, albo zostaniesz ze mną, albo wrócisz do twego kraju. Gdy zostaniesz, zapiszę ci połowę mojego majątku, gdybyś chciał mię porzucić, zapiszę ci wszystko. Zgoda?

Mamże malować dalej tę niemiłą mieszaninę nienaturalnego, afektowanego dziwactwa, egoizmu i zapóźno obudzonej potrzeby przywiązania, którą odkryłem w moim wuju? Z nudów i braku jakiegokolwiek przedmiotu, któryby go zajmował, popadł on był już od lat w cały szereg najrozmaitszych bzików. Z tych jedne rodziły się mimo jego woli, inne znowu były obliczone na efekt; spostrzegłem bowiem wkrótce, że lord Kenmare lubił, gdy wspominano, iż słynie jako oryginał rzadkiego bardzo rodzaju. Spostrzegłem także, że jego system filozoficzny, polegający na tem, iż nie powinno się okazywać ludziom ani śladu serca, był czemś nader podobnem do rozumowań strategika po wygranej czystym przypadkiem bitwie: rzekłbyś, czytając opis, że wszystko szło podług ukartowanego zgóry planu, podczas gdy właściwie armia szła naprzód, nie wiedząc poco, a nieprzyjaciel umykał, bo go napierano. Zdaje się, że lord Kenmare, póki był zdrów i czerstwy, nie potrzebował zamykać na kłódkę w swojem sercu ani jednego ludzkiego uczucia, gdyż nie było obawy, aby wybuchło nazewnątrz; z ubytkiem sił dopiero stał się i religijnym i pragnącym naprawy błędów, popełnionych przedtem z prostego braku serca. Bądź co bądź, pod względem materyalnym było to dla mnie prawdziwe terno; w pierwszych miesiącach usiło-

wałem nawet szczerze oswoić się z nowem mojem położeniem, obyć się między obcymi dla mnie ludźmi, wśród obcych zupełnie stosunków. Pewna sędziwa dama, dawna znajoma mego wuja, podjęła się misyi aklimatyzowania mię w sferach, do których otwierały mi przystęp pieniądze i tytuły lorda Kenmare. Nie szło to jednak, mimo całej gorliwości mojej opiekunki, spotęgowanej tą okolicznością, że miała córki na wydaniu, i że byłem w jej domu kawalerem nierównie jeszcze więcej uwzględnienia godnym, niż Gucio Klonowski albo książę Kantymirski w domu cioci Leszczyckiej. Kto wie, gdyby nie to przymusowe włóczenie mię po arystokratycznych salonach i zaznajamianie mię z prototypami wszelkiej elegancyi londyńskiej; gdyby mi pozwolono poruszać się wśród średniej, mieszczańskiej warstwy społeczeństwa, byłoby się może udało dzieło wynarodowienia. Ale daremnie, uciekałem czasem do p. Crisparkle i starałem się za jego pośrednictwem wejść tam, gdzie nie prześladowała mię na każdym kroku próżność wielkiego świata; natychmiast brano mię znowu na pasek i ciągnięto w wir, coraz dla mnie nieznośniejszy. Lord Kenmare kazał sobie zdawać sprawę z moich postępów i cieszył się, gdy mu doniesiono, że przyszły jego dziedzic przegrał znaczną ilość jego funtów do tego lub owego modnego panicza, albo między gośćmi na tym lub owym świetnym balu, dzienniki wymieniały nowe moje nazwisko. Wśród tego wszystkiego, nie zapomniał dotrzymać słowa i sporządził w istocie taki testament, że gdybym go opuścił, byłbym dał większy dowód chciwości, niż zostając przy nim. Donosiłem Herminie o wszystkiem — o moich sukcesach i częstszych jeszcze niepowodzeniach na wielkim świecie, o moim wuju i jego dziwactwach — i malowałem jej stan mojej duszy w tak smutnych barwach, w jakich mi się przedstawiał, gdy mi dano trochę czasu do refleksyi. Nie przesadzałem wcale, gdy twierdziłem, że nieraz najprzykrzejsze chwile z dawniejszego mojego życia miały dla mnie coś ponętniejszego w sobie, niż dziś najswobodniejsze. Ale być może, że obok tych szczerych wylewów uczucia, zbyt wiele opowiadałem

o świetnościach, w których poruszałem się bez przerwy, i to miało ten skutek, że listy Herminy stawały się rzadszemi i chłodniejszemi. Nie zrozumiałem jej, wziąłem to za rzeczywiste oziębienie się jej miłości ku mnie, począłem przypuszczać, że może kto inny, godniejszy, zajął moje miejsce w jej sercu, i teraz zacząłem być na prawdę nieszczęśliwym. Zbuntowałem się najpierw przeciw sposobowi życia, który mi narzucono, zerwałem wszystkie stosunki, tak mozolnie przez wuja mojego i jego pomocniczkę dla mnie ponawiązywane, zamknąłem się w samotności i sprawiłem lordowi Kenmare tę przykrość, że odjąłem mu sławę największego oryginała pod niebem Albionu, jakiej używał, zdobywając ją dla siebie. Było to hasłem do otwartej wojny, która między nami wybuchła. Widywaliśmy się tylko, aby się sprzeczać, i sceny między moim wujem a Danielem, których słabe powtórzenie dałem powyżej, bladły wobec nieprzyjemności, jakie wyprawialiśmy sobie nawzajem. Dlaczego mię lord Kenmare nie wypędził ze swojego domu, tego nie pojmuję; zapewne z tej samej przyczyny, z której trzymał Daniela; ja zaś, jeżeli nie uciekłem, to głównie dlatego, że z rozkazu wuja, p. Crisparkle otoczył mię tajemną strażą, i że zaraz przy pierwszej próbie ucieczki, w Gravesend przytrzymało mię dwóch sążnistych posiepaków, którzy bez wielkiej ceremonii odstawili mię napowrót do własnych rąk kochającego wujaszka, a ten w dowód miłości przywitał mię, źle na szczęście wymierzonym gradem pocisków, złożonych z butelek z lekarstwami i innych rekwizytów medycznych. Mogłem powołać się na *habeas corpus* i wytoczyć proces o nieprawne uwięzienie i zatrzymanie mię w domu, ale to przecież jakoś nie uchodziło. Zatruwaliśmy sobie tedy dalej życie nawzajem, i po roku milord oświadczył p. Crisparkle, iż sądzi, że polubiliśmy się już dostatecznie, ja i on; tego dnia bowiem, on stłukł zwierciadło weneckie za pomocą swojej artyleryi, a ja zgruchotałem ze złości jego stolik palisandrowy.

Wszystko to odbijało się naturalnie w korespondencyi mojej z Herminą, a im nieznośniejszem stawało się moje

położenie, tem znowu stopniowo listy jej ogrzewały się dawniejszem ciepłem. W ponurem jednak usposobieniu i rozdrażnieniu nerwowem, w które musiałem popaść, czując się niejako lokatorem domu waryatów, nie mogłem pozbyć się uprzedzenia, że Hermina mię już nie kocha. Prześladowałem i siebie i ją tą zmorą, jednem słowem, wykierowałem się na najniepoczciwsze i najzłośliwsze stworzenie, jakie kiedykolwiek ziemia nosiła. Nakoniec, po czternastu miesiącach tego wdrażania się w życie rodzinne, zbudził mię jednego poranku Daniel doniesieniem, że milord posłał po p. Crisparkle, i po księdza katolickiego, i że kazał mię przywołać. Lord Jonathan był umierającym. Zniszczył swój poprzedni testament w moich oczach i podyktował inny, w którym mianował mię, jako adoptowanego swojego syna, uniwersalnym spadkobiercą; przemówił do mnie kilka słów rozsądnych i czułych, i kazał zostawić się sam na sam z księdzem. Od tej chwili ustała wojna, wuj zmienił się do niepoznania, obchodził się ze mną jak z synem, i po ośmiu dniach usnął na wieki, ściskając mię za rękę. Oprócz wyrzutów sumienia z powodu niesforności, jakiej się dopuszczałem przez czas mojego pobytu w jego domu, zostawił mi po strąceniu różnych legatów, w okrągłej sumie dwadzieścia razy tyle majątku, ile go uzbierał Klonowski dla swojego Gucia.

* *

*

W kilkanaście dni po tym wypadku, w starym kościółku żarnowskim, instalowany niedawno sędziwy proboszcz ks. Olszycki, na podstawie indultu biskupiego połączył mię z Herminą, nie gorsząc się wcale tą niezwykłą okolicznością, że drużkami były dwie panny Goldmanówny, bo Hermina innych nie chciała. Kiedy miał intonować *Veni Creator*, łkanie zaparło mu głos w piersi, i dokończył ceremo-

nii nie bez pewnej konfuzyi, która w rozpacz wprawiła organistę, niemniej przeto atoli w skutkach aktu okazała się nieszkodliwą. Po obrzędzie, o ile mi wiadomo, cały Żarnów biegał zaglądać do metryk ślubnych, rozeszła się już bowiem była pogłoska, że odziedziczyłem majątek i tytuł zagraniczny, i każdy chciał to widzieć czarno na białem. Pogłoska ta rozeszła się wszędzie, gdzie miałem znajomych, i zaledwie przybyłem do Lwowa z Herminą, ciekawość tych życzliwych ludzi poczęła nas ścigać tak zawzięcie, że musieliśmy wyjeżdżać czemprędzej. Dla mnie byłoby to w owych pierwszych chwilach przychylnej zmiany mojego losu niepospolitem zadowoleniem próżności i miłości własnej, gdybym mógł był stwierdzić, jak mocno w skutek tego wszystkiego zmieniło się zdanie powszechne o mojej wartości moralnej i o moich przymiotach zewnętrznych, ale Hermina nie chciała na to pozwolić. Wyjechaliśmy za granicę i zabawiliśmy czas jakiś w moich dobrach w Irlandyi; lecz niepodobna nam było oswoić się z obczyzną i jednozgodnie postanowiliśmy wrócić do kraju. Dalszy ciąg mojej historyi nie przedstawia nic zajmującego i nie należy tutaj; być może atoli, że kiedyś spiszę, jak się przedstawiają krajowe „głowy do pozłoty“, widziane przez pryzmat trzechset pięćdziesięciu tysięcy złr. dochodu rocznego. Winienem więc jeszcze tylko czytelnikowi krótką wiadomość o losie głównych figur, z któremi go zapoznałem.

Dwa lata po naszym ślubie, wracaliśmy z podróży do Włoch przez Wiedeń, gdzie zmuszony byłem zatrzymać się parę dni z powodu interesów, które miałem do załatwienia w ambasadzie angielskiej. W liczbie paniczów, kręcących się, Bóg wie poco, przy każdem takiem poselstwie, był jeden, którego poznałem w Londynie wówczas, gdy wuj mój pragnął zrobić i ze mnie podobnego panicza, a którego później rodzina wykierowała na dyplomatę, w nadziei, że w tańszem mieście roztrwoni mniej pieniędzy. Młody Mr. Richard spotkawszy mię, przypomniał sobie natychmiast dawniejszą naszą znajomość, zrobił nam wizytę i przyjął obiad u nas w hotelu, a po obiedzie zaproponował prze-

jażdżkę konną do Prateru, podczas gdy Hermina została w domu z jakiemiś paniami, które poznaliśmy w drodze i które wraz z nami wracały do kraju. W alei, służącej do konnej jazdy, przyłączyła się do nas jakaś wysoko położona figura dworska, używająca także przyjemności przejażdżki, i w tem to nudnem, ale dystyngwowanem towarzystwie znajdowałem się, gdy niespodziewana ulewa zmusiła nas szukać przytułku w jednej z drobnych restauracyj, czy piwiarni, których wówczas pełno było w Praterze. Wszedłszy pod dach, zastaliśmy towarzystwo, złożone z dwóch oficerów od kawaleryi i dwóch dam, na które byłbym może nie zwracał uwagi, gdyby jej byli nie zwrócili moi towarzysze. Mr. Richard ukłonił im się dość poufale, a jenerał rzekł z uśmiechem:

— Panie Stafford, jak widzę, masz pan wcale piękne znajomości?

— Ao, yes — odparł tamten, szczerząc zęby z tem zadowoleniem, jakie sprawia miłość własna, pogłaskana z drażliwej strony. Wszystko to powiedziane było tonem, w którym niktby z pewnością nie chciał słyszeć wzmianki o swojej żonie, córce, lub siostrze.

— Któż to jest taki, ta czarująca blondynka? — pytał ciekawie stary lubieżnik młodego.

— To Polka, pani Klonowska. Mąż jej zaplątał się teraz ponoś w jakieś niedobre interesa, ale przeszłej zimy żyli tu bardzo wystawnie i grywało się u nich wiele w karty. *Now, mylord Kenmare* — zawołał ziewając i wyciągając się na krześle — ponieważ jesteśmy jak rozbitki na odludnej wyspie, napijmy się cienkiego piwa!

Głośna ta apostrofa zwróciła na nas uwagę tamtego towarzystwa, oficerowie obrócili się i powstając, pozdrowili swego jenerała, a damy poczęły nam się przypatrywać. Nie było wątpliwości, tą, którą p. Richard Stafford nazwał panią Klonowską, była — Elsia. Męża nie było z nią, natomiast był rotmistrz, hrabia węgierski, i porucznik, baron czeski; owa zaś druga dama, znacznie starsza, była wdową po kimś, i tytułowała się baronową. Informacyj tych udzielił

mi Mr. Richard, zwierzając mi się później, że gdyby nie jenerał, wobec którego wypadało mu zachować pewne *decorum*, radby był przyłączyć się do „tej młodzieży".

Nie potrzebowałem bliższych wyjaśnień, domyśliłem się reszty. Była to smutna historya, która rozpoczęła się śmiercią zacnego rotmistrza Starowolskiego. Ciocia Leszczycka wzięła górę w rodzinie, i doprowadziła swoje plany do skutku. W rok później Gucio nie miał już ani szeląga z majątku, który mu dał ojciec, i wioska pani Leszczyckiej poszła także drogą wszelkich wycieczek za granicę. Jeszcze rok później Gucio był w więzieniu w Niemczech, skazany na kilka lat domu poprawy za różne oszustwa, a Elsia — była tam, gdzie ją widziałem. Była bardzo wesołą i towarzystwo jej było bardzo ożywione; gdy mię spostrzegła i poznała, nie straciła humoru dłużej jak na chwilę.

Natomiast zposępniała Hermina, gdy nazajutrz opowiedziałem jej to spotkanie, tak nieprzyjemnie ilustrowane wzmianką p. Stafforda o „decorum" i jego niepewnością co do punktu, po którym baronie towarzyszka Elsi była wdową...

— Jedźmy ztąd — rzekła — nie chciałabym jej spotkać. Czuję coś nakształt wyrzutów sumienia, gdy wspomnę o niej. Nie śmiałabym jej spojrzeć w oczy.

— Lady Kenmare — odparłem ze śmiechem — jeżeli pani sądzisz, że masz w swojem posiadaniu przedmiot kradziony, to odeszlij mię na policyę, aby mię zwrócono prawej właścicielce!

— Nie przezywaj mię *lady*, bo wiesz, jak tego nie cierpię. Przeczytaj raczej ten bilet.

Zdumiony na widok znanego mi pisma, przeczytałem, co następuje:

„Pani! Mścić się za krzywdy jest rzeczą nieludzką i niegodną, a tem mniej chwalebnem jest ścigać nienawiścią kobietę, którą porzuciło się dla kaprysu i której uczucia się podeptało. Chciej pani powiedzieć to p. Edmundowi, on nie zdoła zaprzeczyć, jak dalece winien jest dzisiejszemu

mojemu położeniu i wszystkim nieszczęściom, których padłam ofiarą. Mogłam zbłądzić, ależ on był mężczyzną, jego rzeczą było przebaczyć słabszej od siebie istocie, pokierować ją, nie doprowadzać jej do rozpaczliwych kroków. Nie mam mu do wyrzucenia tego, że nie raczył wczoraj nawet pozdrowić mię, ale niechaj przynajmniej nie prześladuje tak okropnie mojego teścia coraz to nowemi jakiemiś procesami, znęcając się tym sposobem nademną. P. Klonowski uczynił wszelką dalszą pomoc, jakiej udzieli swemu synowi, a mężowi mojemu, zawisłą od tego, że p. Edmund zaniecha kroków sądowych, które rozpoczął na wszystkich punktach. Udaję się do pani, bo do niego nie śmiem, błagam i zaklinam panią o to na wspomnienie marzeń młodości, których wymiana czyniła nas niegdyś tak szczęśliwemi, a które tak mało ziściły się dla mnie. Pani masz serce, pomimo wszystkiego, co pani mam do wyrzucenia, pani nie odmówisz mi swojego wpływu, nieprawdaż?

Elwira ze Starowolskich Klonowska".

— Nie, to przechodzi wszelką miarę! — zawołałem, biegnąc do stolika, na którym stał przyrząd do pisania.

— Cóż ty myślisz zrobić? — zapytała mię Hermina.

— Co? Odpisać jej, powiedzieć jej prawdę, całą prawdę. Tego jeszcze nie dostawało, aby mi wyrzucała, że z mojej winy poszła za Gucia Klonowskiego, i aby ciebie obwiniała o cokolwiek!

— Zastanów się Mundziu, że ta kobieta musi być bardzo, bardzo nieszczęśliwą! Mówiłeś mi zawsze, że była dumną do tego stopnia, iż własnych rodziców o nic prosić nie chciała; dzisiaj, patrz! Przyznaje się prawie do niedostatku, wstawia się za Klonowskim, bo to jest warunek, pod którym przyrzekł jej i jej mężowi pomoc pieniężną...

— U nas w Polsce, z góry na dół jedzie się zawsze galopem. Ale masz słuszność, nie będę pisał, odpisz ty, a raczej nie odpisujmy wcale.

— To byłoby szkaradnem, odpiszę. Nie wiem tylko, o jakich tu procesach mowa. Czy ty procesujesz się z Klonowskim?

— Oddałem p. Borodeckiemu do zaskarżenia skrypt, dany przez Klonowskiego mojemu ojcu, i ten weksel Gucia, który ty wykupiłaś. Toczy się to wszystko już trzeci rok; być może, że p. Dominik naprzykrzył się Klonowskiemu jaką siarczystą trypliką albo kwadrupliką. Zatelegrafuj mu zaraz, aby dał pokój obydwu tym sprawom.

Hermina odpisała Elsi lepiej, niżbym ja to był zrobił w pierwszym przystępie oburzenia, i dała jej do zrozumienia wszystko, co ja byłbym powiedział w sposób więcej szorstki i dotkliwy. Zawiadomiłem p. Borodeckiego natychmiast, że odstępuję od moich pozwów, ale było już zapóźno i wmięszał się nadto w całą sprawę nowy czynnik, o którym oddawna zapomniałem.

Czynnikiem tym był Burgler. Gdyśmy z powrotem zawitali do Żarnowa i zamieszkali na jakiś czas w dworku Herminy, w którym rezyduje wraz ze swoim mężem Kasia, dawna sługa mojej matki, dr. Goldman opowiedział mi w sekrecie przed moją żoną historyę, na której Gaboriau lub Ponson du Terrail mogliby osnuć nader intrygujący proces kryminalny. Od kilku tygodni Żarnów rozciekawiony był i rozdrażniony wynikającą ztąd gorączką z powodu, że nagle sąd kryminalny uwięził znaną w całem miasteczku panią Burglerowę, a nikt nie domyślał się nawet przyczyny tego uwięzienia. Lecz dr. Goldman znał się dobrze z sędzią śledczym i ten zwierzył mu się z rezultatu swoich dochodzeń. Otóż Burgler, który przed laty znikł był z Ławrowa jak widać, w napadzie obłędu opilczego, przytrzymany był później przez żandarmeryę i odstawiony do domu obłąkanych, gdzie doświadczono na nim z wielkim skutkiem nowej metody leczenia tej choroby umysłowej, której ulegają nałogowi pijacy. Wyszedł na świat z uleczonym mózgiem i ze wstrętem do napojów alkoholicznych, znalazł przy jakimś kościele zatrudnienie jako organista i żył parę lat mimo mocno nadwątlonego zdrowia i jakichś zgryzot sumienia, które go dręczyły mimo częstej spowiedzi i komunii. Na jakiś czas przed śmiercią udał się do sądu karnego

i tam poczynił zeznania, na których podstawie wytoczono dalsze śledztwo i ostatecznie uwięziono panią Burglerowę.

Według tych zeznań, przed dwudziestą i kilkoma laty, owdowiała była, po roku małżeństwa zaledwie, siostra pana Klonowskiego, pani Milecka, mieszkająca w Czerniowcach, gdzie mąż jej posiadał dość znaczny mająteczek, którego zrobił ją spadkobierczynią. Młoda jeszcze bardzo i przytem znajdująca się w stanie, wymagającym troskliwej opieki, zaraz po śmierci męża wybrała się w podróż do brata, wśród nader ostrej zimy. Po drodze, w karczmie opodal od Żarnowa, zachorowała nagle, musiano sprowadzić p. Burglerowę i dać znać Wmu Klonowskiemu o tym wypadku. Chora powiła córkę, i umarła na drugi dzień w skutek gorączki pokarmowej, czy w skutek opiatu, który jej przez nieuwagę dano wypić naraz w wielkiej bardzo dawce. Obecnymi przy jej śmierci byli: Klonowski, Burglerowa i Burgler, którego tam zawezwała żona. Klonowski postarał się o pogrzeb i o akt zejścia, córkę zaś swojej siostry oddał Burglerowej, pod pozorem, że jest to dziecię, nad którego urodzeniem spoczywać musi na wieczne czasy zasłona tajemnicy. Burgler nie wiedział wówczas jeszcze, że siostra Klonowskiego była zamężną i owdowiała zaledwie przed tygodniem, i oboje, tj. on i jego żona, przystali na propozycyę Klonowskiego, który wypłacił im dwa tysiące złr. za to, iż dali ochrzcić dziecko jako swoje własne. Później dopiero dowiedzieli się, że dziecię, które wzięli, było ślubne, i że Klonowski usunąwszy je, wziął sukcesyę po siostrze. Burglera poczęły dręczyć wyrzuty sumienia i rozpił się, nie miał atoli odwagi przyznać się komukolwiek do popełnionego czynu, bo żona i Klonowski straszyli go kryminałem, który go czekał niechybnie za przywłaszczenie sobie cudzego dziecka. Ciągle pijany, nie zdradził nigdy swojej tajemnicy i uciekał tylko przed żoną, która radaby go była mieć pod swojem okiem dla uniknienia niebezpieczeństwa, że może się wygadać. Burglerowa, zdaniem męża, wymusiła później jeszcze kilka razy znaczne sumy pieniędzy od Klonowskiego za swoje milczenie; gdy jednak tymczasem ową córeczkę p. Mileckiej

wzięli do siebie państwo Wielogrodzcy i przyjęli ją za własne dziecko, Klonowski czuł się już bezpiecznym i nie płacił nic więcej. Kiedy więc, jak to miałem sposobność podsłuchać w Hajworowie, opowiadał swojej żonie, że Hermina nie jest córką państwa Wielogrodzkich, wiedział to z lepszego jeszcze źródła, niż to, które przytaczał, ale snać nie uważał za stosowne powiedzieć p. Klonowskiej, czyją córką właściwie była Hermina. Kobieta ta nie wydawała mu się widocznie dość pewną powiernicą w tej mierze, a jednak, pod względem złości, należała do rzadszych w świecie okazów. Sędzia śledczy w Żarnowie, młody urzędnik, zapalony do spraw kryminalnych, budzących większą ciekawość, umiał wybadać Burglerowę tak zręcznie, że po niejakich wykrętach przyznała się do wszystkiego, i teraz posłano właśnie cytacyę p. Klonowskiemu.

Zeznania Burglerowej rzucały szczególne światło na miłość, jaką ś. p. Wielogrodzcy powzięli byli ku Herminie. Burglerowa oddawszy im dziecko, po niejakim czasie, gdy widziała, że je polubili, chciała pośrednio zasięgnąć dobrej rady prawniczej, czy nie mogłaby na podstawie swojego sekretu wymusić więcej pieniędzy od Klonowskiego. Opowiedziała tedy rzecz całą komornikowi i jego żonie, a ci przerażeni myślą oddania małej, bezbronnej istotki w ręce człowieka, który ją podrzucił już raz Burglerowej, nietylko odradzali jej od jakichkolwiek kroków, ale ze swojej strony płacili jej, aby milczała. Majątek po ś. p. Mileckiej wynosił ledwie połowę tego, co Wielogrodzcy zostawili Herminie. Burglerowa uniewinniała się przeto w sądzie, że właściwie nietylko nie wyrządziła krzywdy dziecku p. Mileckiej, ale owszem dobrodziejstwo. Sąd okazywał się głuchym na to tłómaczenie, i obiecywał przyjąć je dopiero przy wyroku jako okoliczność łagodzącą; na razie zaś młody sędzia śledczy ostrzył sobie paragrafy na p. Klonowskiego i odgrażał się, że go uwięzi, tembardziej, gdy nareszcie, dzięki zabiegom p. Borodeckiego, i sprawa mojego skryptu dojrzewała do śledztwa karnego.

Zachmurzył się tedy mocno widnokrąg nad p. hrabią z Hajworowa, wszystko sprzysięgło się na jego zgubę. Część majątku przetrwonił już Gucio, inną jeszcze większą, pochłonęły spekulacye giełdowe. Wśród tych trudnych okoliczności, prawdziwą musiało być pociechą dla tak zacnego obywatela powszechne zaufanie ziomków, które go ciągle otaczało. W tej samej chwili, w której list z Niemiec donosił mu, że trybunał apelacyjny zatwierdził wyrok, skazujący Gucia na cztery lata domu poprawy, i w tej samej chwili, w której z Żarnowa nadeszło wezwanie stawienia się do sądu karnego i pisma od p. Opryszkiewicza, dające do zrozumienia, że *„coś się popsuło w królestwie Danów“* — w tej samej chwili, powtarzam, dwunastu grubych tabularnych dziedziców siedziało przy stole w jadalnym pokoju hajworowskiego dworu, i z pełnych kielichów winszowało znakomitemu luminarzowi okolicy nowego zaszczytu, który go miał spotkać: oto w imieniu kraju, opatrzony najzupełniejszem pełnomocnictwem ze strony współobywateli, miał jechać do Wiednia i przedkładać tam u stóp tronu rozmaite wiernopoddańcze życzenia ludności. „Niech żyje nasz poseł!“ grzmiały jeszcze ściany w Hajworowie, gdy już odjechali tabularni dziedzice — „Niech żyje nasz poseł!“ huczało w uszach panu Klonowskiemu, gdy po wyjeździe gości, późno w nocy, siadał do powozu, aby wśród deszczu i ciemności dotrzeć do dworca w Janówce, i udać się natychmiast do Wiednia, gdzie, nim nadejdzie czas przedkładania innych życzeń współobywateli, zamierzał przedłożyć to jedno, swoje prywatne, by z ministeryum polecono wstrzymanie śledztw karnych, wytoczonych przeciw nad-obywatelowi Klonowskiemu.

Konie biegły szparko, latarnie powozu oświecały drogę, a jeszcze lepiej oświecała ją myśl jasna, przewodnia, która przybierała wyraźne kształty w głowie pana Klonowskiego. „Jeżeli ministeryum cofnie mój proces, zyska na tem, bo powstrzymam naród od opozycyi; jeżeli zaś nie cofną procesu przeciw mnie, naczelnikowi partyi opozy-

cyjnej, to widoczna w tem będzie zła wiara, widoczne wyszukiwanie pozorów dla zgubienia przeciwników politycznych. Na każdy sposób, wyjdę zwycięzko. Hm, nie rozumiem, poco inżynierom zachciewało się mostu w tem miejscu, gdzie gościniec przechodzi przez szyny drogi żelaznej? Zjazd do rampy jest trochę przykry, ale przejechać można. Haha, Moulard chciał, aby dworzec budowano po tej stronie, na chłopskich gruntach, ale postawiłem na swojem; wolę sprzedać cztery morgi po tysiąc złr. a przejeżdżać przez szyny, niż mieć dworzec pod nosem a nie wziąć pieniędzy! Oni wszyscy głupcy, nigdy nie wiedzą, kiedy robić opozycyę, a kiedy iść z rządem, same baranie głowy! Słuchajno, hej! Nie zamykaj jeszcze rogatki, niech przejadę przez szyny!

— Kiedy proszę jaśnie pana, pociąg idzie!

— Głupiś, właśnie dlatego chcę przejechać! Ruszaj precz, bo cię każę napędzić ze służby... Oni robią opozycyę z fantazyi, a z braku fantazyi ustają. Trzeba tu umieć wyzyskiwać, już ja to pokieruję...

I byłby może zacny p. Klonowski w istocie zainaugurował nowy zwrot w polityce galicyjskiej, i byłby ją pokierował jak należało, gdyby woźnica nie był źle pokierował konie. W pośpiechu, by umknąć przed pociągiem, który huczał i parskał zdaleka, rozpędził powóz z góry, na samych szynach pękła oś i powóz ugrzązł w najniebezpieczniejszem miejscu. Strażnik kolejowy widział, jak p. Klonowski chciał wyskakiwać, ale w tej chwili lokomotywa nadleciała i strażnik kolejowy nie miał odwagi patrzeć dalej. Pobiegł do budki i dał znać, że wydarzyło się nieszczęście. Gdy nadbiegli ludzie ze światłem, zastali woźnicę, część powozu i konie na gościńcu, z dziedzica hajworowskiego dotychczas nie odszukano śladu.

Tem samem upadły procesa, przeciw niemu wytoczone. Burglerowę wypuszczono, oczywiście dla braku „istoty czynu“. Hermina odniosła z jej zeznań pewne uspokojenie; przyznała mi się bowiem teraz dopiero, jak przykrą jej była nieraz myśl o swojem pochodzeniu, tak zagadkowem.

Sądziła, że to i mnie w gruncie jest niemiłem. Próbowałem gniewać się na nią za to przypuszczenie, ale mi nie pozwoliła.

Wypada mi więc tylko nadmienić, że p. Dominik Borodecki praktykuje bez najmniejszego powodzenia zasadę wprost przeciwną tej, którą wyznawał mój wuj, i która brzmiała: „Czy chcesz dobrze sprzedać konia, czy dostać dobrą żonę, pokazuj ludziom jak najmniej, że masz serce". P. Dominik, w swój sposób, rzuca serce swoje na wszystkie strony, i... nie żeni się wcale.